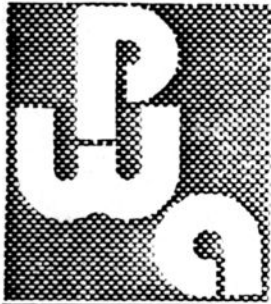




PRZEGLĄD PRASY OBIEGU NIEZALEŻNEGO

Nr. 73, 6.III.1990

POLISH INDEPENDENT PRESS SUMMARY

NR 4 26-I-1990 101 VII (223)
CENA 500 ZŁ

GDY SIĘ DZIEWCZĘ DECYDUJE...

WAŁĘSA WĄCHA PROCH

LINA SIE NAPŁA!

PIEROGI W CHICAGO

FOLBLUTY I FOLKSDOJCZE

"PWA", nr. 4, 26.I.1990
 "PWA", nr. 5, 2.II.1990
 "PWA", nr. 6, 9.II.1990
 "PWA", nr. 7, 16.II.1990
 "PWA", nr. 8, 23.II.1990
 "Kultura Niezależna",
 nr. 57, styczeń 1990

PRZEGLĄD WIADOMOŚCI AGENCYNYCH

WIĘCEJ NADZIEI

Badania CBOS wykazują, że polityką interesuje się tak naprawdę tylko 19% Polaków. Dalszych 42% śledzi jedynie najważniejsze polityczne wydarzenia. Reszta - 38,3% w ogóle polityką się nie interesuje.

Audycje informacyjne w radiu i telewizji ogląda bądź słucha codziennie 20-40% Polaków, 6,3%, czyta codziennie "Gazetę Wyborczą" - (16,1% kilka razy w tygodniu), a inne dzienniki 23,3%.

Zdecydowanie rośnie poczucie zagrożenia: co dziesiąty ankietowany w 1989 roku okradziony. Z drugiej strony częstsze jest też odprężenie i wiara, że jest, bądź będzie lepiej - taką ocenę nastrojów współobywateli przedstawiło o 13% ankietowanych więcej niż przed rokiem.

INWENTARYZACJA PARTII

Śladem wzmiankowanej przez nas w poprzednim numerze kwestii nielegalnego podnajmu przez partie i organizacje społeczne użytkowanych przez siebie lokali, zwróciliśmy się do Jarosława Szczepańskiego z Biura Prasowego Urzędu Rady Ministrów o wyjaśnienie.

Nie uzyskaliśmy pełnych danych na interesujący nas temat, głównie z tego powodu, że trwają jeszcze prace nad dokładnym określeniem partyjno-organizacyjnego stanu posiadania.

Dowiedzieliśmy się tyle, że do niedawna partie i organizacje społeczno-polityczne korzystały z przywilejów znacznie obniżających czynsze za wynajmowane lokale. Te z nich, które teoretycznie nie utrzymywały się jedynie ze składek członkowskich i darowizn, płaciły nie więcej niż 250 zł za metr kwadratowy. Wiele spośród organizacji w ostatnim okresie wykupiło za pół darmo zajmowane przez siebie lokale, ale nie jest jasne czy istniała ku temu jakaś podstawa prawna. W grudniu ub.r. URM przypomniał wszystkim wojewodom, że tego rodzaju zmiany form własności może być dokonywane tylko za zgodą rządu, który reprezentuje w tym wypadku interes Skarbu Państwa. Obecnie w całej Polsce dokonywane są kontrole czy dokonane dotąd transakcje są zgodne z obowiązującymi przepisami.

PLUS DLA POGANIACZY

Wygląda na to, że albo min. Balcerowicz, albo my nie przewidzieliśmy do końca skutków radykalnej kuracji narodowej gospodarki. Kąpiel w przerebłu wcale nas nie zahartowała (gdzieniegdzie pojawiają się reakcje histeryczne na horrendum cen), szczególnie, że nie jest jasne w którą stronę skierować swoją inicjatywę, gdzie lokować pieniądze, jeśli ktoś je jeszcze ma w wystarczającej ilości.

Na podatny grunt trafiają populistyczne hasła "forsy i kiełbasy", którymi szermuje górniczy OPZZ (vide Rajmund Moric) podsycając w ten sposób spontaniczne, jak się zdaje, strajki na Śląsku i w Zagłębiu Wałbrzyskim. Jeśli rząd Mazowieckiego ustąpi, fala roszczeń płacowych ogarnie cały kraj i plan Balcerowicza diabli wezmą. Jeśli nie ustąpi - co bardziej prawdopodobne - może dojść do rozruchów, jakich zaznały takie kraje jak Argentyna i Brazylia. Ale tam było co rabować - u nas sklepy są prawie puste.

W tej sytuacji przyspieszone wybory do samorządu terytorialnego trafiają chyba na ostatni dzwonek. Za pół roku o jeszcze jedną wielką społeczną mobilizację w kierunku demokracji byłoby bardzo trudno. Dlatego jak najszybciej trzeba oczyścić atmosferę przez ukrócenie majątkowych matactw nomenklatury, likwidację Służby Bezpieczeństwa, uznanie pełni praw dla partii politycznych, ale poza zakładami pracy, wojskiem i milicją, czy wreszcie przez zniesienie cenzury.

Jak się okazało mieli rację "poganiacze", twierdzący, że reformy idą zbyt wolno. Oby po raz ostatni.

WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ

Krótko i nieoficjalnie był w Polsce RUPERT MURDOCH - międzynarodowy potentat w dziedzinie środków masowego przekazu. Jego koncern działa na wszystkich kontynentach i obejmuje różnorodną prasę, radio i telewizję (również satelitarną), zatrudniającą ponad 100 tys. ludzi. Murdoch w początkach lat osiemdziesiątych wstąpił się tym, że skomputeryzował brytyjskie wydawnictwa prasowe, zwalniając przy tym zbiorowo, zbędnych już pracowników przywiązanych do starej technologii. W styczniu przedwzity w Polsce magnat prasowy był w Czechostowacji i na Węgrzech, gdzie kupił jeden dziennik i tygodnik. U nas do żadnej transakcji na razie nie doszło. Murdoch odwiedził jedynie redakcję "Życia Warszawy", gdzie spotkał się z jej naczelnym - Arturem Howzanem, które jest również prezesem SDPRL. Nie znaczy to, że preferuje on dawne reżimowe struktury. Spotkania z "naszymi" szefami od prasy, m.in. z Dariuszem Fikusem, naczelnym "Rzeczpospolitej", miały miejsce poza redakcjami i, być może, okażą się bardziej owocne.

/ "PWA", nr. 4, 26. I. 1990 /

LIST OTWARTY DO ANDRZEJA DRAWICZA

Szanowny Panie Andrzeju.

Minęło 100 dni odkąd jest Pan Szefem Polskiego Radia i Telewizji. Pana nominacja zapowiadała zasadniczą zmianę polityki programowej, rzetelność informacji, troskę o kulturotwórczą rolę Radia i Telewizji. Takie zmiany nie nastąpiły.

Niepokoi nas, (NSZZ "S" Radiokomitetu) że:

- ciągle najpętniej o tym co dzieje się w kraju i na świecie informują polskojęzyczne radiostacje zagraniczne, bo zmiany personalne, które następują w naszej Informacji są fasadowe. Nie tylko ważne jest kto prezentuje Wiadomości, również ważny jest kto je selekcjonuje i redaguje. Tu nie nastąpiły zasadnicze zmiany.

- nie nastąpiły żadne zmiany personalne w kadrze bezpośrednio odpowiedzialnej za program radiowy i telewizyjny (redakcje, technika, administracja). Kadra ta jest mianowana lub rekomendowana przez KC PZPR. W dużej mierze są to ludzie niekompetentni i skompromitowani.

Jesteśmy przeciwni sposobowi mianowania Wiceprezesów Radiokomitetu. Tak jak dotychczas, o nominacji dowiedzieliśmy się z Trybuny Ludu. Żądamy by kierownicze stanowiska w Radiu

i Telewizji obejmowali fachowcy znający tę firmę, sprawdzeni, budzący zaufanie. Chcemy mieć na to wpływ... Protestujemy przeciwko wyprzedaniu majątku naszej firmy, np. sprzedaniu nomenklaturze maszyn poligraficznych "Wydawnictw PRiTV".

Wiemy, że obecnie Polakom, których nie stać na książkę, teatr, kino, czasopisma... telewizja i radio muszą je zastąpić. Dlatego stanowczo protestujemy przeciwko niekonsultowanej ze związkami zawodowymi decyzji o komercjalizacji Programu II Telewizji Polskiej. Powołanie K.T. Tocplitza na szefa komisji ekspertów pozostawiamy bez komentarza.

Naszym zdaniem, przy pełnej reorganizacji Telewizji i konieczności pełnienia przez nią misji kulturotwórczej wobec społeczeństwa dwa kanały emisyjne Telewizji Polskiej to jest minimum. Akcjonariusze planowanego programu komercyjnego mogliby na przykład utworzyć program III z własnym zapleczem technicznym.

Przykro nam, że nie wywiązał się Pan z danej 18 grudnia 1989 roku obietnicy konsultowania wszystkich ważnych decyzji z NSZZ "Solidarność". Fakt ten, jak i postępująca dezorganizacja naszej instytucji wymaga natychmiastowej interwencji, a postępująca radykalizacja nastrojów załogi, zmusiła nas do napisania tego listu.

Jarosław Najmoła

NIE TAK MIAŁO BYĆ

Eligiusz LASOTA

Byliśmy przygotowani na pokaźny wzrost cen, na ograniczenia i wyrzeczenia. Bez entuzjazmu, milcząco, społeczeństwo zaakceptowało plan Balcerowicza widząc w nim szansę dla kraju i dla siebie. Szansę na normalność, chociaż osiąganą za bardzo wysoką cenę.

Życie okazało się jednak bardziej brutalne od najczarniejszych oczekiwań. To, czego żąda się w sklepach, wywołuje i szok i osłupienie i poczucie zupełnej bezsilności. Emeryt, rzucający w sprzedawcę bochenkiem chleba, gdy dotarło doń, że w ciągu kilku dni podwoiła się jego cena, działa spontanicznie. Bo przymierza tę cenę do zawartości portfela.

Ludzie czują się w jakiś sposób oszukani. Byli przygotowani na to, że będzie ciężko, ale nie przypuszczali, że może stać się beznadziejnie.

Z perspektywy sklepowej kolejką zaufanie do rządu zaczyna chwiać się w gwałtownym tempie. Działają bowiem nie racje, a emocje.

Mimo wszystko wydaje się, że tych emocji jest jeszcze trochę mniej niż można by się spodziewać, patrząc na to co dzieje się z cenami. Konsument chce myśleć racjonalnie. Ale w racjonalnej analizie może jeszcze zmieścić się fakt, że drożeje mięso, bo więcej żądają jego producenci. Natomiast kiedy wychodzi na jaw, że niebotycz-

na cena nie ma żadnej prostej relacji do tego, co otrzymuje chłop - producent, że na zakręcić, po drodze ktoś postanowił jeszcze ubić grubo interes - narasta oburzenie i bezsilna złość.

Wydaje się jednak, że ta złość i protesty skierowane są ciągle jeszcze nie przeciwko zapowiedzianej i przeprowadzanej polityce urynkowania gospodarki, ale przeciwko temu, co jest ewidentną spekulacją ze strony producentów, a przede wszystkim handlu. Spekulują - tym razem w pełnym majestacie nowego, rynkowego prawa.

W telewizji, w prasie mnożą się, mniej lub bardziej pokrętnie wyjaśnienia handlowców - bo czynsze, bo światło, bo płace - dlaczego słoik dżemu z zeszłorocznych zbiorów musi kosztować dwu- czy trzykrotnie drożej. Im więcej tych wyjaśnień, tym mniej są przekonujące. Zaś pretensje do rządu dotyczą nie tego, co czyni na rynku, a o to, że nie wmontował systemów hamowania, które uniemożliwiłyby ewidentne cenowe gangsterstwo.

Próbując spojrzeć na to chłodnym okiem zdajemy sobie sprawę, że albo praca rynku działać będą w pełni, albo cała operacja się rypnie. Nie można bowiem być "tylko trochę" w ciąży.

Lina ciągle naciągnięta jest do ostateczności. Ale jeszcze trzyma. Do tego, by puścić doprowadzić mogą strajki. Górnicy

kilku kopala sięgnęli już po tę broń. Ale jeśli przypatrzeć się bliżej ich postulatów, też staje się jasne, że nie zastrajkowali przeciwko dokonującym się w gospodarce przemianom. Upominają się o to, co im się należy i w gruncie rzeczy większość ich postulatów mogłaby się w ogóle nie pojawić, gdyby nie nieudolność - a może i zła wola - niezliczonych ciągle węglowych dyrektorów. A kto puścił plotkę o rzekomym odebraniu górnikom przez rząd węglowych deputatów? - co w niemalym stopniu przyczyniło się do podgrzania atmosfery.

- Wszyscy mamy powody do strajków - powiedział Wałęsa. Ale przed nimi przetrza. Zaś premier Mazowiecki w spokojny i uczciwy sposób argumentuje o słuszności drogi, na którą weszliśmy właśnie po to, by zdławić inflację. Ale podkreślił raz jeszcze, że wszyscy musimy dać coś z siebie, aby przywrócić gospodarkę do należytego stanu.

To - chyba - generalnie rzecz biorąc jest ciągle jeszcze powszechnie akceptowane. Niepokój budzi tylko sposób naszego uczestniczenia w procesie przebudowy. Ciągle jeszcze to nasze uczestnictwo polega na sięganiu do coraz bardziej cienkich portfeli. Płacimy mając świadomość, że główne procesy odbywają się gdzieś poza nami.

A nie tak miało być w systemie, który tworzymy. Miał to być system tworzony nie dla nas, a przez nas samych. To państwo zaś nie jest już "ich", ale ciągle nie jest nasze.

Ma być nam dopiero powoli zwracane - bo kwietniowe wybory, bo samorządy...

/"PWA", nr. 4, 26. I. 1990/

ZAPACH PROCHU

W wywiadzie dla włoskiego pisma "La Stampa" (17 stycznia) Lech Wałęsa powiedział m.in.: Czuję wokół zapach prochu, są wszystkie przesłanki wojny domowej i nikt z tego nie zdaje sobie sprawy... W 1980 r. wraz z narodzinami "S" umarła ideologia komunistyczna, teraz dogorywa system gospodarczy, który wspierał tę ideologię, ale przejście do innego systemu jest bardzo trudne... Tak naprawdę to ludzi nie interesuje polityka, tylko rezultaty. Nasza sytuacja gospodarcza jest tak katastrofalna, że nie możemy pozwolić sobie na myślenie za wiele o polityce...

Ten rząd (Mazowieckiego - przyp. red.) to eksperyment, rząd z konieczności przejściowy, który ma moje pełne poparcie, chociaż kiedyś robi błędy, nie waham się go krytykować, i to już jest sukces. Następny będzie rząd programowy, a na jego czele stanie najprawdopodobniej prof. Geremek... Nie wykluczam tego, że kiedyś sam przejmę odpowiedzialność za rząd, na pewno jednak nie podejmę się tego z ochotą. Proszę wybaczyć zarozumiałość, ale uważam się za ostatnią kartę w tej trudnej grze...

LIST DO REDAKCJI

KOBIETY DO ŚRODKA

Przed jednym z bydgoskich kościołów wywieszono wiosną ub.r. zdumiewające hasło: "Mordercy dzieci nienarodzonych są gorszymi zbrodniarzami niż kaci polskich oficerów w Katyniu". Po wiecu przeciwników ustawy antyaborcyjnej w pobliżu transparentu, w parafialnej gablocie, znalazły się wizerunki organizatorów i napis: *Ruch Samoobrony Kobiet idzie po trupach dzieci "do wolności"*. Zaatakowane w ten sposób lokalne stowarzyszenie, powstałe właśnie dla obrony praw kobiet, nie zareagowało. Dziś jego członkinie uważają, że był to błąd. Po kilku bowiem miesiącach atak powtórzył się, choć tym razem w innej świątyni. W pierwszym dniu Bożego Narodzenia od ołtarza kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej padły nazwiska pań zrzeszonych w Ruchu ozdobione epitetem: "Herody", które "chcą zabijać, choć dziś oto narodziła nam się Dziecina..." Dalej wielbny pater kazał o najgorszym "Herodzie", niejakim Janie Rulewskim, który nadesłał był mu (a w rzeczywistości Episkopatowi) kartkę pocztową domagając się szacunku dla kobiet i prawa do podejmowania przez nie decyzji o macierzyństwie. Z ową pocztówką też nieczysta sprawa... Wydrukował ją własnym sumptem bydgoski Ruch Samo-

obrony Kobiet; kto chciał - podpisywał i wysyłał. Do Episkopatu poszły ich więc tysiące, ale właśnie ta, podpisana przez Przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ Solidarność pojawiła się wpięta u autora (w towarzystwie niezidentyfikowanej pani, która dopytywała, czy podpis jest autentyczny), potem zaś trafiła do księdza bydgoskiej parafii na Bartodziejach.

Nie była to zresztą pierwsza próba dyskredytowania osoby Jana Rulewskiego przez duchownych w oczach i na oczach tłumnie zebranych. Już w trakcie wyborów zarządu regionalnego "Solidarności" był on stawiany przez zaproszonego przez kilku działaczy księdza w sytuacjach nie mających nic wspólnego z procedurą wyborczą organizacji związkowej.

Czasy więc idą ciężkie. Znowu jeder światopogląd bywa bardziej słuszny niż inne, znowu bezkarnie i publicznie piętnuje się cudze poglądy i coraz mniej wiadomo skąd można się spodziewać duchowego wsparcia. Społeczeństwo została samoobrona - oby skuteczna! - w myśl okrzyku, który 19 marca 1981 roku, w chwili ataku ZOMO na WRN w Bydgoszczy, wzniósł Jan Rulewski: "Kobiety do środka!"

Maria Borkowska

Moje prawo

ZAINWESTUJMY W PRAWA CZŁOWIEKA

Lech FALANDYSZ

W obliczu narastającej grozy gospodarczej chciałbym zareklamować przedsięwzięcie, którego nie pokonają żadne cła, podatki i ceny. A dla naszej przyszłości może się okazać ważniejsze niż powodzenie planu Balcerowicza.

Mam na myśli rozpoczęcie i prowadzenie powszechnej edukacji w dziedzinie praw człowieka. Władze PRL unikały jej jak przysłowiowy diabeł święconej wody. Owszem, rozprawiali często o prawach człowieka politycy, dyplomaci i uczeni próbując nabić w butelkę swoich łatwowiernych partnerów z Zachodu. A polską opinię publiczną, którą nabrać trudniej, po prostu ignorowano. Ciekawe, kto z Państwa widział na oczy polski tekst Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, uchwalonej przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1948 roku? Ci zaś, którym udało się nabyć opublikowane w 1987 roku przez Wydawnictwa Prawnicze Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka mogą się uważać za wybrańców losu. Jest to bowiem jedyna, znana mi książka, w "stopce" której brak informacji

o wysokości nakładu. A dlaczego brak wyjaśnienia szczerze wyznaczonej wydawcy: *Obecne wydanie Paktyw nawiązuje do dwudziestego rocznicy ich uchwalenia oraz do rezolucji Rady Gospodarczej i Społecznej ONZ z dnia 21 maja 1986 roku, dotyczącej popularyzowania tych ważnych dokumentów.*

Dzisiaj nabieram już coraz większej pewności, że prawa człowieka powinny stać się największą wspólną inwestycją krajów Europy Wschodniej w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku.

A Polska ma największe szanse, by dzieło to zainicjować. Przed rokiem Dokument Końcowy Wiedeńskiego Spotkania KBWE nałożył na jego sygnatariuszy, w tym także na Polskę, obowiązek wprowadzenia problematyki praw człowieka do nauczania w szkolnictwie.

Nasza nauka, kultura i oświata są obecnie w dobrych rękach i trudno sobie wyobrazić lepsze warunki dla rozpoczęcia odpowiednich działań ze strony organów państwowych.

Dobry jest również klimat dla wszel-

kiego rodzaju inicjatyw niezależnych. Komitet Helsiński w Polsce uruchomił już chyba wkrótce Centrum Praw Człowieka w Europie Wschodniej, a do promocji tej problematyki włączą się zapewne różne fundacje oraz osoby prywatne z ciekawymi pomysłami. Będą więc wykłady uniwersyteckie, skrypty i książki dla szkół, wyspecjalizowani nauczyciele i w końcu, być może, ładny, ilustrowany elementarz.

No, dobrze - spytacie Państwo - ale czy taka edukacja jest rzeczywiście dzisiaj potrzebna? Chyba jednak jest i to z dwóch przynajmniej powodów. Po pierwsze - warto chyba poznać dokładniej to, na czym przewrócił się komunizm. A po drugie - warto na przyszłość wiedzieć, czego powinniśmy wymagać od każdego rządu - niezależnie od tego jak bardzo będzie nasz.

Zacznijmy więc znowu jako pierwsi i niech nas później wyprzedzają sąsiedzi. Ta inwestycja opłaci się nam wszystkim.

WYBÓR DROGI

Janusz JANKOWIAK

Sądzę, że - wbrew pozorom - nie ryzykują dużo ci, którzy usiłują dowiedzieć, iż osiągnęliśmy optimum równowagi w okresie globalnej wschodnio-europejskiej zawieruchy. Jak większość twierdzeń typu politologicznego teza ta nie poddaje się bieżącej weryfikacji. Można ją sprawdzić za ileś lat - ale nie dzisiaj. A wówczas, niezależnie zupełnie od rozwoju wydarzeń, weryfikacja wypaść powinna i tak zawsze na korzyść obrońcy "polskiej drogi do demokracji".

Dlaczego? Przyjmijmy dwa prawdopodobne warianty: 1- gwałtowna presja na wyciśnięcie komunistów z aparatu władzy wiedzie w krajach postkomunistycznych do destabilizacji; 2- równie gwałtowna presja społeczna zmienia system polityczny szybko i dość spokojnie. W wypadku pierwszym typowa ocena dokonana ex ante mogłaby brzmieć: "a nie mówiłem". W wypadku drugim: "a nie mówiłem, można było inaczej". Zostawmy więc historykom przyjemność oszacowania polskiego "optimum" ze stycznia 1990. Podobnie i kwestię "palmy" pierwszeństwa w dziele odejścia od komunizmu.

Przyjrzyjmy się za to faktom.

Faktem jest bez wątpienia to, że trudno znaleźć w Polsce wielu usatysfakcjonowanych dotychczasowymi wynikami zmian ustrojowych.

Licznym partiom politycznym nie podoba się ich parlamentarny status.

"Trybunie Ludu" i innej prasie partyjnej o jednorazowym dziennym nakładzie ok. 5 mln egzemplarzy - nie podoba się program Balcerowicza.

Mnie nie podoba się z kolei, że te gazety, ukazujące się wciąż w ramach partyjnego koncertu nieistniejącej partii mają jedynie ok. 10% zwrotów.

Program rządowy nie zachwyca ponadto: naszych posłów, senatorów, ekonomistów, Stefana Bratkowskiego, OPZZ a i Lechowi Wałęsie - jeśli wierzyć telewizji - też coraz mniej się podoba.

Jeśli już jesteśmy przy telewizji, to dodajmy, że rządowi nie podobają się Wiadomości.

A już prawie nikomu nie podobają się przepędzi, ceny i własne zarobki.

Mimo wszystko niektórym nie podobają się: generał Ciasoń jako reprezentant RP na obczyźnie, jak również - rzecznik rządu oraz Andrzej Drawicz w roli odnowiciela.

I tak dalej. Przeważa ogólne zbrzydzenie.

Czy tak musi być ?

Musi. Zdecydowały o tym trzy przyczyny: 1- punkt, z którego startowano wiosną ubiegłego roku, zawierając kontrakt przy Okrągłym Stole; 2- "tło", jakiego dostarczyły polskim przemianom wydarzenia w środkowo-wschodniej Europie; 3- świadomy, jak się wydaje, wybór dokonany przez pierwszy niekomunistyczny rząd polski, wybór towarzyszący odejściu od systemu autorytarnego.

Ponieważ dwie pierwsze okoliczności są dość oczywiste, chciałbym skupić się jedynie na tej trzeciej.

Jest otóż prawdą akceptowaną i u nas, że wolność ekonomiczna stanowi przesłanie konieczną, ale jednak nie wystarczającą dla trwałego zbudowania podstaw demokracji. Twierdzenie to, funkcjonujące jako kanon, mętnieje jednak nieco przy praktykowaniu próbie przejścia do demokracji od koszarowego komunizmu. Zmętnienie polega zaś na

tym, że trudno z całym przekonaniem stwierdzić, co powinno zainicjować proces zmiany ustroju politycznego. Odrobinę upraszczając pytamy wówczas: co najpierw - wolne wybory, czy zapewnienie ciągłości funkcjonowania kalekiego państwa? No, i jesteśmy już podejrzani.

Bo jakże to tak? Oni, nasi sąsiedzi, mogą podjąć próbę budowania państwa obywatelskiego od zniesienia służby bezpieczeństwa, mogą mieć "naszego" prezydenta i premiera równocześnie; mogą mieć wolne wybory i demokratycznie ustanowiony parlament. A my co mamy? "Program stabilizacyjny"?

Chwila prawdy

Nie zapominajmy, że uchylene politycznych kagańców nie jest jeszcze tożsame z wstąpieniem na drogę rynkowej wolności z "deklaracją niepodległości". Nie jest prawdą, że uda się skupić siły na walce politycznej, której stawką jest rządzenie państwem, a równocześnie przekształcać masę upadłościową postkomunistycznej gospodarki w tętniącą życiem przedsiębiorczość.

Polityczna destabilizacja może być realną "nagrodą" dopiero dla zwycięzcy w walce o wpływy. Chwila prawdy nastąpi bowiem w momencie konfrontacji każdej demokratycznie ustanowionej władzy z własnym elektoratem. Nie ma zaś dla żadnej z sil politycznych w państwach postkomunistycznych innego programu niż obietnica potu i łez dana własnym wyborcom.

Czas się obudzi

Nie przypadkiem pisze się na Zachodzie, że w Polsce są, de facto, dwa rządy - ekipa gospodarcza, skupiona wokół Balcerowicza i cała reszta.

OPERACJA SIĘ UDAŁA...

Ernest SKALSKI

Można "Balcerowicza" nie lubić, można jego plan uważać za chyboty koncepcyjnie i nierealny, a jego realizację za błędną, ale niczłowieczy byloby zrozumieć o co w nim chodzi. A chodzi w nim w ciągu najbliższych miesięcy o opanowanie inflacji i rozpoczęcie zmian systemowych, czyli zmiany realnego socjalizmu na kapitalizm.

Jeśli ktoś mówi, że jest za tym programem, ale nie akceptuje tego, że spada stopa życiowa, a produkcja nie rośnie, lecz wręcz przeciwnie - spada, to jest to nieporozumienie.

Ludziom miało być gorzej, a produkcja miała się zmniejszać! Czy w takiej proporcji i czy to w końcu wyjdzie na zdrowie, to inna sprawa, ale...

jak się panienka zdecyduje, to nie powinna być zaskoczona tym, że się okazuje bez cnoty.

Publicyści broniący rządu wskazują, że pod jego kierownictwem naród płaci rachunek za cztery dziesięciolecia komunistycznych rządów. Sprawa jest bardziej skomplikowana. Ogólna

kondycja kraju i społeczeństwa jest, oczywiście, wynikiem długiego panowania tego systemu. Gwałtowne pogorszenie się w trakcie dekomunizacji przy Mazowieckim jest natomiast wynikiem ostatnich czterech miesięcy ancien régime'u. Teoretycznie mogło to wyglądać całkiem inaczej. Gdybyśmy przejęli władzę w pierwszym półroczu, kiedy inflacja wynosiła kilka procent miesięcznie,

można by było poluzować nie tylko ceny, ale i płace, i nie być tak bezwzględny w podatkach. Oznaczałoby to, oczywiście, gwałtowny skok inflacji, ale ze znacznie niższego poziomu. Można by jednak oczekiwać, że motywacyjny zysk producentów nie rozszarpany przez fiskusa i także płace zatrudnionych, w połączeniu z dużym popytem i rosnącą swobodą podmiotów gospodarczych, uruchomiłoby ów mityczny już nieco mechanizm propozycyjny. Pozwalałoby to liczyć, że w okresie kilku miesięcy luka na rynku zaczęłaby się wypełniać, a inflacja - spadać, zanim przybrałaby katastrofalne rozmiary.

/ "PWA", nr. 4, 26. I. 1990 /

Warto tu dodać, że przy szybkim wzroście płac, praca zaczęłaby się równie szybko robić drogim czynnikiem produkcji. Wzrosłaby przez to wydajność, lecz bezrobocie byłoby szybsze i większe niż przy obecnym wariacie.

Jest to już tylko teoria, choćby z tego powodu, że dopóki inflacja wynosiła kilka procent miesięcznie i gospodarka fatalnie, ale jednak funkcjonowała, czerwony się nie zbierał, by przekazywać władzę. Zrobił to, jak pamiętamy, bez większego oporu, gdy już się zaczęła katastrofa, bo inflacja skoczyła, po uyrunkowaniu produkcji rolnej, do kilkudziesięciu procent miesięcznie.

Z propagandowego punktu widzenia może byłoby lepiej, by stara władza porządziła jeszcze dwa-trzy miesiące przy hiperinflacji. Wtedy gwałtowne pogorszenie się nie kojarzyłoby się z objęciem rządów przez Mazowieckiego. Mielibyśmy jednak stopę inflacji znacznie wyższą, gospodarkę o wiele bardziej rozregulowaną. Szanse na jakąkolwiek pomoc z Zachodu byłyby zupełnie teoretyczne. Ale stało się, jak się stało...

Przy hiperinflacji mechanizm propodażowy najprawdopodobniej by nie zaskoczył. Pieniądze zostawione producentom,

pracownikom i konsumentom oznaczałyby skok inflacji z dnia na dzień, podczas gdy pozytywne skutki rynkowe dają się odczuwać w okresie - najkrócej - kilku miesięcy. Inflacja, jaka była, wystarczała jako antymotywyacja dla dostawcy i producenta. Przy gwałtownie rosnących cenach czeka się ze sprzeczną na wyższe ceny, wstrzymywanie dostaw oznacza wstrzymanie produkcji. Producent i tak dostaje coraz więcej forsy za coraz mniejszą ilość towarów. Znamy już ten mechanizm.

Jest oczywiście idiotyzmem twierdzenie, że program Balcerowicza nie miał żadnej alternatywy. To przypomina "jedynie słuszną" decyzję, jak na przykład budowę Huty Katowice. Było i jest wiele alternatyw. Można było zaryzykować zignorowanie inflacji i pełen luz, z nadzieją, że jednak zaskoczy i wyjdziemy z o wiele głębszej inflacji. Można było program wychodzenia z inflacji rozłożyć na dłuższy okres i łagodnie zbierać z rynku pieniądze, licząc że to będzie to optymalne wyjście. Można też było pójść ostrzej z dnia na dzień, tak proponował Jeffrey Sachs i miało to swoich zwolenników.

Rząd uznał za optymalne takie akurat wyjście i już nikt

nigdy nie udowodni, że inne byłoby lepsze lub gorsze. Za tym jednak przemawiał jeden dodatkowy argument - MFW. Fundusz jest instytucją, której można nie lubić i z którego polityką można się generalnie nie zgadzać. Ale wtedy nie dostaje się odeń forsy, co znaczy, że nie dostaje się jej od rządów, banków, dostawców itp. Sapienti sat.

Czy się uda, czy nie? Jak na razie to podstawowa materia przedsięwzięcia rokuje dobrze. Rynek zaczyna się zapelniać, złoty trzyma się dobrze. Są jednak skutki uboczne. 50-procentowy wzrost cen w styczniu wygląda na utopię. Może być dwukrotnie wyższy i skutki społeczne mogą być gorsze niż te, z którymi się liczone. Natomiast korekta operacji, mająca na celu uczynienie jej przebiegu lżejszym, mogłaby nie odnieść pożądanego skutku, jeśli chodzi o poziom życia i reperkusje społeczne, natomiast przeszkodziłaby realizacji głównego zamierzenia.

Patrząc realistycznie, można oczekiwać, że Balcerowiczowi w zasadzie uda się opanować inflację, natomiast zapaść gospodarza będzie głębsza i dłużej trwająca niż by się można było spodziewać. Działania animacyjne będą musiały być ostrożne,

bo nie raz łatwiej jest animować inflację niżli produkcję. Niestety...

Zmiany systemowe nie idą najlepiej. Pierwszy atak na strukturę spółdzielczą został odparty. Kolejny jest zamierzony nieco płycej, a jego skutki trudny do przewidzenia. Trochę lepiej, choć nie bez konfliktów, idzie rozmontowywanie struktury zarządzania w przemyśle węglowym. Baronowie węglowi okazali się mniej odporni od prezesów.

Powaznym ciosem w nomenklaturze struktury będzie przebudowa władz terytorialnych i wybory do samorządów. A niewykluczone, że gniew ludu wymusi radykalne zmiany i na innych odcinkach, włącznie z mocno przyspieszonymi wyborami do parlamentu i - wtedy - na prezydenta RP. Wszystko słusznie, ale nie można gwarantować, że ruchy te od razu sprawią, iż będzie lepiej w gospodarce. Raczej przeciwnie. Dojdzie dodatkowy chaos, niechby nawet przejściowy. Nie jest nawet pewne, że likwidacja monopolu w skupie, przetwórstwie i sprzedaży żywności sprawi, że będzie jej nazajutrz więcej i po niższej cenie. Może być mniej i drożej przez jakiś czas. I co my w tym czasie powiemy oraz zrobimy?

LIST DO REDAKCJI

CHŁOPIEC DO BICIA

Od dawna jestem czytelnikiem i kolporterem PWA na terenie woj. radomskiego. Cenię sobie to pismo za rzetelność w prezentacji faktów, kompetencję i fachowość w komentarzach oraz niezależność w ocenach. Ta ostatnia cecha to absolutny unikat. Niestety wśród prasy solidarnościowej także. Jedynie PWA trzymało się faktów w opisie walki o senat na Ziemi Radomskiej między J. Lipskim a J. Pajakiem. Również niestrannie ją komentując.

Lekceważenie rolnictwa i eksploatacja "ciemnych i głupich" chłopów to najbardziej typowa cecha socjalistycznych systemów gospodarczych w demoludach. Natomiast zachłanni kapitaliści w ramach bezwzględnie wolnego rynku wprost pieszą rolnictwo - preferencje kredytowe, ulgi podatkowe, dotacje. Podobnie w "duchu socjalistycznym" utrzymać się obecnie programy reform gospodarczych. Plan Balcerowicza również. Kładę to na karb naszych przyzwyczajen w myśleniu po 40 latach życia w komunizmie.

Swego rodzaju "zniewolenie umysłów" wykazali autorzy artykułu "Trzy dni, które wstrząsnęły chłopem", PWA nr 1/1990 r. Rzeczywiście po przeczytaniu byłem wstrząśnięty. Zjazd w Mistrzejowicach uważam za udany. Tekst natomiast wstrząsnął mną swą jednostronnością i opacznością w ocenach i nierzetelnością w opisie faktów.

"Jeden z delegatów postulował (...) zadośćuczynienie tym, którym (...) odebrano posiadłości ziemskie, młyny i przetwórnice." Nie zadośćuczynienie tylko zwrot. Bo one w prywatnych rękach to przemielenie zbóż na miejscu, a nie usługowo w Czechosłowacji lub w gigancie na drugim końcu Polski. Zwrot, bo GS-owska przetwórnica to ogromne marnotrawstwo w przerobie i magazynowaniu (30% plonów w skali kraju). Taki postulat jest "szczytem chaosu w dyskusji programowej" dla autorów! Dla mnie taka ocena jest szczytem ignorancji i arogancji wobec produkcji i producentów żywności.

Owszem, zjazd nie był najlepiej przygotowany i wyreżyserowany. Wiadomo, że uchwały programowe itp. robi się przed zjazdem, a wszystko odbywało się na żywo. ZJAZD DECYDOWAŁ. Do ostatniej chwili nie było wiadomo kto zostanie szefem i jaka opcja zwycięży? Życzę tego wszystkim zjazdom, bo inaczej to po co na nie jeździć?

Był to już drugi w tym roku zjazd krajowy NSZZ RI "S". Rolnicy nie dają się szarogęsić wodzom. Brak przez to grup roboczych i możliwości rozłamów. Jest to ważniejsze niż wyczelowane wcześniej uchwały i obszerne referaty, przy których słuchaniu boli bardziej d.a niż głowa.

Emocje, żywiołowość, a przede wszystkim zbytnie przejęcie się rolą decydowało o postawie i poczynaniach na sali. Mnie to cieszy, a nie razi, gdyż obecnie "Solidarności" najbardziej zagraża zniechęcenie, obojętność, tzw. tumiwizm i dbanie wyłącznie o własną kieszeń niż kryzys i radzieckie czołgi.

Witold Rak
"S" RI Ziemia Radomska

/"PWA".nr.4.26.I.1990/

NIE WYRZEKAMY SIĘ SIŁYRozmowa z WADIMEM SMOGITILEM -
- sekretarzem nowo utworzonej
Ukraińskiej Partii Narodowej

P. - Na Ukrainie od pewnego czasu działają nowe struktury społeczno-polityczne alternatywne w stosunku do Komunistycznej Partii Ukrainy...

O. - Wszystkie te organizacje to "struktury" a nie partie, a UPN to prawdziwa partia polityczna. Walczymy o to, aby uznać, że dzisiejsza Ukraina Socjalistyczna Republika Radziecka nie jest państwem, a strefą okupacyjną, terytorium bezprawnie zagarniętym przez Rosję Sowiecką.

P. - Za niezależnością państwową Ukrainy opowiada się również Narodowy Ruch Ukrainy, Ukraińska Grupa Hłisińska czy Narodowo-Demokratyczna Liga Ukraińska...

O. - Różnica polega na tym, że one, dążąc do niepodległości, uznają istnienie obecnej USRR. Natomiast Ukraińska Partia Narodowa uważa Ukrainę za bezprawną i dlatego walczy nie o uzyskanie, a właśnie o odbudowanie niepodległości państwowej.

P. - Czy do UPN mogą należeć tylko Ukraińcy?

O. - Członkami naszej partii mogą być przedstawiciele wszystkich narodowości. Może do nas wstąpić każda pełnoletnia osoba, która popiera ideę odbudowy niezależności państwowej Ukrainy. Przecież w wolnym kraju będziemy razem mieszkać i razem budować państwo demokratyczne.

P. - W marcu odbędą się wybory do Rady Najwyższej USRR i rad terenowych. Stwarza to znakomitą okazję do walki politycznej. Czy zamierzacie wziąć udział w kampanii wyborczej?

O. - Nadchodzące wybory nie wnoszą zasadniczych zmian. Nawet jeśli wielu porządnym ludziom stanie deputowanymi i tak nie będą oni w stanie dokonać zmian podstawowych i kardynalnych. Rządzący aparat partyjny nawet się ucieszy, że obok jego funkcjonariuszy w wyborach wezmą udział "demokraci" - Patrząc jakimi jesteśmy pluralistami: do "świętego miejsca" dopuściliśmy nawet naszych idących przeciwników, takich jak np. Michajło Horyń i Wiaczesław Czornowill...

P. - Wyobraźmy sobie, że Ukraińska Partia Narodowa zdobyła władzę. Twierdzicie, że macie zamiar budować demokratyczne, niezależne państwo. Co jednak, naszym zdaniem, jest gwarantem demokracji? Czy nie będzie groźby totalitaryzmu, choć już pod flagą UPN?

O. - Program naszej partii mówi o trzech podstawowych gwarancjach demokracji. Po pierwsze, ekonomiczną gwarancją demokratycznego rozwoju społeczeństwa jest, naszym zdaniem, obowiązkowe istnienie prywatnej własności środków produkcji.

Jako polityczną gwarancją demokracji niezbędny jest pluralizm - nie "socjalistyczny", "kapitalistyczny" lub jakiś inny o wąskim profilu, ale chodzi o powszechny pluralizm życia politycznego na Ukrainie.

Oprócz tego, naszym zdaniem, dla zagwarantowania demokracji niezbędny jest również czynnik siłowy. Chodzi o prawo każdego obywatela do posiadania broni osobistej, obecnie reglamentowanej przez państwo. Może ktoś powiedzieć, że wówczas gwałtownie wzrośnie przestępczość. Doświadczenia demokratycznych krajów na całym świecie pokazują, że wcale tak nie jest. Ostatecznie, to nie broń zabija, tylko ludzie... Należy sądzić, że gdyby w ZSRR istniało prawo do posiadania broni, to przestępcze władze nie tak łatwo mogłyby dokonać krwawych orgii w roku 1933 czy też 1937. Poza tym, państwo demokratyczne nie powinno się bać swojego narodu, tylko mieć do niego zaufanie!

Rozmawiał: Igor LITWIN (PAP)

**ŁEB MI PĘKA,
ALE NIE ŻAŁUJĘ**

Jan Andrzej GÓRNY

Chicago - polską knajpą. Pierogi, schabowy, placki ziemniaczane. Wódeczka prosto z Polski, u nas nie do zdobycia. Twarze jak w "Baryłce" na Marszałkowskiej. Te same, z lekką zawadiacką uśmiechy. Te romantyczne dusze.

W mieście żyje około miliona Polaków. Rzeczywiście liczby nikt nie zna - ten żywioł wymyka się wszelkim statystykom. W sklepach z wędlinami i mięsem - młode góralki spod Żywca i Nowego Targu. Dominującą grupą są "drobni ciulacze" zaczepieni na rok, dwa. Potem do domu, do żony i dzieci. Na rynku pracy robotnicy z Polski wygrywają konkurencję z Meksykanami, Portorykańczykami i czarnymi Amerykanami. Bardziej zasiedziali to dwujęzyczni emigranci z czasów drugiej wojny światowej. Ich dzieci, tak samo jak dzieci najnowszej "solidarnościowej" emigracji uczą swoich rodziców amerykańskiego akcentu.

Najnowszą falę męczy brak zakorzenienia. Musi upłynąć kilka lat, zanim zniknie bariera językowa i mentalna.

Jest w Chicago 18 pism polskich o różnym profilu. Techniki druku mogłyby im pozazdrościć wszystkie pisma w Polsce. Wyśmienity papier, kolorowe zdjęcia - tylko do czytania niewiele. Wyróżnia się Dziennik Związkowy, gazeta Związku Narodowego Polskiego, najstarszej polskiej organizacji w USA. Organizacja ta dzisiaj jest faktycznie kasą zapomogowo-pożyczkową, dość zasobną, zorientowaną na rynek am-

rykański. Może ten potencjał (7 Unii Kredytowych polskich w USA) zwróci się teraz ku staremu krajowi? Wśród gazet jest też "Krzyżówka" i półpornograficzna "Revia". Z tygodników - najlepszy "Kurier" z lekką podpadającą za reklamowanie PLL LOT, co w układach emigracyjnych śmierdzi Konsulatem PRL. "Kurier" jednak zdecydowanie wybija się ponad inne pisma. To tutaj wyklada teraz znany profesor mniemanologii sotosowanej Jan Tadeusz Stanisławski. Z profesorem ucieliśmy nad talerzem grochówki filozoficzną pogawędkę na temat: jak zarobić na małego lata.

Dziennik Związkowy w Chicago i Nowy Dziennik Bolesława Wierzbiańskiego w Nowym Jorku - to przyzwoity poziom. Ale już Gwiazda Polarna, najstarsze i największe pismo polskie w USA jest nie do czytania. Może Piotr Mroczek - od niedawna główny udziałowiec tego tygodnika - coś zmieni? Porównanie nakładu Nowego Dziennika - 12 tys. egz. i Gwiazdy Polarnej - 20 tys. egz. wiele wyjaśnia.

Większość gazet zalega polskie sklepy i stacje benzynowe "trójkąta bermudzkiego". W większości wędrują na śmieć. Gdyby nie reklamy i ogłoszenia głównie małego biznesu, dzikich budowlanców, robotników, studentów i inteligentów - budujących od lat Amerykę - byłoby fatalnie. Ale jest to zjawisko powszechniejsze i dotyczy całej prasy amerykańskiej. Mój znajomy, od kilku lat w USA, tak kreśli obraz polskich środków przekazu w Chicago: Solidarność tutaj nie dotarła. Gdyby nie kilku ludzi, wszystko pozostawałoby na poziomie polk w radiu (czeski taniec ludowy). Całą pracę ciągnie niewielka grupa ludzi. W Chicago dwie rozgłośnie radiowe Andrzeja Czumi - Stanisława Kędziwy i Jarosława Choledeczkiego. Polvision - telewizja w języku polskim Macieja Wierzyńskiego.

Trudno liczyć na tych, którzy po 2, 3 latach ciulania wracają. W samolocie nie

potrafią powiedzieć po angielsku - dzięki Niedzielną szkoła językowa dla dzieci drugiego, trzeciego pokolenia emigrantów - gdzie na patriotycznym rodem z Cepolii, a przecież te dzieciaki to już Amerykanie. Jest coś z atmosfery getta w polskiej społeczności w tym mieście. Ludzie tutaj urodzeni nie mówią ani słowa po angielsku. Są ani tu, ani tam - są nigdzie. Dobrze, że pomagają rodzinom, znajomym.

A w Konsulacie nadal jest, jak było. Ludzie czekają na nowego ambasadora, z którym będzie można otwarcie współpracować. Dotychczas np. zrobienie przeglądu filmów polskich przez Polskie Muzeum Historyczne było oceniane w kategoriach polityczno - agenturalnych. Wszystko było obciążone Konsulatem, który w tym przypadku umożliwił darmową przesyłkę kopii prezentowanych filmów.

Do niedawna (3,4 lata temu) nie było żadnych przyzwoitych informacji z kraju Kongresu Polonii Amerykańskiej. Związek Narodowy Polski, Związek Wolnych Polaków (kombatanci II wojny), Legion Młodych Polak (kombatanci) to organizacje stworzone według prawa sprzed 1939 roku. W takim stanie dotrwało to do roku 1980. Niestety, dotychczasowa emigracja nie zdołała zintegrować się z tą z Solidarności. To co powstało po roku 1982 natrafiało na rezerwę, na świat innych pojęć. Z drugiej strony, nowa fala nie prezentowała dobrego poziomu. Szybko poszła na konflikt ze starymi, a inni stanęli z boku. Tak więc solidarnościowy rodowód nie pomógł tu w stworzeniu nowego, korzystnego układu.

Na 10 milionach obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia ciąży Wielki Mit Polonii Amerykańskiej. Charakterystyczny jest kompleks wobec grup etnicznych lepiej zorganizowanych, choć mniej licznych jak węgierska, żydowska, grecka, estońska ostatnio rosyjska. Szczególnie niepokojący jest rasizm nowej fali emigrantów z Polski.

/ "PWA", nr. 4, 26. I. 1990 /

Pracują ciężko, po kilkanaście godzin dziennie, ale to jest charakterystyczne dla większości Amerykanów - zwłaszcza młodych. Młody uciekinier z Polski (przez Węgry, Austrię, Liban - do USA) tak podsumował swoje życie zawodowe: "W Polsce pracowałem kilka lat. Nigdy nie byłem zmęczony. Tutaj, po dwóch tygodniach narobiłem się więcej niż przez tamte lata. Wszystko mnie boli. Łeb mi pęka, ale nie żaluję".

Oni nie wrócą. Mają za mało, aby wracać i za dużo przed sobą. Czują się dobrze w narodzie wszystkich narodów. Nie czują się wyobcowani w tym tyglu. Ale powracająca czasem nostalgia bywa nie do wytrzymania: "Wyjechałem z Polski w 1965 roku. W 1974 roku nie wytrzymałem. Musiałem chociaż na chwilę wpaść do Wrocławia", powiedział mi polski Żyd z Komitetu Żydowskiego w Los Angeles.

Doświadczenie mogą przekazywać doświadczeni - specjaliści, ci, którym się powiodło - ludzie sukcesu. Od nas zależy, kiedy to doświadczenie i pieniądze będą uruchomione w kraju. Krokiem w tym kierunku może być rodzaje się w ogromnych bólach Polsko-Amerykańskie Forum Gospodarcze w Chicago. Zanim do tego doszło, ileż było wątpliwości, poddawania nóg - istne piekło. Ale jest to pomysł na miarę zachodzących zmian. Przykład Barbary Piaseckiej-Johnson jest nietypowy. Biznes rządzi się zyskiem, a nie sentymentami. Z perspektywy amerykańskiej zmiana systemu ekonomicznego w Polsce przebiega słamazarnie. Zrywaniem negocjacji (np. z telefoniczną korporacją Pacific Bell), okradziony biznesmen w hotelu Forum, inny szukający bezskutecznie miejsca w hotelu, ta cała postkomunistyczna atmosfera odstępuje. W paradoksalnie lepszej sytuacji są bananowe republiki, gdzie dotychczas nie było telefonów. U nas są, ale nie działają! Niemordowany Mieczysław Dutkowski,

przewodniczący "Solidarity California" opowiedział mi swoją telefoniczną przygodę w Polsce. W sierpniu tego roku zamówił rozmowę Warszawa - Lublin. Połączono go z Głogowem. Na swą interwencję usłyszał odpowiedź: "Ja lepiej wiem z kim pan chce rozmawiać".

Czy zmiany w Polsce i Europie Środkowej wpłyną jakościowo na usytuowanie i organizację Polonii Amerykańskiej? Wydaje się, że powinny. Wizyta Lecha Wałęsy w USA i Kanadzie może okazać się historyczną cezurą. Na pewno nie będzie partnerem dla emigracji rozpadające się Towarzystwo Polonia kierowane przez tow. Klasę i Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Amerykańskiej, kierowane przez prof. Jerzego Wiatra. Relacja Kraj - Emigracja nie może i nie będzie rozwijać się według dotychczas obowiązujących mechanizmów. Taką nadzieję daje dynamika zachodzących zmian.

"Pod ogromnym dachem nieba starczy miejsca dla wszystkich" - pisał Edward Stachura. Chciałbym, aby miejsce zamieszkania Polaków przestało być aż tak istotne. Ale do tego potrzebny jest i nam i Europie - Tygiel Amerykański.

KOCHAJMY SIĘ

Rozmowa z Antanasem Terleckasem -
- przywódcą Ligi Wolności Litwy

P. - 11 stycznia, na wiecu obok wilieńskiej katedry apelował Pan do nieobecnego Gorbaczowa o zwrócenie wolności Litwie. Jak odbierali Pańskie przemówienie przywódcy "Sajudisu"?

O. - Wszyscy obecni na trybunie - z wyjątkiem Bieriozowa - uściśnili mi dłoń. Nawet Wyandbergis, choć powiedział przy tym, że w moim ostatnim liście otwartym znalazło się "za wiele pod adresem Sajudisu". (Liga i Terleckas osobiście często krytykuje "Sajudis" - przyp. red.)

P. - Czy oznacza to koniec "wojny" z tym ruchem?

O. - Nie pragnęłam podziału. To partia i KGB od początku starały się poróżnić nas z "Sajudisem". Robiono wszystko, by nie dopuścić do wspólnych manifestacji. Po zjeździe "Sajudisu" w listopadzie 1989 r. już ich nie organizowano.

Wśród przywódców tego ruchu są jednak ludzie, którzy myślą o wspólnym działaniu. Na przykład Kazimieras Moticka, z którym łączą mnie dobre stosunki i wzajemne zrozumienie. Mógłbym nawet powiedzieć, że idziemy tą samą drogą, ja jedynie jestem nieco bardziej sceptyczny.

P. - Jak zachowują się komuniści z nowej partii litewskiej?

O. - Muszę przyznać, że oglądając wystąpienia niektórych z nich przed Gorbaczowem, uwierzyłem w szczerą ich intencję. Przekonali mnie, że w KP Litwy są ludzie, którzy rzeczywiście dążą do niepodległości naszego kraju. Dochodzę do wniosku, że zwolennicy hasła "wybory do Rady Najwyższej Litwy bez komunistów" nie mają racji. A jest ich niewiele, i to nie tylko w Lidze, a właśnie w "Sajudisie" - przede wszystkim w radykalnym oddziale kowieńskim.

P. - Mówi to wzięcie Magadanu, który niejednokrotnie oskarżał "Sajudis" o uległość wobec komunistów...

O. - Gdy przebywałem jeszcze na zesłaniu, dostałem list od córki, w którym pisała mi: "proszę, byś nie przywiózł tu ze sobą nienawiści". Człowiek nowej partii nadal jednak zachowuje się dwuznacznie. Brazauskas, opowiadający się za "niepodległością", milczał gdy Gorbaczow groził palcem - odwoził nas od wystąpienia z ZSRR. Paleckis, który wraz ze mną podpisał "Deklarację Gotlandzką", na wczorajszym wiecu wbrew opinii większości zgromadzonych usiłował uzyskać od nich deklarację poparcia dla gościa z Moskwy. Ci ludzie rozumieją niepodległość jako "suwerenność w składzie ZSSR".

P. - Kto z komunistów jest dla Pana wiarygodny?

O. - Przede wszystkim działacze "Sajudisu" - Genzelis, Ozolas, czy niektórzy prawnicy, robiący naprawdę dobrą robotę. Nie ma powodu, by nie znaleźli się oni w nowej Radzie Najwyższej Litwy. Problem powstanie jedynie wtedy, gdy komuniści zdobędą tam bezwzględną większość. Myślę, że działacze "Sajudisu" i Liga powinni stworzyć wówczas alternatywną Radę o charakterze niepodległościowym.

P. - Taką jak Taryba przed siedemdziesięciu laty?

O. - Właśnie taką. Ogłosiłaby ona, że wybory, przeprowadzone w warunkach okupacji są nielegalne w świetle prawa międzynarodowego. Proszę zauważyć, że Taryba też nie pochodziła z wyborów.

P. - Dlaczego w takim razie Liga nie wystawiła do wyborów własnych kandydatów, jak uczyniła to np. Partia Demokratyczna czy socjaldemokracja?

O. - Gdy pozostaniemy na stronie, nikt nie oskarży nas o politykierstwo. Nie pragniemy władzy, chcemy pozostać siłą moralną. Podaliśmy ideę, którą podtrzymał winni już inni.

Rozmawiał: Jacek Borkowicz (Agencja Wschodnia)

ZBRODNIA W STANISŁAWOWIE

Publikowane wyżej zdjęcie przysłał do redakcji nasz czytelnik pan JERZY DĄBROWSKI. Wykonał je jesienią ub. r. w trakcie pracy na polsko-radzieckim kontrakcie w Stanisławowie. Zebrane przez niego na miejscu również informacje ustne posłużyły poszerzeniu wiedzy na temat zbrodni sprzed 50 lat.

W odkopanych w 1989 r. zbiorowych, anonimowych mogiłach spoczywają szczątki więźniów politycznych (ok. 4 tys.) - Polaków i Ukraińców - zamordowanych przez

NKWD tylko w czasie jednego miesiąca: od 22 czerwca 1941, kiedy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, do końca lipca, kiedy to Stanisławów został zdobyty przez sprzymierzone z Niemcami wojska węgierskie. Zabijali oficerowie NKWD strzałem w tył głowy w piwnicach stanisławowskiego więzienia. Ciała natychmiast wywożono ciężarówką poza miasto, do ówczesnej wsi Pasieczna (dziś w obrębie miasta) i tam grzebano, tak jak w Katyniu, warstwa po warstwie. W niektórych blokach więzien-

nych mordowano w celach i w pokojach przesłuchań, a zwłoki zakopywano pod podłogą. Po zdobyciu miasta przez Węgrów (Stanisławów znalazł się w kotle, Wehrmacht był już dużo dalej na Wschodzie) odbył się uroczysty pogrzeb tych pomordowanych. Byli nimi przede wszystkim przedstawiciele polskiej inteligencji, urzędnicy, wojskowi, harcerze ale także członkowie ukraińskiej OUN.

Mord na więźniach w Stanisławowie jest drugą co do liczności ofiar zbrodnią sowiecką popełnioną niemal "w ostatniej chwili"; w czerwcu i lipcu 1941 r. w Brygach we Lwowie zamordowano 10 tys. ludzi.

POLACY NA WSCHODZIE

10 stycznia na niepodległościowym wiecu "Sajudisu" przy wileńskiej katedrze św. Stanisława wystąpił Medard Czobot, przedstawiciel Związku Polaków na Litwie. Jego przemówienie, uwiecznione wzniesionym po polsku i litewsku okrzykiem "Za wolność naszą i waszą", spotkało się z gorącym aplauzem zgromadzonych.

11 stycznia, na spotkaniu Gorbaczowa z inteligencją wileńską, Polak Wysocki opowiedział się za jednością KPZR. Dwa dni później, podczas spotkania z aktywem partyjnym, Zbigniew Balcewicz, jedyny reprezentant Polaków w KC KP Litwy, bronił jej prawa do prowadzenia własnej polityki.

W Wilnie powstał Zarząd Tymczasowy Związku Harcerstwa

Polskiego na Litwie. Przewodniczącym został Walery Tankiewicz.

Podczas tournée zespołu góralskiego "Piłsko" z Żywca, w Wielkich Ejsmontach (obw. grodzieński) ponad 500 miejscowych Polaków przez kilka godzin otaczało budynek "domu kultury", którego nie pozwolił otworzyć przedstawiciel kolchozowego aparatu, Zdańczuk. Występy odbyły się, gdyż urzędnik, przerażony groźbą szturm na budynek, ustąpił i wydał klucze.

Od wielu lat książki polskie w ZSRR są bardzo drogie, w odróżnieniu od książek radzieckich w Polsce. I tak np. "Ludzie Stalina" R. Miedwiediewa w wileńskiej księgarni kosztują 6 rub. 17 kop. (cena polska - 1000 zł, czyli ok. 1 rb), a "Jeden dzień Iwana Denisowicza" A. Solżenicyna - 4,76 (cena polska - 1000 zł). W Warszawie "Bohdan Chmielnicki" W. Zamlińskiego kosztuje 560 zł (cena w rb. - 1,60, a więc trzykrotnie taniej).

(Agencja Wschodnia)

MAZOWIECKI WIE CO ROBI

Antoni PAWLAK

Kiedy Andrzej Drawicz został Prezesem RTV, zawszą zaczął domagać się od niego generalnych zmian. Szczególnie w telewizji. Wydawało mi się to lekko niesmaczne. Było dla mnie jasne, że telewizja winna pożegnać się z grupą najgorliwszych apologetów stanu wojennego, ale byłem przeciwny generalnym czysztom. Wydawało mi się, że rozumiem Drawicza. Też byłem przekonany, że z chwilą, kiedy przejmujemy (?) władzę, nie powinniśmy czerpać wzorów z postępowania komunistów. Więcej, na łamach "Gazety Wyborczej" broniłem polityki kadrowej nowego Prezesa, dowodząc, że skoro ma się do wyboru lojalnego fachowca i miernego acz zasłużonego amatora (vide "Studio Solidarność"), wybór jest oczywisty.

Ale ostatnie decyzje Drawicza i we mnie zrodziły pewne

wątpliwości. Oto podpisał on 1 stycznia nominację Marka Tumanowicza na zastępcę dyrektora programów telewizyjnych. Zapytany o tę decyzję przez Jerzego Jachowicza ("Gazeta Wyborcza" nr 15 z 18 stycznia 90 roku) odpowiedział, że redaktor Tumanowicz "zna się jednak na organizacji pracy w TV". To prawda, w którą chętnie wierzę. Jesteśmy, tak jak premier, chrześcijanami. Zapomnijmy Tumanowiczowi mundurowe występy w Dzienniku Telewizyjnym. Zapomnijmy wyrażaną satysfakcję w jego głosie, gdy czytał rozporządzenia o stanie wojennym i kolejne sentencje wyroków na naszych kolegów. Moralnie będziemy w ten sposób czyściejsi od komunistów.

Jedynie, co wzbudza w tym wszystkim mój niepokój, to sen, który miałem dziś w nocy. Sen, po którym z ulgą stwierdziłem - jak to dobrze, że mój kolega Andrzej Drawicz nie został przez premiera Mazowieckiego mianowany Ministrem Spraw Wewnętrznych. Bowiernie nie jest

wykluczone, iż wtedy podpisałby parę nominacji na kierownicze stanowiska dla ludzi, którzy "znają się jednak" na pracy w MSW. Dla tych, którzy bili i przesłuchiwali moich przyjaciół.

Ergo, Mazowiecki wie co robi.

EPITAFIUM

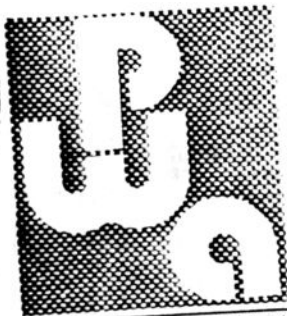
Partia - pogromca
fasyzmu, partia - prze-
wodnik mas. Do socjali-
zmu prowadzi nas! Do
socjalizmu prowadzi
nas!

Pamiętam moment,
kiedy ten niedoszły
hymn PZPR powstawał
wraz z partią. Pamiętam
pięć (chyba pięć) pierw-
szych wyprodukowanych
Starów, stojących na
ciemnym i zabłoconym
placu przed Politechniką,
w której odbywał się zje-
dnoczeniowy, pierwszy
zjazd przewodniej siły.
I oto Pan Bóg pozwolił
doczekać ostatniego.

To co piszę tutaj,
przed zjazdem, będzie
czytane już po, czyli teo-
retycznie trudno wycelo-
wać w sytuację dziś jesz-
cze nieznaną; wszak nie
wiemy jaka będzie resz-
tówka po PZPR, ale
praktycznie nie ma to
większego znaczenia. Pra-
wie zupełnie mnie nie
obchodzi jaka partia czy
partie będą się szarpać
o prawo bycia lewicą
i nie jestem w tej obojęt-
ności odosobniony. I to
jest ta największa
satysfakcja.

Zaraz po wprowadzeniu stanu wojen-
nego ostrzegałem ludzi, którym źle nie ży-
czyłem, by rzucali legitymacje partyjne, bo
następnym razem to już trzeba będzie je
znieść. Potem jednak zreflektowałem się
i gdy inni jeszcze mówili o wieszaniu ko-
munistów, ja uważałem, że okrutniejszą ka-
rą będzie zmuszenie ich, aby stanęli do
wyborów, których nie będzie można
sfalszować.

Partia wiedziała, że się okaze



NR 5 2-II-1990 rok VII (224)
CENA 500 ZŁ

POLSKA RULETKA

O MOGILE W GIBACH

ICH ZNAK - MARYNARSKA KOSZULKA

BRANDT ZASTĄPIŁ LENINA

PROTAZY ODPOWIADA KLARZE

str. 3

str. 5

str. 9

str. 10

str. 16

PRZEGLĄD WIADOMOŚCI AGENCYNICH

w mniejszości, nie sądziła jednak, że będzie
ona aż tak mała, iż zupełnie nie da się
rządzić, nawet za przyzwoleniem wielkiej,
potężnej opozycji. Potem się okazało, że
partii nawet na bycie opozycją nie staje si-
ły. Jakaś lewica w Polsce - rzecz jasna
- będzie, jeśli będziemy w miarę normal-
nym krajem. Ale będzie ona przez pokole-
nie słaba, bo samo słowo "lewica" skompro-
mitowane jest bezpowrotnie. A jeśli za
lewicę będą robili pogromcy PZPR, to ja
możemy mieć z głowy. Opcjani lewicowcy
znajdą sobie jakiś bardziej radykalny kicru-
nek bez komunistycznej zaszłości. Zostanie
grupa ludzi, którzy pomyślą, że może warto
przejąć tę resztówkę, która zostanie po ro-
zliczeniu majątku, że nawet niewielką szan-
sę warto obstarwić, zwłaszcza jeśli się nie

ma wyboru. Ale to już jest głównie ich
sprawa.

A nam, sierotom, zabraknie czerwone-
go do wzajemnego straszenia się, bo go już
nie ma jako aktywnej siły, która nas może
napaść. Ruskim też się już nie możemy po-
straszyć, bo może on wyprowadzić dokonać
wielu rzeczy, ale raczej już nie interwencji.
Gruzy systemu będą nas przywalali jeszcze
dość długo, ale to już inna historia.

A wracając do partii, to interesuje nas
jej przeszłość, a nie to co z PZPR wynik-
nie. Ta przeszłość, której już nie można
zmienić, nie można odrobić, nie można od-
pokutować, od której już się nawet nie
wypada odcinać i której nie zrównoważy
łagodne oddanie władzy. A to jest komuni-
stów zasługa jedyna.

UCHWAŁA

III WALNEGO ZEBRANIA DELEGATÓW
NSZZ "S" REGIONU MAZOWSZE z 20
stycznia 1990 r.

Treść szeregu ustaw przyjętych ostatnio
przez Sejm w ramach programu reformo-
wania polskiej gospodarki nie spełnia istot-
nych wymagań ochrony interesów pracow-
ników, zagrożonych w ich prawie do pods-
tawowego dobra, jakim jest praca i jej
właściwe wynagrodzenie. Dotyczy to zwa-
szcza ustaw: o szczególnych warunkach roz-
wiązywania z pracownikami stosunków pra-
cy z przyczyn dotyczących zakładu pracy,
zwanej ustawą o zwolnieniach grupowych,
o zatrudnieniu oraz o opodatkowaniu wzro-
stu wynagrodzeń w 1990 r.

W ustawie o grupowych zwolnieniach
szczególnie rażąco są te postanowienia, które

dopuszczają swobodę doboru zwalnianych
pracowników przez dyrekcje w przypadku
braku porozumienia ze związkami zawodo-
wym i osłabienie ochrony prawnej działaczy
związków i samorządu, kobiet w ciąży, osób
przebywających na zwolnieniach lekarskich
oraz brak trybu odwoławczego od decyzji
dyrekcji.

Ustawa o zatrudnieniu stawia bezrobot-
nego w sytuacji petenta wobec urzędu zat-
rudnienia, nie dając mu gwarancji korzysta-

nia z prawa do nowej, zgodnie z kwalifika-
cjami pracy, przy czym decyzje organu
zatrudnienia nie podlegają zaskarżeniu.

Nie możemy akceptować takich ustaw
i reformy budowanej na ich podstawie. Ko-
nieczna jest ich nowelizacja.

Te oczywiste niedomogi ustaw powsta-
ły, naszym zdaniem, w wyniku niedostate-
cznej wewnątrzwiązkowej konsultacji oraz
braku współpracy Obywatelskiego Klubu

Parlamentarnego z krajowymi władzami
NSZZ "Solidarność". Konieczne jest ustano-
wienie reguł postępowania przy opiniowaniu
wszelkich projektów ustaw dotyczących
spraw pracowniczych, sformalizowanie trybu
współpracy z NSZZ "Solidarność" z Rządem
i Parlamentem, a także podjęcie własnych
inicjatyw ustawodawczych popartych szeroką
konsultacją i publiczną prezentacją racji
NSZZ "Solidarność".

Podobne stanowisko zajął Zarząd Re-
gionu "S" w Bydgoszczy, który wydał 16
stycznia w tej sprawie specjalne oświadcze-
nie. Jego sygnatariusze, krytycznie odnosząc
się do polityki rządu i parlamentu, postulu-
ją m.in. utworzenie Banku Socjalnego dla
ludzi dotkniętych biedą, w tym
bezrobotnych.

/"PWA", nr. 5, 2.II.1990/

POLSKA RULETKA

Krzysztof HAGEMER

LEKSYKON

Polacy, którzy od Sierpnia 1980 do sierpnia 1989 w sferze polityki wykazują tyle niezwykłego rozsądku i realizmu, teraz - w realizowanym programie gospodarczym - jak gdyby przypomnieli sobie o swych tradycjach ryzykownych zrywów, Somosierry i szarż z szabłami na czołgi. To zastyszana ostatnio opinia człowieka mieszkającego na Zachodzie, choć żywo zaangażowanego w sprawy polskie.

Z pewnością w realizowanym programie stabilizacyjnym wiele jest elementów hazardu. Każda polityka, także polityka gospodarcza jest grą. Grą z wieloma uczestnikami o różnych, sprzecznych interesach. W polskiej grze jest podobnie, choć nie jest to gra o sumie zerowej, w której jedni wygrywają tyle co inni przegrali. Tu albo wszyscy przegramy, albo wszyscy wygramy - choć jednocześnie bardzo różny może być podział wygranych zysków czy też kosztów przegranej pomiędzy różne grupy społeczeństwa.

Ryzyko związane z realizacją programu stabilizacyjnego nie wynika tylko z nieprzewidywalnych zdarzeń losowych, lecz z trudności przewidzenia zachowań poszczególnych uczestników życia gospodarczego: zarówno tych, którzy prowadzą działalność gospodarczą jak i zwykłych zjadaczy chleba. Obecna konstrukcja szczegółowych rozwiązań programu zakładała takie a nie inne reakcje podmiotów gospodarczych.

Po pierwszych tygodniach realizowania programu widać, że przynajmniej w jednej sferze - cen - konsekwencje wprowadzonych rozwiązań odbiegają od tych jakie przewidywano. Przesiębiorstwa w znacznie większym stopniu niż przypuszczano usiłują (poprzez wzrost cen) przerzucić na konsumentów koszty dewaluacji złotówki, podwyższonej stopy procentowej, ograniczonych dotacji. Szczególnie ostro wystąpiło to na rynku żywnościowym. Jak się wydawało rynek ten, po szoku cenowym pomiędzy sierpniem a październikiem, został ustabilizowany, pojawiła się bariera popytu. Stąd też przewidywania rządu, że po 1 stycznia można oczekiwać stosunkowo niewielkiego wzrostu cen żywności. Tymczasem wzrosły one w wielu wypadkach o 100% lub nawet więcej. Ma to olbrzymie konsekwencje dla kosztów utrzymania, zwłaszcza uboższych grup ludności, a program rządowy nie przewiduje innych barier dla samowoli cenowej przedsiębiorstw niż bariera popytu.

Pytanie: na ile ten znacznie wyższy niż przewidywano wzrost cen zagraża powodzeniu programu rządowego? Myślę, że nie musi zagrażać. Wiele zależy od tego, na ile rząd będzie skłonny elastycznie dostosowywać przyjętą w punkcie wyjścia strategię do zachowań innych uczestników tej "gry", do rozwoju sytuacji. Zmiany strategii nie muszą oznaczać zmiany czy wycofywania się z przyjętego programu, nie muszą zagrażać jego powodzeniu. Wprost przeciwnie. Największym zagrożeniem może być choć uparte trwanie przy pierwotnie przyjętej strategii bez względu na rozwój sytuacji.

I tak na przykład rząd oczekiwał wzrostu cen w styczniu maksymalnie o 45%. W rzeczywistości wzrost ten sięgnie zapewne 70%. Przy przewidywanym wzroście cen przyjęto, że nieopodatkowany wzrost funduszu płac może wynieść 0,3 wzrostu cen, a więc niecałe 14%. Przewidywano więc przeciętne obniżenie płacy realnej o około 20%. Utrzymanie tego samego wskaźnika 0,3 przy znacznie wyższym wzroście cen może oznaczać spadek płacy realnej nie o 20% lecz o 30% lub nawet więcej. Czy tak głęboki spadek płacy realnej jest konieczny dla sukcesu programu rządowego? A jeśli nie, czy bez szkody dla spójności całego programu nie należałoby skorygować współczynnika 0,3 do poziomu 0,5? Daloby to wyższy wzrost płac nominalnych, lecz realny ich spadek wyniósłby 20% - a więc tyle ile przewidywano.

I druga kwestia, już poważniejsza, gdyż sięgająca głębiej w całą filozofię programu rządowego, którego jednym z filarów jest liberalizacja cen. Czy doświadczenie stycznia nie jest sygnałem, że w gospodarce nadal tak zmonopolizowanej i nieelastycznej bariera popytu nie stanowi dostatecznego hamulca dla samowoli cenowej? Czy w związku z tym nie należałoby jej wzmocnić przez ingerencję państwa - zarówno poprzez ustawę antymonopolową i działania demonopolizacyjne, jak i poprzez inne środki kontroli cen?

Sukces programu rządowego nie zależy, moim zdaniem, od tego jak szybko opóźniona zostanie hiperinflacja. Zależy on od tego czy uda się w najbliższych miesiącach uniknąć gwałtownego spadku produkcji, a przede wszystkim od tego, czy i kiedy pojawi się jej wzrost. W tej sferze jest zbyt wczesnie, by móc ocenić konsekwencje wprowadzonych rozwiązań. Ale i tu należy się liczyć z możliwością wystąpienia reakcji nieprzewidywanych i niechcianych. I tu także powodzenie będzie zależało od elastyczności w dostosowywaniu strategii gospodarczej rządu do rozwoju wydarzeń.

Ryzyko przegranej zawsze pozostanie. Ale nie jest to ruletka i można, je zmniejszać, nie zmniejszając wcale stawki.

Niewiele jest, jak dotychczas, książek na temat opozycji politycznej w PRL, które mogłyby stanowić rodzaj podręcznego kompendium dla osób, które nie zetknęły się bezpośrednio z jej działalnością. Pierwszą ważną pozycją jest wydany w 1985 r. w Londynie (potem mający edycję krajową) słownik Jakuba Karpińskiego "Polska, komunizm, opozycja". Mówiąc słowami autora, jest to "krótki niebiograficzny słownik powojennej historii i współczesności politycznej w Polsce, uwzględniający niektóre wydarzenia wcześniejsze i niektóre wydarzenia poza Polską". Znalazły się więc w nim, obok hasel takich jak "administracja", hasła "beton", "KOR", czy "Polak potrafi" oraz nazwy niektórych podziemnych pism i wydawnictw. Z powodu tej różnorodności hasel nie starczyło już miejsca dla wielu grup opozycyjnych i wielu znaczących tytułów prasy podziemnej. Zmusiło to autora do skrótowego, a niekiedy zbyt lakonicznego, potraktowania dużej części hasel.

Prasie i wydawnictwom niezależnym poświęcone były, jak dotychczas, dwie pozycje: wydana w 1988 r. w podziemnej Oficynie Literackiej książka Józefa Gajewskiego "Materiały do bibliografii druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury 1962 - 1986" oraz - wydrukowana w paryskim wydawnictwie "Spotkania" - "Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce" Józefy Kamińskiej za okres 13 XII 1981 - VI 1986.

W Warszawie 20 stycznia powstało Towarzystwo Kształceniowe "Solidarność dla Przyszłości". Jego głównym celem jest powołanie krajowego Instytutu i obywatelskich wszechnic oświatowych. Mają one krzewić wiedzę o społeczeństwie, umacniać postawy demokratyczne i dawać szansę na zdobycie kwalifikacji w różnych dziedzinach, również zawodowych.

Inicjatorzy liczą na włączenie się działacze "S", komitety obywatelskich i duszpasterstw.

W skład komitetu Założycielskiego Towarzystwa wchodzi m. in. Ireneusz Krzemiński, Krzysztof Nowak, Wojciech Maczkowski.

ADRES: "Solidarność dla Przyszłości", Instytut Socjologii UW, ul. Karowa 18, Warszawa 6.

Krajowa Komisja Wyborcza "S" w Gdańsku unicwaziła 22 stycznia wybory do władz regionu Ziemia Radomska. Dzień później w Radomiu spotkali się delegaci na Walne Zebranie regionu. Z głosów, które tam padały wynika, że istnieje poważna groźba rozpadu całej regionalnej struktury "Solidarności". Kilka komisji zakładowych zapowiedziało wystąpienie z Międzyzakładowej Komisji Regionalnej (tak nazywa się kierownicza struktura związku), o ile ta podporządkuje się komisji wyborczej z Gdańska. Kilka innych komisji postąpi tak przy akurat odwrotnej decyzji MKK. Istnieje niewielkie szanse na jakiegokolwiek dobre rozwiązanie. Pozostaje wybór "mniejszego zła", a co nim będzie zdecydować III tura Regionalnego Walnego Zjazdu Delegatów.

/"PWA", nr. 5, 2.II.1990/

P. - Jesteś autorem filmu o mogile odkrytej w Gibach na Suwalszczyźnie. Jak do niego doszło?

O. - W 1987 roku, po wakacjach zgłosiły się do mnie panie Alicja Maciejowska i Maria Chwalibóg, które przeprowadzały ankiety po odkryciu grobu. Spytały, czy nie zainteresowałbym się dokumentacją tego wydarzenia. Zaprosiły mnie na mszę, która odbywała się w Suwalkach w Święto Zmarłych. Pojechałem. Zaraz po nabożeństwie zaczęli łapać mnie ludzie: *Sluchaj - mówili - tutaj jest taki facet, który stracił brata... Tu jest pani, która też straciła brata.* I tak wszedłem w pierwszy wywiad, później drugi, trzeci. Przy czym część tych ludzi była już przesłuchana przez ankietatorów a część przesłuchiwałem razem z ankietarami. Już wtedy zauważyłem, że chociaż pytania w ankiecie były niezmiernie szczegółowe i dotyczyły prozaicznych spraw, jak na przykład ubiórenie czy ubranie, w jakim zaginiona osoba wyszła z domu - to nic sposób było oprócz się emocjom. Nie oparli się oni ani też ja... Najpierw rzeczowo odpowiadał na pytania, chwilę później - można to było zauważyć na ujęciu - jak pękają. Ta chwila rozmowy, to był jakiś magiczny moment. Ci ludzie do tej chwili nie chcieli mówić, myślę, że po prostu bali się. Powstanie Komitetu i to, że sprawa nabrała oficjalnego biegu spowodowało, że zaczęli ze sobą rozmawiać.

P. - Jesteś współautorem innych bolesnych, polskich dokumentów. Razem z Marcelem Łozińskim robiłeś film o pogromie kieleckim w 1946 roku. Czy przy produkcji filmu o Gibach coś cię zaskoczyło, o czym chciałbyś powiedzieć.

O. - Już przy drugim wywiadzie postanowiłem, że każdego będę pytał o sny. Z początku myślałem, że te opowieści staną się kłamrą łączącą poszczególne sekwencje, były mi potrzebne jako pewien zabieg formalny. I nagle okazało się, że ci ludzie śnią ten sam sen o swoich bliskich zaginionych od ponad czterdziestu lat.

P. - Rozumiem, że sny te i tobie nie dawały spokoju...

O. - Największe wrażenie zrobiły na mnie sny, o których można powiedzieć, że były a rebours. W filmie ich nie umieściłem, ponieważ stworzyłyby komplikację narracyjną. Po godzinnej rozmowie, niezwykle dramatycznej, twarz jednej z rozmówczyń rozświetliła się, gdy zapytałem ją o sen. Mąż, którego odprowadziła do punktu zborczego - widziała go wtedy ostatni raz w życiu - przysnął się jej już pierwszej nocy... w postaci konia, który do niej mówił: *Zdejmujcie z pieca wszystkie fajki, tylko po jednej.* Ta kobieta mówiła i śmiała się.

P. - Film ten robiłeś również nieformalnie, bez dużej ekipy, kicowników i mecenasa państwowego.

O. - Kiedy usłyszałem kilka pierwszych wypowiedzi, wiedziałem, że ten film koniecznie należy zrobić. W Polsce sponsozem jego była Video-Nowa. Pomogli mi również koledzy pracujący w Anglii, zapewniając, że filmem zainteresuje się IV kanał TV. I tak doszło do swoistej koprodukcji.

P. - W tej chwili robisz zdjęcia do filmu o Katyniu

duża była siła argumentów tych ludzi - nie tylko rodzin ofiar ale też mieszkających tam, którzy nikogo nie stracili, ale znali tę tragiczną historię. Miałem szereg świadków, którzy przedstawiali mi pozornie niezbite dowody... Na przykład, że on tu mieszkał i miał sąsiadkę, a ta sąsiadka nosiła kolczyki, które właśnie dwa miesiące temu podobno wygrzebano z ziemi.

P. - Nikt nie miał wówczas wątpliwości, że Urban demonstrując na konferencji prasowej znaczki identyfikacyjne żołnierzy niemieckich jak zwykle łże.

O. - Oprócz dowodów bezpośrednich, jak kolczyki, przedstawiono jeszcze dowody pośrednie. Spotykaliśmy na przykład panią, która niezwykle wiarygodnie opowiedziała nam - a nie mieliśmy powodów żeby jej nie

Wajda wzruszył się, był wstrząśnięty, ale już po chwili myślał rzeczowo - nie muszą tutaj dawać, że wpływ na to miał fakt, że sam stracił ojca w Katyniu. Po obejrzeniu sceny na której moi bohaterowie wykopują szkielet, spytał: *Ja nie zauważyłem, ale panowie na pewno przyrzekli się... Czy w tej chwili była dziura?* Szczerze wtedy odpowiedziałem: nie wiem, nie zauważyłem. Parę godzin później to samo pytanie zadałem Adamowi Marszałkowi, który przeprowadzał rozmowy. Adam powiedział: Przyjrzałem się, nie było.

Wtedy pomyślałem - nie było śladów po strzałach... No to niby jak?

P. - A jak przyjeźli to ludzie, którzy mogli sądzić i sądzili, że groby ich bliskich wreszcie zostały znalezione?

O. - Myślę, że większość tych ludzi nie przyjęła do wiadomości faktu, że w Gibach pochowani zostali Niemcy. Postawili tam brzożowe krzyże. I przynoszą kwiaty. Wreszcie mają je gdzie przynieść. I sądzę, że nikt, ani żaden człowiek ani żadna organizacja nie będą w stanie ich przekonać, że ten grób nie jest grobem ich bliskich zaginionych. Oni wiedzą, że ich bliscy są gdzieś tutaj, może tylko 60 kilometrów dalej. Ale gdzieś tu muszą leżeć.

P. - Mówisz o tym spokojnie. Ale wiadomość, iż w Gibach pochowani są Niemcy na pewno jakoś przeżył.

O. - Po powrocie z wakacji dowiedziałem się, że odbyła się kolejna ekshumacja, która jednoznacznie odpowiedziała, że w Gibach znajduje się niemiecki grób przyszpitalny. Nie było to dla mnie żadnym wstrząsem. Ten film mówi o tym, że ci ludzie zginęli w taki właśnie sposób, a nie o tym, gdzie zostali pochowani. Ci ludzie rzeczywiście zniknęli i rzeczywiście nikt z nich nie wrócił. Słyszałem wiele historii, niezwykle prawdopodobnie opowiadanych, o tym jak ci ludzie dawali znak, że na przykład siostra pana X wyrzuciła karteczkę pod Grodnem i ta karteczka dotarła do rodziny. Dotarłem do tej rodziny i okazało się to nieprawdą. Myślę, że ci ludzie chcieli wierzyć, że ich bliscy jakoś przeżyli. Bo jeśli powie się, że ich wywieźli gdzieś daleko, to może oni rzeczywiście gdzieś żyją. Słyszałem więc opowieści, że ktoś wrócił. Sprawdziłem i okazało się to nieprawdą. Oczywiście, musiałem też usłyszeć historię o kimś kto ciężko ranny wygrzebał się spod ziemi i ocalał. To była sensacja. Do człowieka, który znał tego cudownie ocalonego prowadził mnie już przez las. I oczywiście okazało się to również nieprawdą. Nie przeżył nikt.

Rozmawiała:
Stanisława Domagalska



Rys. Andre Barbe

Andrzeja Wajdy i Marcela Łozińskiego. Czy można porównać atmosferę rozmów z rodzinami tych, którzy zginęli w Katyniu, a tych, o których sądzono, że zostali pochowani w Gibach?

O. - Ci, którzy stracili swoich bliskich w Katyniu mieli świadomość, że o tych sprawach gdzieś się mówi, pisze, chociażby na Zachodzie. Poza tym w Katyniu zginęli przede wszystkim ludzie mieszkający w dużych miastach. Na Suwalszczyźnie nie przepadli ludzie prości, o których bano się mówić.

P. - Zaczynając film o Gibach, myślałeś, że dokumentujesz jeszcze jedną zbrodnię NKWD?

O. - Początkowo nie miałem co do tego żadnej wątpliwości. I to wcale nie dlatego że jestem łatwowierny. Bardzo

ufać - o tym, że ręce bardziej znaczących więźniów krępowano drutem. To przyznał nawet Urban... Powtórzę argumenty bohaterów mojego filmu: *Niemiec by swoich nie wiązał drutem.* Nie wiem zresztą, jak sprawa ta została wyjaśniona po drugiej ekshumacji, bo jednak obowiązanym drutem szkielety wykopano po raz drugi.

P. - Były jeszcze inne argumenty.

O. - Na przykład, czy możliwe jest, aby Niemcy swoim przed śmiercią ściągali buty? To przypominało bardziej praktyki Rosjan.

P. - Czyli nie miałeś żadnych wątpliwości?

O. - Muszę się przyznać, że miałem. Skończyłem już film i jedną z pierwszych osób, której postanowiłem pokazać był Andrzej Wajda. Andrzej

"A może o tym nie można mówić...". Reżyseria i zdjęcia - Jacek Petrycki
Wywiady - Adam Marszałek
Muzyka - Danuta Zankowska
Montaż - Katarzyna Maciejko
Produkcja Video-Nowa i 4 KANAŁ TV BRITYJSKIEJ

/ "PWA", nr. 5, 2.II.1990/

POZEGNANIE Z CENZURĄ

Lech PALANDYSZ

Nastal czas pożegnań. Rozstajemy się z PZPR i jej dziedzictwem. Ceremoniał pożegnalny potrwa jeszcze jakiś czas, gdyż trzeba po kolei odprawiać w niebyt poszczególne składniki ciężącego na całym społeczeństwie partyjnego inwentarza. Zegnaliśmy niedawno pezetperowski "prawo", a dzisiaj mamy okazję uczcić okolicznościowym tekstem zapowiedziane już odejście Towarzyski cenzury.

Cenzura nie jest oczywiście wynalazkiem komunistycznym. Jej historia sięga najdawniejszych czasów i można przyjąć, że jest ona równieśniczką władzy państwowej. Chyba każda władza odczuwa potrzebę sprawowania kontroli nad tym co mówią i piszą poddani, ale formy tej kontroli mogą być różne. Historia cenzury zarówno świeckiej jak i kościelnej nie jest historią chwalebna i nie chcę się w nią zagłębiać. Trzeba jednak wspomnieć przynajmniej o tym, że w dziejach nowożytnych (heczonych przynajmniej od rewolucji francuskiej) toczył się nieustanny spór o model cenzury. Istotą tego sporu dobrze oddaje następująca wypowiedź jednego z polskich profesorów prawa karnego z lat dwudziestych: "Głównym środkiem zapobiegawczym przeciwko ujemnym przejawom prasowym była dawniej cenzura prewencyjna, która do największego rozwoju doszła w państwach samowładnych (absolutystycznych). W skutkach swych okazała się ona jednak całkiem bezowocna, a przeto z biegiem czasu została ona prawie całkiem porzucona, ustępując miejsca tzw. cenzurze represyjnej. Ta ostatnia

różni się od prewencyjnej tym, iż utwory przed wydaniem nie podlegają uprzedniemu przetrzeeniu specjalnych organów rządowych i nie potrzeba aprobaty

przed puszczeniem ich w obieg, natomiast wydawcy, względnie autorzy, podlegają odpowiedzialności za obrazę specjalnych przepisów prasowych i za przestępstwa popełnione osnową duku" (W. M. Borowski, "Zasady prawa karnego", Warszawa 1923, cyt. za: J. Bafia, "Prawo o cenzurze", Warszawa 1983, s. 20).

W Polsce międzywojennej, mimo obciążenia bagażem różnych przepisów państw zabor-

czych zdecydowanie dominował model cenzury represyjnej. Odpowiednie akty prawne wydał Naczelnik Państwa już w 1919 roku, a Konstytucja Marcowa zabraniała ustanowienia systemu kontroli prewencyjnej. Burzliwe dzieje dwudziestolecia (por. M. Pietrzak, "Reglamentacja wolności prasy w Polsce (1918-1939)", Warszawa 1963) są ciekawą lekcją historii walk toczonych wokół koncepcji cenzury, która jednak - co do zasady - zdolała przetrwać trudne lata trzydzieste.

Odciszająca od nas dzisiaj Towarzyska cenzura urodziła się mocą dekretu z 1946 roku o utworzeniu Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Przez 35 lat żyła sobie spokojnie i dostatnio, aż przyszyły lata osiemdziesiąte - czas jej agonii. Obowiązująca jeszcze ustawa o cenzurze z 1981 roku była jedną z nielicznych wywalczonych w pierwszym okresie "Solidarności". "Solidarność" uważała ją wówczas za sukces, ale później okazało się, że władze, przygotowujące stan wojenny "odpuściły" po prostu sprawę, gdyż żądania opozycji były w istocie minimalne (nie domagano się przecież zniesienia cenzury) i niegroźne. W stanie wojennym cenzurę "uszczelniono" a po jego zniesieniu wprowadzono do ustawy niektóre wojenne zastrzeżenia. W drugiej połowie lat 80. opozycja nawiązała swe ataki na cenzurę. Kondycja cenzury gwałtownie podupadła w roku 1989, doprowadzając ją w końcu do kresu niesławnego żywota.

Jeż niezapomnianych przeżyć i wspomnień zabiera ze sobą do grobu Zasłużona Towarzyska? Można było przecież o niej nie skończyć, a teraz... taka nagle pustka. Nie martwmy się jednak zbytnie i poczekałmy. Może jeszcze kiedyś wróci - jako Obywatelka. Pani albo Jej Wysokość. I wtedy wszystko zacznie się od nowa.



PPS NIE REZYGNUJE

Prezydium Rady Naczelnej i Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS wyło uchwałę w sprawie zagarniętego przez komunistów majątku.

"PZPR w ciągu przeszło 40 lat swego totalitarnego panowania w Polsce zagarnęła bezprawnie ogromny majątek, należący do Skarbu Państwa oraz rozmaitych organizacji społecznych i politycznych. Tzw. Kongres Zjednoczeniowy partii robotniczych w 1948 roku przypieczętował prowadzoną od 4 lat likwidację polskiego demokratycznego i niepodległościowego socjalizmu oraz całego ruchu polskiej lewicy. Doszło do niego w warunkach politycznego i policyjnego terroru, po usunięciu z lubelskiej PPS 250.000 socjalistów i aresztowaniu przywódców PPS WRN, w klimacie nieustannych represji sterowanego przez PPR Urzędu Bezpieczeństwa. PZPR przejęła wówczas całość gromadzonego przez lata majątku PPS i organizacji z nią związanych: budynki, wydawnictwa, drukarnie. Zwrot prawowitym właścicielom zagarniętego majątku - organizacji, osobom prywatnym i Skarbowi Państwa - jest elementarnym wymogiem sprawiedliwości. W szczególności reaktywowana w kraju w 1987 roku PPS domaga się zwrotu całości majątku zgromadzonego przez polskich socjalistów do 1948 roku. Część tego majątku znajduje się w formalnym posiadaniu przybudówki PZPR - RSW Prasa-Książka-Ruch. Prezydium RN i CKW PPS wzywa kierownictwo komunistycznej PZPR do uregulowania tej sprawy przed rozwiązaniem tej partii. Próby przejęcia zagrabionej własności przez organizację, które ewentualnie powstaną na gruzach PZPR byłyby kolejnym aktem bezprawia, przekreślającym z góry i tak wątpliwą wiarygodność tych organizacji."

(SIS)

GEREMEK O WYBORACH SAMORZĄDOWYCH

P. - Czym będą się one różnić od ubiegłorocznych wyborów do parlamentu?

O. - W tamtych wyborach, noszących z natury rzeczy bardzo polityczny charakter, linia podziału była oczywista - z jednej strony stała komunistyczna władza, a z drugiej większość społeczeństwa, która te władze odrzucała (...). Sądzę, że w wyborach samorządowych ten typ podziału nie będzie przeważał, a może wręcz w ogóle nie będzie istniał. W życiu w jakimś sensie kontrowersja ta nadal istnieje i ma charakter systemowy: odrzucając system nomenklatury domagamy się wyborów samorządowych. Jednakże podział ten nie będzie się chyba ujawniał w kwestiach personalnych, gdzie decydujące znaczenie będzie miało kryterium kompetencji i uczciwości (...).

W kampanii wyborczej do Parlamentu naszym wielkim celem było rozbudzenie świadomości politycznej społeczeństwa. Natomiast w nadchodzącej kampanii rzeczą najważniejszą będzie chyba rozbudzanie poczucia odpowiedzialności za władzę, za sposób jej sprawowania, za własną społeczność lokalną i id.

Sądzę ponadto, że te wybory będą niezwykle ważnym elementem w dynamizowaniu sytuacji politycznej i przyczynią się do ponownego przyspieszenia procesu historycznych zmian w Polsce (...).

P. - Będą zwieńczeniem polskiej pokojowej rewolucji, przyniosą ją ze szczybla centralnego do społeczności lokalnych?

O. - Tak. W ich wyniku powinno nastąpić spotkanie dwóch procesów: ogórnej demokracji, której rezultatem stało się powołanie rządu premiera Mazowieckiego, i procesu budowy demokracji oddolnej lokalnej. Myślę, że gdy te dwa procesy się spotkają, skuteczność polskiej drogi będzie już oczywista dla wszystkich.

(SIS)

NASI W AFGANISTANIE

z Markiem Koźniewskim rozmawia Stanisław Plewako

P. - Jest Pan kolejnym Polakiem, o którym dowiadujemy się, że przebywał w Afganistanie wśród powstańców. Wymieńmy ich w kolejności: Andrzej Skrzypkowiak, Lech Zondek, Jacek Winkler, Radek Sikorski, Pan...

O. - Tak, to wszyscy, o których słyszałem. Z tej piątki Lech Zondek i Andrzej Skrzypkowiak w Afganistanie zginęli. Spotkałem człowieka, który znał Lecha Zondka - zabił się on spadając ze skały przy przechodzeniu przez góry z Pakistanu do Afganistanu. Natomiast Andrzej Skrzypkowiak został zamordowany przez ludzi z Hezb-e-Islami Hekmatyara.

P. - O bandyckich wyczynach członków tej partii można sporo usłyszeć. Na początku lipca zabili 30 do-

wódców konkurencyjnej partii Jamiat-e-Islami, jadących na naradę do komendanta Massouda. Poprzednio te gwałty nie wywoływały radykalnych kroków ze strony Koalicji Afgańskich Partyzantów w Peshawarze. Czy Hezb-e-Islami Hekmatyara nadal pozostaje w rządzie tymczasowym powołanym na początku roku przez Koalicję?

O. - Hekmatyar sam ustąpił z Koalicji. Trzeba powiedzieć, że przypadki zabójstw na tle politycznym powtarzają się. Np. w Kandaharze został zabity komendant Latif, góral 88-letni, ale w doskonałej formie fizycznej. Dowodził oddziałami Narodowego Frontu Islamskiego Pierra Gallaniego. Pretekstem zabójstwa było zawarcie rozejmu z oddziałami reżimowymi,

które trzymają miasto.

P. - Wydaje się, że wyjazdy Europejczyków do Afganistanu pozwalają Zachodowi lepiej zrozumieć ten konflikt. Czy Afgańczycy są podobnego zdania?

O. - Teraz Afgańczycy nie wpuszczają już każdego, bo wielu przekraczało granicę, robili trochę ujęć i wracali z nieprawdziwym materiałem filmowym. Andrzej Skrzypkowiak nauczył operowania kamerą wideo samych Afgańczyków i robią to bardzo dobrze, filmują podczas walki, więc obecność innych reporterów nie jest już tak potrzebna, jak przed paru laty.

P. - Jak skończy się wojna? Czy po wycofaniu Armii Sowieckiej i niepowodzeniach partyzanckich szturmów na miasta, opór przeciw Nadżibowi stopniowo wygaśnie, czy może powróci król, a może partyzanci jednak zwyciężą?

O. - Nadżib jest symbolem sowieckiej wojny z Afgańczykami. Nadal jest to wojna święta, religijna. Jeśli zabraknie Nadżi-

ba - może się stosunki wewnętrzne jakoś ułożyć. Rola króla Zahir Szacha, obalonego 15 lat temu, jest niepewna. Z jednej strony cieszy się on zaufaniem części prostych uchodźców afgańskich w Pakistanie, z drugiej strony przywódcy partii islamskich pamiętają jego nieudolność, korupcję za czasów monarchii i wprowadzenie przez niego własnie wpływów sowieckich do kraju. Za złe mają mu też Afgańczycy, że siedział z dala od wydarzeń na emigracji w Rzymie. Podobnie jego stronnik generał Wadak - mimo, że zawodowy wojskowy - przebywał w Rzymie zamiast walczyć w polu. Wiek nie może być wymówką, jak świadczy przykład komendanta Latifa.

Jednakże Afgańczycy muszą w końcu znaleźć jakiś modus vivendi, zwłaszcza jeśli obie strony zostaną pozbawione wsparcia materialowego.

Są to fragmenty wywiadu, który w całości ukazuje się w 10 numerze kwartalnika "Samostanowienie".

Mam żal do Janusza Kijowskiego, że zaważył robotę, zrobił bowiem nijaki film o stanie wojennym.

Film rozgrywa się w środowisku aktorskim i mamy tu do czynienia ze swoistym teatrem w teatrze, ze swoistą konfrontacją sztuki z życiem. Oto bowiem artyści, którzy przygotowują się do premiery "Hamleta", nagle zmuszeni są do zagrania innych ról, w innym utworze, bo w specyficznej, pogrudniowej wersji "Policjantów i złodziei". Role zostały rozdane. Sceniczny Hamlet przemienia się w nadwiślańskiego Hamleta anno Domini 1981/82. Przed Grudniem był człowiekiem, który

demonstracyjnie odcinał się od jakiejkolwiek polityki i alergicznie reagował na wszystko, co choćby pośrednio jej dotyczyło. Źródłem tego lęku są wspomnienia związane głównie, choć nie tylko, z postacią jego ojca, dawnego stalinisty, w 1956 roku wywiezionego na taczce z fabryki, człowieka, który bywał na wyżynach, ale również boleśnie z nich spadał. Lęk przed klęską i upadkiem, rozpaczliwe trzymanie się własnej prywatności i obsesyjna chęć ucieczki z Polski - oto choroba duszy Jana Mateckiego, głównego bohatera filmu. Wbrew swojej woli, ulegając prośbie przyjaciela, przejmuje on opiekę nad depozytem

należącym do "Solidarności" i w ten sposób staje się główną postacią w opozycyjno - milicyjnej aferze. Otoczony grą pozorów, ludzką podłością i miłośnością, wciąż atakowany (ale tylko zza okien i z telewizora) przez wystylizowane na "szwadrony śmierci" oddziały ZOMO, niczym Konrad w swej celi lub Hamlet w Elsynorze, rozgrywa człowieczą partię. Wspaniały, wspaniały temat!

Wyszedłem jednak z kina znudzony, z duszą i sercem w stanie spoczynku, a oko me pozostało cyniczne i suche. Wojciech Malajkat w roli Jana Mateckiego, choć tak bardzo się starał, robił miny i krzyczał,

jest co najwyżej poprawny, nie przykuwa uwagi, nie jest osobowością, gubi dużo możliwości danych mu przez scenarzystę i przez ogólną ideę filmu. Tej roli jakby nie ma, a bez tej roli nie ma tego filmu. Zamiast więc stać się dramatem narodowym i uniwersalnym, stał się ten film dość nudną opowieścią o neurotycznym faciecie, który dostawszy w kość pozbierał się wszakże do kupy i w sumie wyszedł na swoje. Oj, te Hamlety znad Wisły...

Władysław Oręga
"Stan strachu", reż. Janusz Kijowski, scen. Janusz Kijowski, Cezary Harasimowicz, wyst. W. Malajkat, A. Majcher, H. Talar. Prod. Z.F. "OKO", 1989.

STRACHY NA LACHY

Ta ostatnia zawiera bibliograficzny opis polskich wydawnictw podziemnych (3729 pozycji, w tym 1456 tytułów czasopism, 2174 książek i broszur oraz 99 kaset magnetofonowych) i jest o wiele obszerniejsza od pierwszej, a także zawiera mniej błędów niż bibliografia Gajewskiego.

Jednak zarówno jedna jak i druga nie obejmują lat 1976 - 1981, a więc pierwszego, jakże ważnego okresu narodzin i rozwoju niezależnej prasy i wydawnictwa, a także, ze zrozumiałych powodów, ostatnich trzech lat. Dobrze się stało, że pojawiła się pozycja, która w dość wyczerpujący, a jednocześnie słownikowy sposób zestawia we wzajemnych powiązaniach informacje o organizacjach, wydawnictwach i pismach zorganizowanej opozycji politycznej, działającej w Polsce od powołania Polskiego Porozumienia Niepodległościowego i KOR, aż prawie po dzień dzisiejszy. Jest to wydany w Warszawie "Leksykon opozycji politycznej 1976 - 1989" Dariusza Cecudy.

Książka składa się z dwu części: "I. Organizacje polityczne. Ważniejsze dokumenty programowe", "II. Wydawnictwa. Czasopisma bezdebitowe". Szczególnie za tę pierwszą należą się autorowi słowa uznania, choć

jak sądzę, na pewno wkrótce odezwą się reprezentanci pominiętych przez Cecudę partii i grup politycznych "o jakich się filozofom nie śniło". Część druga jest dużo bardziej pobieżna i nie umywa się do wybitniejszego kompendium Kamińskiej - np. brak hasła "Pule", "Spotkania", "Serwis Informacyjny Solidarności - SIS", "Niezależna Agencja Informacyjna - NAI", "Wybór", "Tumul", "Brulion". Braki te nadrabia Cecuda dość obszernym opisem periodyków i wydawnictw, choć i tu jest wiele błędów, np. nieścisła informacja o prowadzonej już od końca lat siedemdziesiątych, a nie wyłącznie w stanie wojennym przez prof. Adama Kerstena "NOWej 2", która wydała większość książek Towarzystwa Kursów Naukowych, uśmiercenie już w 1986 r. "Samorządnej Rzeczpospolitej", czy informacja o tym, że ukazujący się w latach 1982 - 1985 "Tygodnik Wojenny" miał nakład do 3000 egz., podczas gdy jego nakład wynosił w różnych okresach 12000 - 40000 egz.

K. Smoczyński

Dariusz Cecuda, "Leksykon opozycji politycznej 1976 - 1989", Wydawnictwo BIS - ZST i TRUST, Sp. z o.o., Warszawa 1989.

/"PWA", nr. 5, 2.II.1990/

ZE WSPOMNIENIŃ DZIADKA PROTĄZEGO

-Dziadku Protazy, od czego ta blizna na czole?

-Od kozackiej szabli, córeczko, gdy bronilem Olszyny Grochowskiej pod jeneralem Zymirskim.

-Słyszałam, że dziadek znał pana Marksa?

-Czasem miałem się z nim na Soho, ze dwa razy piwo piliśmy w londyńskim pubie, ale prawdę mówiąc nie byłem go ciekaw. Już Engelsa wolalem, bo stawał czasem "scotcha".

-Jak to? Marksa nie był dziadek ciekaw?

-Było wtedy tyłu bardzo interesujących socjalistów: Bebel, Lafargue, Lessner, chociaż - szczerze mówiąc - wolalem tego uroczego Bakunina. Marksa tylko Engels

uważał za geniusza, zresztą bez wzajemności. Obaj zaś uchodzili za dziwaków, z tym swoim dialektyzmem od Hegla ściągniętym. Mehring, a zwłaszcza Lassalle oraz ojciec i syn Liebknechtowie to w ogóle sobie z nich dworowali, córucho. No, jedno się Karolowi udało: powiedział, że uświadomieni robotnicy chwycą władzę w swe ręce, co się akuratnie sprawdziło w "Solidarności", tej z 80 roku naszego wieku.

-Ich wszystkich znał dziadek? Dziadek też lewicował?

-Pewnie, jak każdy. Kto za młodo nie był socjalistą, na starość będzie świnią.

-Dziadek też sam coś tworzył lewicowego?

-I... nie za wiele, wolalem w Ostendzie dzierlatki podglądać, jak pół tydki pokazy-

waly. Trochę anarchizowałem z Piotrkiewiczem - Ikonowiczem?

-Nie, Kropotkinem. Trochę z Bernsteinem bawiłem się w rewizjonizm. Dopiero teraz kończę dzieło życia.

-Jak się będzie zwalo?

-"Komunizm jako ostatnie stadium totalitaryzmu". Rzecz dotyczy oscylacjonizmu naukowego.

-Przepraszam, czego?

-Oscylacjonizmu. Istotą dziejów jest oscylacja. Prościej - pulsowanie. Na przykład ten Bonaparte, którego jak przez mgłę pamiętam z dzieciństwa, był wielkim radykałem, obalił monarchię absolutną na fali gniewu ludu - cały świat miał być jedną wielką republiką! - aby koniec końców stworzyć superabsolutne cesarstwo. Wahadło poszło w drugą stronę, nastalo reakcyjne Święte Przymierze. Nomenklatura - to jest arystokracja, chciałem powiedzieć - odzyskała zamki, zniesiono swobodę prasy i uniwersytetów. Ludzie myśleli, że już zawsze tak będzie, a tu proszę - wiosna Ludów!

-Jak teraz, we wschodniej Europie, dziadku?

-Dokładnie tak. Ale to była krótka eksplozja. Znowu wróciło wstecznicstwo, era pruskiej buty i aroganckiej władzy. Półki nie napłynęła nowa fala: runęły mocarstwa centralne. Polakom i Bałkańczykom zaświtała wolność, a w Rosji - Kierieński, któremu Lenin ukradł piękną rewolucję i zrobił z niej bolszewickie szambo...

-No, teraz z niego wyłazimy nareszcie!

-Bóg tak chciał. Zesłał Polakom dwóch wspaniałych ludzi: jednego z galicyjskich Wadowic, drugiego z Popowa w Ziemi Dobrzyńskiej Trzeci Polak, ten mazowiecki, również się niezłe spisuje.

-Już teraz będzie dobrze, dziadku Protazy?

-Będzie dobrze, będzie, po przejściowych dwudziestoletnich kłopotach.

-Więc oscylacjonizm naukowy straci swą moc?

-Przenigdy! Jak już pan Grobelny zostanie naszym Rockefellerem, pan Balcerowicz dorówna Grabskiemu, a Syryjczyk - Gieńkowi Kwiatkowskiemu (mówię tak, bo to mój kumpel od kielicha), to znowu odżyje gniew ludu i wahadłko wychyli się w drugą stronę. Nawet wiem, kto to zrobi, ale nie powiem.

Rozmawiała: Klara

KOMPLETNA ANARCHIA

18 stycznia, na zebraniu w jednej z sal Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW nastąpił rozłam w łonie warszawskiej grupy Federacji Anarchistycznej (dawniej Międzydzielców Anarchistyczna). Najistotniejszym powodem podziału była niezgodność w kwestii stosowania przemocy w czasie manifestacji ulicznych i innych poczynań Federacji. Przedmiotem burzliwej dyskusji stała się zadyma zorganizowana przez Federację 12 stycznia br., pod hasłami: "Władza Samorządowi", "Dość podwyżek", "Zupa dla Kuronia".

Część przedstawicieli warszawskiej Federacji Anarchistycznej stwierdziła, iż działania o charakterze agresywnym i destrukcyjnym szkodzą idei anarchizmu, który i tak, w rozumieniu potocznym, ma wyraźnie negatywne konotacje; taki przebieg manifestacji, jak 12 stycznia, zniechęca do działania wspólnie człon-

ków innych ruchów i organizacji o orientacji pacyfistycznej.

Zwolennicy stosowania przemocy zapowiedzieli, że będą kontynuować działalność, jako że społeczeństwem ogłupianym przez stale kłamiwe mass media należy mocno wstrząsnąć; poza tym wkrótce dołączą do nich bezrobotni. Dodano też, że senatorowie mają w końcu wystarczające dochody, żeby złożyć się na nowe szyby - to im nie będzie wiało.

Tak więc, warszawska Federacja Anarchistyczna przestała istnieć jako monolit.

Przeciwnicy stosowania przemocy postanowili sygnować swoją działalność nazwą RSA - Ruch Społeczeństwa Alternatywnego, zaś ich antagoniści dadzą znać o sobie jako Międzydzielców Anarchistyczna.

Katarzyna Żuczowska

KOLPORTERZY

W okresie stanu wojennego, łącznikami pomiędzy "podziemiem" i światem zewnętrznym byli kolporterzy - najbardziej narażeni na wpadkę działacze opozycyjni. Niezależni sprzedawcy, z wypełnionymi bibułą piecakami przemysłkami się na uczelnie i do zakładów pracy, by tam dyskretnie spieniężyć swój towar. To bardzo ryzykowne zajęcie przynosiło niewspółmiernie małe dochody. Wydawcy oferowali 10 - 15 % ceny od sprzedanej książki lub gazetki. Jeżeli łączuszek kolporterów liczył dwie - trzy osoby, to bezpośredni sprzedawca (ostatni w łańcuszku) mógł się jedynie zadowolić przywilejem pierwszeństwa zakupu najciekawszej pozycji.

Obecni kolporterzy nie są już tak bezinteresowni. Teraz wolno stowo stało się przedmiotem spekulacji. Wystarczy porównać ceny wybranych książek sprzedawanych przed bramą Uniwersytetu Warszawskiego (najdrożej), w przejściu podziemnym pod Rondem i na Dworc Centralnym (najtaniej).

Stoiska przed bramą Uniwersytetu są największym skupiskiem

sprzedawcy pism bezdebitowych w Warszawie, ale są też miejscem najbardziej skandalicznych spekulacji książkowych. Za duże pieniądze można kupić pozycje drukowane w Londynie i broszurki wydawane przez Editions Spotkania, przeznaczone do bezpłatnego rozpowszechniania w kraju. Tu "Oni" Torąńskiej kosztują 10 - 12 tys. (cena detaliczna - 6 tys.). Bulwersującą przedsiębiorczością popisał się kolporterzy, którzy masowo wykupili odgrzebany gdzieś w hutowni pięciotomowy zbiór Pawła Jasienicy "Polska Piastów", "Polska Jagiellonów" i "Rzeczpospolita Obojga Narodów". Podbili jego cenę z 15 na 130 tys. za komplet.

Stragany z bibułą to osobny smutny rozdział tego interesu. Jak dotąd żadnemu sprzedawcy nie chciało się skonstruować solidnego zadaszenia chroniącego książki przed deszczem. W dżdżyste dni stosowane są prowizoryczne zabezpieczenia: płachty foliowe, prymitywne przeciekające daszki. Bywa, że cenne pozycje w ogóle nie są chronione.

Szalonych kolporterów zastąpili sprzedawcy szaleńczo uganiający się za pieniądzem.

Ponury



NR 6 9-11-1990 rok VII (225)
CENA 500 ZŁ

BŁĘDY POLSKIEJ DYPLOMACJI
POLSKA DO WZĘCIA
ODUCZĄ NAS CZYTAĆ
OSTATNI ZJAZD
KACZOR DONALD NIE DOSTAŁ...

PRZEGLĄD - WIADOMOŚCI AGENCYNICH

Z FRONTU POŻYCZKOWEGO

W opublikowanych 29 stycznia wytycznych dla wszystkich banków działających w W. Brytanii, Bank Anglii zalecił zwiększenie rezerwy na pokrycie ryzyka niespłacenia pożyczek udzielanych przez nie krajom Trzeciego Świata i Europy Wschodniej z dotychczasowego przeciętnego poziomu 30-35% do ok. 50%. Uważa się to za poważne ostrzeżenie przed udzielaniem przez banki komercyjne pożyczek krajom Europy Wschodniej. Istnieją przesłanki pozwalające sądzić, że o ile krok Banku Anglii jest związany z polityką rządu mającą odstręczać kraje Europy Wschodniej od zaciągania pożyczek (wielokrotnie wspominała o tym Margaret Thatcher), to w istocie odzwierciedla on bardzo niechętny stosunek - a więc i pesymistyczną ocenę wiarygodności kredytowej - ze strony samych banków komercyjnych. Już w listopadzie banki Lloyda i National Westminster na własną rękę zwiększyły odpowiednie rezerwy do 70 i 65%, a prezes tego pierwszego, Jeremy Morse, oświadczył niedawno, że "banki brytyjskie w ogóle nie powinny patrzeć w stronę Europy Wschodniej". Prezes Midland Bank, Kit McMahon, oznajmił zaś, że wszelkie pożyczki udzielane krajom wschodnioeuropejskim powinny mieć gwarancje rządowe, a pod własnym imieniem krajom tym nie pożyczą ani grosza żaden z banków komercyjnych.

Japonia zamierza poprzeć USA i W. Brytanię domagając się, aby Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju (BERD) udzielał pożyczek wyłącznie na inwestycje w sektorze prywatnym krajów Europy Wschodniej - poinformowano w Tokio 30 stycznia - w dniu, w którym rozpoczynają się w Paryżu spot-

kania robocze ekspertów mających opracować status tej nowej instytucji.

Zdaniem amerykańskich ekspertów, w najbliższych latach największe szanse zwiększenia eksportu do Polski mają - spośród amerykańskich farmerów - producenci zboża i żywcia.

Tak przynajmniej pisze w najnowszym, lutowym numerze specjalistycznego miesięcznika FARMLINE MAGAZINE. Jeżeli chodzi o perspektywy eksportowe do ZSRR i Europy Wschodniej jako całości, największe szanse mają producenci tekstyliów, przetworzonej żywności i innych towarów przemysłu "lekkiego". Komputerowe prognozy wykazują, że oprócz Polski import: zboża zwiększą Jugosławia, Czechosłowacja i Bułgaria, zaś żywcia - Węgry i Jugosławia.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

O szczegółach "niepożądanych skutków amnestii" donosiła codzienna prasa, całość podsumowały tygodniki. Kilku zabitych, kilkudziesięciu leż lub ciężiej rannych, łączne straty materialne rzędu kilkunastu miliardów złotych - oto wymierny bilans więziennych buntów i ich tłumienia. Teraz różne ważne komisje ustalają, kto za to ponosi odpowiedzialność.

Jeśli odjąć komunizm (jako Ogólnego Sprawcę) i samych więźniów (sprawców szczegółowych), a także niemądrych kibiców (m.in. pewnych dziennikarzy) - zostają, moim zdaniem, bezpośredni twórcy amnestii, czyli posłowie, senatorzy, rząd i prezydent. Jest to niemal 600-osobowe grono i trudno mi powiedzieć, na kim konkretnie i jaka część odpowiedzialności ciąży. Nie chcę też ani słowem wypowiadać się na temat surowości bądź łagodności tego najnowszego aktu państwowej łaski. Wiem natomiast jedno: w taki sposób żadnej amnestii przygotować ani uchwałać nie wolno!

O czym mówię? Jeśli amnestia staje się przedmiotem publicznej, niemal dwumiesięcznej debaty; jeśli obowiązuje czasochłonna i nieprosta procedura transmitowanych uzgodnień ostatecznej wersji ustawy między obiema izbami parlamentu; jeśli zarazem więźniowie mają (i

śluszenie!) dostęp do prasy, radia i telewizji; jeśli wreszcie dochodzi do wynaturzeń w rodzaju zawiązywania ad hoc komórek kryminalnej "Solidarności" i oficjalnych negocjacji z nimi - to nie ma się co dziwić, że końcowe, tragiczne efekty są takie, jakie są...

Powyższe trzy akapity zanieśli do zaopiniowanej redakcji przed świętami Bożego Narodzenia, ale przekonano mnie, że dyplomatycznie będzie uniknąć zarzutu o pochopność sądów i warto poczekać do chwili, gdy rezultaty prac oficjalnych komisji zostaną opublikowane.

Raport taki ogłoszono 1 lutego; jego lektura w całości potwierdza przedstawiony wyżej punkt widzenia. Dowiadujemy się ponadto, że nieuzasadnioną nadzieję w więźniach rozbudzili niektórzy posłowie, senatorowie i regionalni przedstawiciele "Solidarności", deklarując w rozmowach ze skazanymi - cytując - "osobiste poparcie dla takiego zakresu amnestii, który obejmuje również recydywistów".

Ufajmy, że nauka płynąca z tych dramatycznych wydarzeń zostanie w przyszłości spożytkowana. W najbardziej nawet demokratycznym państwie amnestia powinna mieć formę prezydenckiego bądź rządowego dekretu, starannie i dyskretnie (!) przygotowanego, którego niezapowiedziane ogłoszenie kończy sprawę.

Stanisław REMUSZKO

KONFEDERACJI NIE BĘDZIE

Węgrzy najwyraźniej nie wykazują entuzjazmu dla coraz częściej zgłaszanego projektu dojsca do zjednoczonej Europy poprzez wcześniejsze zbliżenie co najmniej trzech państw środkowoeuropejskich: Polski, Czechosłowacji i Węgier. W trakcie konferencji prasowej zorganizowanej na zakończenie wizyty w Budapeszcie Vaclav Havel powiedział: "Nasze kraje będące do niedawna satelitami Związku Sowieckiego, teraz zaś pozbywające się systemu totalitarnego i szukające drogi do demokracji i do Europy, powinny koordynować swe posunięcia. I dlatego odwiedziłem właśnie Polskę i Węgry. (...) Chodzi tu nie tylko o koordynację naszej drogi do Europy, ale i o to, do jakiej Europy chcemy wrócić". Matyas Szueroes, pełniący czasowo (do wyborów) funkcję prezydenta Węgier, wykazał wobec tego projektu daleko posuniętą rezerwę, zgłaszając alternatywną koncepcję powołania wspólnoty dunajsko-austriackiej, w skład której wchodziłyby Austria, Węgry, Włochy, Jugosławia oraz Czechosłowacja. Uzgodnienia pomiędzy czterema pierwszymi z wymienionych krajów są już zaawansowane, teraz zaś oficjalne zaproszenie otrzymała Czechosłowacja. Vaclav Havel oświadczył, że

Czechosłowacja zaproszenie to przyjmuje, równocześnie jednak będzie kontynuować proces zbliżenia z Polską, budując tym samym swego rodzaju północną analogię do kształtującej się na południu konfiguracji dunajskiej. Proces ten - oświadczył prezydent Czechosłowacji - nie jest wymierzony w tworzące się czy już istniejące wspólnoty, ani w stosunki bilateralne pomiędzy państwami naszego regionu. Nie koliduje on z przyjęciem zaproszenia do wspólnoty austriacko-dunajskiej, stanowiąc wobec niej dopełnienie".

Matyas Szueroes natomiast nie udzielił jednoznacznej odpowiedzi na propozycję uczestnictwa Węgier w polsko-czechosłowackim projekcie współpracy. "W ramach RWPG kształtuje się swego rodzaju centrum zmian, obejmujące Polskę, Czechosłowację i Węgry - powiedział. - Tworzy się alians polsko-czechosłowacki. Należy to dogłębnie rozważyć i starannie się przygotować". Vaclav Havel zaprosił Węgrów do udziału w uzgodnionym już ze stroną polską, polsko-czechosłowacko-węgierskim spotkaniu na zamku w Bratysławie w pierwszej połowie kwietnia. W tym środkowoeuropejskim szczycie mieliby też uczestniczyć ministrowie spraw zagranicznych innych państw europejskich, m.in. Austrii, Włoch i Jugosławii, zaś rozmowom na najwyższym szczeblu miałyby towarzyszyć spotkania przedstawicieli organizacji społecznych i partii politycznych, międzynarodowe imprezy kulturalne i artystyczne. Także i na te propozy-

cje Matyas Szueroes udzielił odpowiedzi, którą można uznać za dość powściągliwą. Poinformował dziennikarzy, że projekt spotkania należy przeanalizować i że ministerstwa spraw zagranicznych Węgier i Czechosłowacji zostały upoważnione do poczynienia niezbędnych przygotowań. Wygląda więc na to, że koncepcja środkowoeuropejskiej koordynacji wysiłków zmierzających do integracji Europy przybiera na Węgrzech kształt odmienny od projektów formułowanych w Warszawie.

Czy oba te stanowiska dadzą się uzgodnić i czy różnice te nie stwarzają zagrożenia dla możliwości realizacji samej koncepcji? - z tym pytaniem zwróciłem się do Vaclava Havla na pokładzie samolotu w drodze powrotnej do Pragi. "W obu krajach - odpowiedział prezydent - spotkałem się z dużym zrozumieniem dla propozycji, z którymi przyjechałem. Stwierdziłem też, że w Warszawie i w Budapeszcie występują daleko idące zbliżności w sposobie myślenia o tych problemach, zaś różnice w rozkładzie akcentów i rozbieżności udało się uzgodnić i skoordynować w sposób odpowiadający wszystkim stronom." Odniesić można wrażenie, że Czechosłowacja zamierza wziąć na siebie zadanie pogodzenia dwóch, nie do końca pokrywających się wizji integracji środkowoeuropejskiej, pragnąc pełnić funkcję ognia łączącego północną i południową część tego obszaru.

Wojciech Maziarski

Byłoby dość dziwacznie, gdyby dyplomacja niektórych przynajmniej państw postkomunistycznej Europy nie usiłowała jakoś wygrać danego nam teraz czasu. Już mniej dziwne wydaje się, że brakuje jakiegokolwiek - póki co - koordynacji między poszczególnymi inicjatywami na międzynarodowym forum. Najprzykrzejsze wszakże zdaje się, że dotychczasowe inicjatywy takich krajów jak Polska czy Czechosłowacja okazują się spudłowane. Czyżby wieloletnim opozycjonistom - Havelowi, Mazowieckiemu - brakowało wyczucia?

Istniał w polityce międzynarodowej uprawianej od dziesięcioleci przez rządy komunistyczne rytuał zgłaszania propozycji - dla propozycji. Rozliczne inicjatywy, plany były uroczysto proklamowane i nie podejmowane. Że tak właśnie będzie, wiedzieli świetnie politycy zgłaszający propozycje i ci, co musieli ich wysłuchiwać. Całe legiony "planów" rodzonych rok po roku przez Związek Radziecki i państwa satelickie, stawały się przedmiotem dowcipów. Nigdy zaś podejmowanych na serio politycznych analiz.

I oto nagle okazuje się, że przywódcy niekomunistyczni, powodowani już przecież uczciwymi intencjami, nie potrafią w swych pierwszych wystąpieniach przed międzynarodową opinią publiczną, wyrwać się z kręgu dezawuowanych przez adresatów oświadczeń.

Stało się. Stało się fatalnie; zarówno inicjatywa Havla goszczenia w Pradze spot-

kania na szczycie, jak i propozycja Mazowieckiego powołania Rady Współpracy Europejskiej, zgłoszona właśnie w Strasburgu, okazały się nieporozumieniem.

Dobra wola, to za mało, by w polityce międzynarodowej osiągnąć sukces. Stąd propozycje, które z perspektywy Warszawy czy Pragi mogły wydawać się frapujące, musiały zdać się co najwyżej niedojrzałe dla Moskwy, Waszyngtonu lub Strasburga. A przecież jeśli na serio myśli się o powodzeniu jakichś propozycji, nie można ra-

PUDŁA

Janusz Jankowiak

chować jedynie na zrozumienie własnych uczciwych intencji ani tym bardziej na aprobata dla ich moralnej wzniosłości. Warto za to zawsze zastanawiać się nad grą sprzecznych interesów. Żeby nie być gołosłownym, a pozostać jeszcze przy naszych przykładach, postawmy sobie dwa tylko pytania: jaki to mianowicie interes miałaby mieć Rada Europy aprobując entuzjastycznie utworzenie Rady Współpracy Europejskiej z siedzibą w Warszawie i jaka mianowicie siła byłaby w stanie skłonić Moskwę do odbycia "cyrku na szczycie" w stolicy państwa do niedawna wasalnego?

Dobra, dajmy sobie z tym spokój.

Przyjrzyjmy się za to przez chwilę, jak można - bez wybujałych ambicji, ale za to z rokowaniem na sukces - próbować robić politykę europejską w tych trudnych

czasach.

Przykład pierwszy: inicjatywa Francuzów powołania Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (BERD). W gąszczu sprzecznych interesów, jakimi omotana jest przyszłość Europy, jest to strzał w dziesiątkę. Sojusznicy - państwa postkomunistyczne; cel własny - próba zneutralizowania potencjalnych wpływów niemieckich w krajach Europy Środkowo - Wschodniej. Trudności - utopienie pomysłu nie przez przemilczenie i również nie w drodze ujawnienia rzeczywistych powodów, a po prostu z uwagi na "niemożność skoordynowania procedur technicznych". Jest w każdym razie o czym dyskutować.

Przykład drugi: Wielka Brytania podejmująca wysiłek eksportu thatcheryzmu do Europy Środkowo-Wschodniej. Sojusznicy - jak wyżej. Cel własny - jak wyżej, oraz rozgrywanie karty wschodnioeuropejskiej w starciu z eurokratami z Komisji Europejskiej Delorsa. Trudności? Tu, sądzę, warto udzielić głosu samemu "eksporterom". "The Economist" pisał niedawno, że wielu doradców zachodnich, goszczących w naszej części kontynentu, nosi najgorsze cechy ortodoksyjnych marksistów: bazują na istniejących u nas podziałach, uprawiają demagogię, itp. Jest w każdym razie i tu o czym dyskutować.

I dla kontrastu przykład trzeci - znów Francuzi. Tym razem jednak inicjatywa "globalna" - Mitteranda wizja Europy skonfederowanej.



/"PWA", nr. 6, 9. II. 1990/

Jako wizja o tak olbrzymim stopniu abstrakcji - bez zarzutu; jako konkretna inicjatywa - pudło, bo bez wskazania jakichkolwiek narzędzi realizacji.

Pora na ogólny wniosek. Wszyscy wiedzą, że Europie Środkowo-Wschodniej, nie wyłączając ZSRR, zagraża realna fala nacjonalizmów. Niemcy nie są przecież jedynym podzielonym narodem dzisiejszej Europy. Brzeziński pisuje eseje o "bałkanizacji" u nas i "libanizacji" w Sowietach. Prawie wszyscy - z wyjątkiem tych, co twierdzą, że lepiej być Polakiem, Czechem, Rosjaninem, Litwinem, itd. niż "rozmytym" Europejczykiem - wiedzą, że fali nacjonalizmów należy się przeciwstawić, póki jest jeszcze na to czas.

Nikt tylko nie wie, jak to zrobić.

W tej sytuacji wydaje się dość rozsądne, by wzorem trafionych inicjatyw zachodnich skupiać uwagę nie na głoszeniu globalnych wizji, a raczej na promowaniu inicjatyw lokalnych. Winny to być inicjatywy konkretne, o mniejszym wymiarze niż skonfederowana Europa, ale znajdujące odzew we własnych społeczeństwach i wśród sąsiadów, a to za przyczyną jasno wskazanego interesu.

Pamiętajmy, że traktat w Rapallo zawarły przegrane Niemcy ze słabnącą Rosją. Działo się to przy wtórze niestabilnych wciąż zachwyty nad cudownym wynalazkiem, jakim była Liga Narodów z jej wspinałymi planami pokojowego zjednoczenia Europy.

LEKCJA 1

"Zjazd założycielski Warszawskiego Porozumienia Komitetów Obywatelskich "Solidarność" 27-28 lutego 1990. Lekcja 1" - tak udekorowana była sala na Politechnice Warszawskiej, w której obradowali delegaci Komitetów Obywatelskich z 7 dzielnic Warszawy i województwa stołecznego. Lekcja 1, więc zdarzały się i błędy, np. przegłosowywanie po raz drugi tego, co się już przyjęło w innej wersji. Nie była to jednak tak naprawdę lekcja 1, bo powstanie Warszawskiego Porozumienia poprzedziło powołanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Komitetów Obywatelskich "Solidarność" Województwa Stołecznego Warszawskiego, już ponad półroczną działalność lokalnych KO, a także głośny spór z "S" o prawo do działania i używania miana "Solidarność". Była też próba utworzenia czegoś w rodzaju partii politycznej, Warszawskiego Ruchu Obywatelskiego "S", która nie znalazła szerszego poparcia.

Przewodniczącym porozumienia wybrano Zbigniewa Bujaka, który zaprezentował koncepcję ruchu zwartego, silnego i jasno zdefiniowanego. Ale - Bujak wygrał ze zwolennikiem decentralizacji ruchu, autonomii lokalnych komitetów obywatelskich Krzysztofem Zmijewskim, tylko kilkoma głosami. "Cieszę się, że wygrał Zbyszek, ale również cieszę się, że wygrał tak mało" - powiedział Zmijewski.

Zjazd postanowił kontynuować prace powołanych spośród delegatów zespołów problemowych: samorząd terytorialny, prasa lokalna, rolnictwo, gospodarka, kultura i oświata, interwencja i praworządność, zdrowie i pomoc społeczna, architektura, gospodarka przestrzenna i ekologia. Podjęto uchwałę w sprawie podziału Warszawy na 7 równorzędnych gmin-dzielnic oraz wezwano do udziału członków KO w wyborach do samorządów spółdzielni mieszkaniowych.

Czym zamierza być Warszawskie Porozumienie Komitetów Obywatelskich "S" - przekonamy się 24 lutego, kiedy zapowiedziano II - programową turę Zjazdu. Czym będzie? Pokażą już przygotowania do wyborów samorządów lokalnych.

Kuba Smoczyński

STRATEGIA MIMIKRY

Wojciech GIELŻYŃSKI

Jako człowiek wyrozumiały, bo sam grzeszny, oznajmiam uroczyście, że wyniki ostatniej PZPR-owskiej ceremonii pogrzebowo - narodzeniowej uważam za wyśmienite. Nareszcie wszystko jest jasne, nie musimy rozplątywać tamigłówek, czy Ruch 8 Lipca jest lepszy od "Kuźnicy", a Miodowicz gorszy od Kubasiewicza - czy też odwrotnie. Sytuacja się wyklarowała. Jeśli odliczyć folklorystyczną grupkę zakamieniających komunistów - oraz "fiszbachowców" - wszystko zostało po staremu, choć pod powiutkiem sztyldem.

Aż tak pozostało po staremu, że przyjęto nazwę naśladującą Socjaldemokrację Królestwa Polskiego, której liderka, Róża Luksenburg, historycznie zwalczała ideę niepodległości. Oto skutek korzystania ze złych podręczników: komunici, zmierzając ku centrum liberalnemu, a może nawet ku

prawicy, zapomnieli, iż na mapie politycznej zaszła rozszada - i "socjaldemokracja" była ongiś wylęgarnią właśnie komunizmu, z którym pezetpeerowcy postanowili zerwać w nocy z soboty na niedzielę.

Zapomnieli też, że kongresy założycielskie nowych partii zwołuje się nie tylko po to, aby oznajmić o ich powstaniu, lecz przede wszystkim po to, aby wspólnie przedyskutować ich ideologię, ich program. Tym się zbytnio nie frasowano w Sali Kongresowej, wyklaskując nielicznych nudziarzy, rozprawiających na te tematy. Nowi socjaldemokraci, niby Majakowski, żądali konkretnie: jak zachować jedność przereklamowanych szeregów oraz, możliwie dużo z majątku, zawłaszczonego społeczeństwu - i pod czym przewodem zmierzać ku prestiżowej Międzynarodówce Socjalistycznej.

TAKTYKA MIMIKRY

Wybrano dobrze. Kwaśniewski i Miller nadają się w sam raz na nowe czasy, są idealnymi technokratami władzy, którą zamierzają odzyskać. Zwłaszcza Kwaśniewski: wygadany, dowcipny, giętki.

Wieczni optymiści nie wróżą mu żadnych sukcesów; uważają że już się nikt nie da nabrać na komunizm, nawet w socjaldemokratycznym opakowaniu. Ja tego nie jestem taki pewien. W końcu ta nowo-stara partia będzie chyba bogatsza - przynajmniej w rutynową kadrę - od wszystkich innych razem wziętych. Chwilowo istotnie to jest raczej obciążenie - bo z czego im płacić? - niż awantaż, ale jeśli (dzięki sprytowi Wilcza) przetrwają najcięższe czasy, to oni jeszcze się wezmą do dzieła! Wystarczy przeczekać rok, może dwa lata; aż ludzie trochę zapomną - kto był kim? - i zdenerwują się na skutki programu Balcerowicza. Nie sądzę, oczywiście, że SdRP odzyska "rząd dusz", bo jej poprzedniczka też go nigdy nie miała, ale przecież Urban i Rakowski nauczali, że do rządzenia większość nie jest bynajmniej potrzebna. Wystarczy mieć za sobą mocną grupę mniejszościową, która z determinacją zawalczy o swoje przywileje - aby popsuć wszystko, co osiągnęliśmy przez lata. Szczególnie, jeśli się odmieni sytuacja w ZSRR, na co się niestety zanosi.

I stąd wynika prosty wniosek praktyczny: czynić wszystko, aby następował dalszy rozpad tego, co zostało po PZPR - i żadną miarą nie wchodzić nawet w taktyczne komerże z jej pogrobowcami, bo to przydaje im wiarygodności.

Zupełnie inna sprawa z Unią Socjaldemokracji RP. Oczywiście i do niej przylgną farbowani komuniści - już próbowali, ale Fiszbach dowiódł wielokrotnie, iż jest człowiekiem uczciwym i wiarygodnym. Jego formacja ewentualnie może się stać sojusznikiem naszego obozu solidarnościowego, a nawet członkiem owej "lewej nogi" pożądanego układu politycznego, o którym rozmyśla Wałęsa. Podkreślam: "ewentualnie" i "być może" - bo nigdy dość zabezpieczeń. Zapewne też z partii Kwaśniewskiego (i z tych, co olali jedną i drugą) uda się przyciągnąć trochę ludzi pogubionych, ale przywoitych.

Przydałaby się na przykład, z odzysku, panna Edyta Kwapich, licealistka, od tygodnia tak wypróbowana socjaldemokratka, że przewodniczyła obradom zjazdowym.

Do Redaktora JACKA MAZIARSKIEGO

Z radością słuchaliśmy w "Wiadomościach TV" (27 i 28 I) wypowiedzi Jacka Maziarskiego na temat manifestacji towarzyszących obradom XI Zjazdu PZPR. Redaktor "Tygodnika Solidarność" udowodnił, że "Wiadomości" i "DTV" to nie to samo i że jemu samemu obcy jest tradycyjny styl komentarzy okresu stanu wojennego. Stwierdzenie dotyczące grup awanturniczej młodzieży atakującej kamieniami i butelkami z benzyną funkcjonariuszy MO (którzy do końca zachowywali się powściągliwie) jest całkowicie prawdziwe, bo:

- 1) Mała, półtoratysięczna grupa młodzieży w wieku od 16 do 80 lat z niewiadomych przyczyn zgromadziła się 27 stycznia w okolicach Sali Kongresowej. Istniało niebezpieczeństwo, że młodzież pragnie zakłócić spokój widzom w kinach "Młoda Gwardia" i "Wiedza". Ujawnione transparenty wskazywały na antypaństwowy charakter demonstracji ("Komuniści straszcie czyścić").
- 2) Skandowanie było dostatecznym dowodem na to, że zachowanie manifestantów nosi znamiona agresywnej prowokacji. Wskazano więc było rozpręścić zgromadzonych. To, że do kosciola przy ul. Grzybowskiej funkcjonariusze służb porządkowych wrzucili petardę, a pod "Mariottem" poturbowali gości hotelowych, jest winą wyłącznie uciekających wyrostków nie reagujących na hasło "Si67".
- 3) Od dawna wiadomo, że młodzież jest bardzo niebezpieczna. Uzasadnionym jest więc fakt, że siły porządkowe wyprzedziły przypuszczalny atak młodocianych na osoby przebywające w Pałacu. Palki służyły wyłącznie do wytrącania kamieni i butelek z rąk awanturników. To, że akredytowanym fotoreporterom rozbijano aparaty i lampy błyskowe należy tłumaczyć luźną podobieństwem sprzętu fotograficznego do kamieni. Nas, studentów dziennikarstwa, współpracujących z PWA, półrakowano łagodniej; trafiliśmy do komisariatu, gdzie prześwietlono nam wszystkie filmy.
- 4) Odpowiedzialność za zamknięcie kas biletowych oraz hallu głównego na Dworcu Centralnym ponoszą wyłącznie uczestnicy rozboju, którzy schronili się tam w obawie przed konsekwencjami wywołanych przez siebie ekscesów. Siły porządkowe zdolały łagodnie zneutralizować prowodyrów - zatrzymano ponad 50 osób, pobito kilkanaście.
- 5) Dnia 28 stycznia kilkudziesięciuosobowy tłum krnąbrnej młodzieży ponownie zebrał się przed PKiN. Zakłóciło to spokojną pracę setek funkcjonariuszy, zmuszonych do znoszenia różnych upokorzeń. Szczególnie drażniący był moment, kiedy na wydaną przez tubę komendę "do intensywnego legitymowania" zgromadzeni z dokumentami w rękach ustawili się w kolejkę. Sprawy nie przeprowadzona akcja zmasowanych sił milicyjnych użytych w klasycznej proporcji 100 funkcjonariuszy na 30 demonstrantów położyła kres rozszerzającej się anarchii. 9 awanturników zatrzymano.

Gratulujemy p. J. Maziarskiemu wnikliwości i rzetelności dziennikarskiej. Pozostaje życzyć mu, by nigdy nie doświadczył powściągliwości funkcjonariuszy MO, OPMO i SB na własnej skórze.

Anita Gargas
Maciej Wojciechowski

KOMU SPADEK ?

Dawid WARSZAWSKI

PZPR partią być przestała już w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy to zalew członków z naboru skutecznie rozmył resztki jej politycznej tożsamości, i tak poważnie naruszone przez wielką czystkę końca lat sześćdziesiątych. To, co miała do powiedzenia, nie przekonywało już nikogo, skupiła się tedy na obronie interesów własnych członków i stała się, w trafnym sformułowaniu Adama Michnika, "związkiem zawodowym właścicieli PRL". PRL już nie ma, pozostali byli właściciele, zdecydowani bronić do końca każdego skrawka dawnych przywilejów.

"Nasza partia - zauważył przytomnie na zjeździe założycielskim SdRP Leszek Miller - długo jeszcze będzie się składać

z byłych członków PZPR." Ale nie wszystkich: 44% z nich nie wzięło nawet udziału w wyborach delegatów i można spokojnie zakładać, że nie wystąpią o nowe partyjne legitymacje. Ogromna większość z tych, którzy pozostali, należy do dziewięćsettyśmicznej rzeszy członków dawnej nomenklatury. SdRP zrazu będzie głównie reprezentować ich własne interesy, zarządzając zarazem masą upadłościową po poprzednicze. W skład tej masy wchodzi polityczna spuścizna 45 lat - i majątek, przez te lata zgromadzony. Tymczasem społeczeństwo żąda zwrotu tego ostatniego, jako częściowe zadośćuczynienie za to pierwsze.

"Należy ludowi Warszawy podziękować za to, że pod tę salę nie przyszło parędziesiąt tysięcy ludzi, a trzystu chuliganów" - oznajmił na zjeździe delegat Ulicki, obecnie członek Rady Naczelnej SdRP. Ale przyjdą - pod komitety i partyjne uczelnie, jeśli pozostaną nadal w dawnych rękach. Unia Fiszbacha uchroniła się przed taką konfrontacją, rezygnując z udziału w spadku. Wątpię jednak należy, czy zyska przez to polityczne wpływy, choć na pewno nale-

żą jej się słowa uznania.

Ruch Ludzi Pracy Miodowicza na uznanie nie zasługuje - ale polityczne wpływy zdobyć może, głosząc demagogiczny, egalitarny populizm. Towar ten może w warunkach kryzysu okazać się chodliwy. Trudno jednak będzie SdRP przejąć miodowiczowską ideologię; ostrze tej ideologii wymierzona jest w stanowiącą trzon nowej partii dawną nomenklaturę. Pokusa jednak powrotu na polityczną scenę okazać się może, zwłaszcza dla ambitnych przywódców jak Kwaśniewski, zbyt wielka. Ujrzymy wtedy nowy rozłam w SdRP jako preludeum do walki o społeczne wpływy. Sprawy zapewne ułatwi wynik samorządowych wyborów, w efekcie którego nomenklatura stanie się dla partii tylko kompromitującym balastem.

Nic chyba jednak nie uratuje dla SdRP Klubu Poselskiego - ostatniego narzędzia instytucjonalnej politycznej aktywności. Za to o tych stu ludzi w Sejmie "do wzięcia" toczy się zapewne będą ostre i niezbyt budujące boje w parlamencie. Walka o spadek po niekochanej nieboszczce dopiero się rozpoczyna.

W TYM SEZONIE PARTIE NIE IDĄ ..

Atuty socjaldemokracji Kwaśniewskiego to resztki schody po PZPR, które mu się uda zachować i może akces tej części nomenklatury, która uzna, że lepiej mieć jakieś polityczne oparcie niż nie mieć.

Obciążenia będą daleko większe.

A więc to, że aczkolwiek normalne społeczeństwo ma zawsze jakąś lewicę, to my długo nie będziemy społeczeństwem normalnym, szczególnie jeśli chodzi o stosunek do jakiegokolwiek lewicy. A już na pewno w przypadku lewicy, będącej kontynuacją PZPR, co Kwaśniewskiemu wypomniał Wałęsa, dopisując mu do rachunku za partyjny majątek odpowiedzialność za dokonywane w imieniu partii morderstwa.

Socjaldemokracja Fiszbacha odcięła się od PZPR o wiele gruntowniej i dla niego Przewodniczącą na pewno będzie łaskawa, ale ogólne odium lewicowości ciąży i na niej. Lewicowość szkodzi również PPS-om: Lipskiego i Ikonowicza - zdaje się, że powstała jakaś trzecia partia, ale w tym trudno się połapać. Wszystkie te PPS-y przedą cieniutko i mało kto się nimi interesuje.

Lech Wałęsa zażyczył sobie, aby nasze życie polityczne opierało się na dwóch mocnych nogach: prawicowej i lewicowej. Lewicowa wygląda na mocno rachityczną, ale i prawicowa, gdy przestać zwracać uwagę na gromkie deklaracje, okazuje się bardzo słabiutka. Nawet KPN z autentycznym lide-

rem i z liczącą się przeszłością nie odgrywa obecnie żadnej liczącej się roli. A co dopiero różne ugrupowania narodowe, narodowo - demokratyczne, narodowo - chrześcijańskie, chrześcijańsko - demokratyczne, chrześcijańsko - społeczne, a także liberalne. Wyglądałoby na to, że mocniejsze są trzy PSL-e, za którymi powinna stać wieś, ale wydaje się, że stoi w bardzo umiarkowanym stopniu i tylko w nielicznych rejonach kraju.

Jedne partie mają swoje kluby parlamentarne i to jest ich siła, ale tylko do najbliższych wyborów. Gdyby odbyły się one w najbliższych miesiącach - a odbędą się przecież samorządowe - to wszystko poza Solidarnością, która też zresztą traci poparcie, uszkadzałoby może 10 procent głosów do kupy. Taka jest brutalna prawda: partie w tym sezonie nie idą.

Tłumaczyć to można na wiele różnych sposobów, my tu wybierzmy jeden, inny od najbardziej popularnego. Ten popularny, uznający, że partie są atrybutem normalności politycznej, której myślimy jeszcze nie osiągnęli i na którą musimy poczekać, nie odpowiada na pytanie dlaczego akurat w tej dziedzinie idzie nam tak opornie. Czemu inne instytucje demokracji politycznej przyjęły się lepiej?

Wpierw od dzielenia się na partie miał nas powstrzymywał wspólny wróg w postaci władzy komunistycznej, teraz rolę spoi-

wa ma pełnić uświadomiona konieczność wspólnego pokonania historycznych zadań, co pewno jest prawdą, lecz nie tłumaczy wszystkiego.

Być może jednak współczesne partie polityczne, które powstały w XIX wieku, nie są już na tyle nowoczesne, by dominować w polityce wieku XXI-ego? W USA na przykład jako partie funkcjonują dwa konkurujące aparaty wyborcze. W Meksyku i w Japonii mamy po jednym takim aparacie - konkurencja odbywa się wewnątrz niego - a na zewnątrz pozostaje szerszy lub węższy margines. Może więc w Europie system partyjny utrzymuje się w jakimś stopniu dzięki inercji? I może wcale nie musi się odrodzić w Polsce, po przerwie spowodowanej przez komunistów.

Solidarność, jakby jej nie określać, sprawdziła się jako taki aparat w zeszłorocznych wyborach i sprawdzi się w tegorocznych, samorządowych. A może przecież pozostać w takim charakterze na dłuższą wykorzystując swój etos, hasła, tradycje, osoby przywódców, poczynając od Lecha.

Nie byłoby to takie złe, bo po wszelkich wyborach - związanych z pokonywaniem wewnętrznych tarć i podziałów - stanowiąby w miarę zwartą większość, popierającą kolejny rząd mający autentyczną legitymację wyborców i niezależny od każdorazowych układów i kombinacji w parlamencie.

ODUCZĄ NAS CZYTAĆ

Jan WALC

Jedną dobrą rzecz zrobili w Polsce komuniści na pewno. Zaraz po objęciu władzy zaczęli w wielkich nakładach wydawać książki i przyzwyczajali ludzi do ich czytania. O intencjach tej akcji można dyskutować, ale nie ma sensu dyskutować o faktycznych skutkach - te są oczywiste.

Od dziesiątków już lat wartościowe książki osiągały w Polsce znacznie wyższe nakłady niż w krajach zachodnioeuropejskich, a na dodatek i tak ich nie można było dostać, bo te nakłady były ciągle za małe. Mickiewicza sprzedawano za makulaturę, a *Trylogii* nigdy nie można było dostać w księgarni. Teraz wreszcie jest. Osiągnięła cenę równowagi. Ludziom nareszcie odcchciało się ją kupować. Coś się Balcerowiczowi i Kuczyńskiemu udało.

Trwa powszechne narzekanie na dewastację gospodarki, przyrody, zabytków, a także ludzkich charakterów - dewastację, będącą skutkiem 45-ciu lat komunistycznych rządów. Więcej zresztą tego narzekania, jęków i wymysłów niż usuwania rozmaitych remanentów. Na tym tle upór ekipy rządzącej w dążeniu do zlikwidowania jedynego

dobrej rzeczy, jaka nam po komunizmie została, obyczajku kupowania książek, jest zjawiskiem wstrząsającym.

Postanowiono potraktować wydawnictwa dokładnie tak, jak zakłady przemysłowe, najwidoczniej w przekonaniu, iż produkcja książek nie różni się niczym istotnym od produkcji butów. Kto może myśleć w ten sposób, tego nie sposób przekonać, że nie ma racji. O książce, jej specyfice i charakterze można do niego długo mówić. Czasami zresztą i z tym jest kłopot, jeśli jest szalenie zajęty np. sprawami najwyższej wagi.

Zaczęto od sztucznego wywyższenia ceny papieru, który jest w tej chwili droższy w Polsce niż na Zachodzie: książkowy kosztuje ponad 12.000 zł za kilogram. Oznacza to, że kilogram papieru kosztuje więcej niż kilogram masła, a wszystko to w sytuacji, kiedy na papierowej giełdzie w Helsinkach można ten sam kilogram papieru kupić za dolara, czasem nawet niecałogo, a w Brazylii, skąd jest znacznie dalej - dwukrotnie taniej. Papieru w Polsce brakuje mniej więcej od czasu Konferencji Jaltańskiej i zużywa się go na głowę ludności tyle, by

znaleźć się w statystykach już nie trzeciego, ale czwartego co najmniej świata. I w tej sytuacji obowiązuje w Polsce cło przywozowe na papier. Rząd uważa za swój tytuł do chwały, że kiedyś to cło było procentowo wyższe niż dzisiaj.

Komuniści w ostatnim okresie swoich rządów, kiedy się już ostatecznie rozczarowali do kultury, obłożyli wydawnictwa wysokimi podatkami - ileż to było protestów, petycji, akcji, listów zbiorowych... Jeszcze przy okrągłym stole "strona solidarnościowo - opozycyjna" mogła być wyrzucać komunie i tę, pośród innych jej nieprawości. A potem przyszedł Balcerowicz, i obłożył wydawnictwa wysokimi podatkami. Wprowadził nawet opodatkowanie od wypłacanych honorariów autorskich, i w ten sposób te same pieniądze są opodatkowane dwa razy: najpierw płaci od nich podatek wydawca, a później autor.

Jeżeli wydawca mimo wszystko wyda książkę, chciałby ją sprzedać - i na to tylko czyni państwowe przedsiębiorstwo "Dom książki", które na handlu książkami może znać się nie naj- lepiej, ale za to bezbłędnie do

cenę każdego egzemplarza dolicza 27%, czego wszakże nie nazywamy już podatkiem, ale marżą handlową. Oczywiście "Dom książki" w ustawowym znaczeniu nie jest instytucją o charakterze monopolowym, bo chociaż praktycznie wszystkie księgarnie w Polsce są jego własnością, sprzedawanie książek poza ich sieć nie jest ściągane przez prawo.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu pojawiło się w Polsce dobrze ponad sto niezależnych wydawnictw, większych i mniejszych, nastawionych na najrozsądniejsze książki, instytucji o bardzo różnym charakterze: niektóre były agendami ruchów czy organizacji politycznych lub związkowych, inne miały charakter społeczny, jeszcze inne były prywatnymi przedsiębiorstwami, mającymi po prostu przynosić zysk. Gdyby dodać to wszystko, co przesiedziało w PRL-u ludzie związani z niezależnymi wydawnictwami, zebrałoby się pewnie kilkaset lat. Tego, kto i ile razy dostał po pysku, nie umiem dodać, ale nie umiem też - i nie chcę - zapomnieć.

Działania policyjne i sądowe były jednak zupełnie nieskuteczne - dość przypomnieć, jak świetnie na rozwój niezależnych wydawnictw wpłynęła 13 grudnia. I oto wszystko wskazuje na to, że nadchodzi koniec i to nie dlatego, że wydano



/ "PWA", nr. 6, 9. II. 1990 /

przepisy, jakie wydaje państwo, które chce do prowadzenia jakiejś pożytecznej działalności zachęcić - ulgi podatkowe, kredyty, czy coś podobnego. Niezależne wydawnictwa padają, ponieważ - jak to się mówi w języku Leszka Balcerowicza - napotykały barierę popytową.

Padają też wydawnictwa pierwszego obiegu i jeśli polity-

ka władz nie ulegnie zmianie, będą musiały paść wszystkie, choć trudno to sobie wyobrazić, ale też nie można sobie obecnie wyobrazić nic innego, skoro w styczniu PZWS "zdjął z planu" 10 milionów podręczników, bo nie ma za co ich wydrukować, a ci, do których to należało, przydzielili np. Instytutowi Badań Literackich PAN środki

na wydanie w roku 1990 siedemnaście arkuszy wydawniczych, tj. jednej średniej wielkości książki, zapewniając tym samym każdemu pracownikowi naukowemu tegoż instytutu możliwość opublikowania książki średnio raz na sto lat - to trudno się spodziewać, aby na rynku pozostało coś poza komiksami.

Najważniejsze, że udało się obalić komunizm...

MIĘDZY USTAMI A BRZEGIEM PUCHARU

Antoni PAWLAK

Literacką nagrodę roku 1989 na Wybrzeżu otrzymał Lech Wałęsa za "Drogę nadziei". Moja domowa biblioteczka laureatów wzbogaci się tym samym o kolejną pozycję. Książka Wałęsy stanie obok "Małej Ziemi" nieżyjącego już pisarza radzieckiego Leonida Breżniewa.

Nagrodę Wiktora (za tzw. "osobowość telewizyjną") dostał Jan Paweł II.

Z przecieków wiadomo, że nagrodę Munka ma otrzymać Kaczor Donald.

Zyjemy w ciekawych czasach. W czasach erupcji (czy może lepiej - erekcji) pomysłów na wyprzódki rzucanych przez naszą elitę intelektualną. Te pomysły mnożą się niczym króliki Lejzorka Rojiszwańca. Nie będę specjalnie zdziwiony, gdy w tym roku stypendium Wyspiańskiego, przeznaczone dla młodych, dobrze zapowiadających się artystów, otrzyma Józef Czapski.

Kto tu zwałował? (Zawodowych katolików i ministra stanu Konopkę pragnę uspokoić - to pytanie nie jest skierowane do Wałęsy i papieża. Raczej do animatorów intelektualnego grajdołka.) Lech Wałęsa wybitnym pisarzem? Papież jako osobowość telewizyjna? I nikomu do głowy nie przyszło, że coś w tym jest nie tak? Że jakby odziera się te postaci z czegoś niezmiernie istotnego, z czegoś, co je stanowi? Że - wreszcie - zaczynamy tworzyć coś na kształt nowego socrealizmu?

PS. Nakładem Biura Informacji Studenckiej ZSP ukazał się nie-

dawno (w nakładzie blisko 10 tys. egzemplarzy) "Leksykon opozycji politycznej 1976 - 1989" w opracowaniu Dariusza Cecudy.

Sama sprawa wydaje się ważna, choć błędów tu wiele. W zupełny szok wprawilo mnie hasło "Ruch Młodej Polski". Czytam tam na stronie 97: "(...) mówiąc o pierwszych działaniach aktywu założycielskiego późniejszego RMP należy wspomnieć o drukowaniu i kol-

portowaniu ulotek, wzywających do bojkotu wyborów do Sejmu w 1972 r. Wówczas to ukształtował się rdzeń Ruchu w osobach Aleksandra Halla, Antoniego Pawlaka, Arkadiusza Rybickiego, Jana Samsonowicza i Andrzeja Słomińskiego".

W przeciwieństwie do pana Cecudy, nie mam pojęcia co to jest "rdzeń RMP" i nie wiem, kiedy się ukształtował. Ulotki, o których mowa w powyższym cytacie, rzeczywiście wyprodu-

kowałem i kolportowałem, ale w zupełnie innym towarzystwie (w razie potrzeby służę nazwiskami i adresami, jako że sprawa przedawniona a wyrok odbyty). Moje kontakty z liderami Ruchu Młodej Polski były zawsze tylko i wyłącznie towarzyskie, a to z powodu dość istotnych różnic w poglądach. Inna sprawa, że fakt iż nie rozlepiłem tych ulotek w towarzystwie obecnego ministra Halla, świadczyć może o tym, iż jestem pozabawiony wyobraźni politycznej

LIST OTWARTY DO PREZESA SDP, MACIEJA IŁOWIECKIEGO

Szanowny Panie Prezesie!

Z notatki zamieszczonej w "Gazecie Wyborczej" z 22 stycznia, zatytułowanej *Święto dziennikarzy*, dowiedziałem się, że występował Pan w imieniu SDP na uroczystościach ku czci św. Franciszka Salezego, o którym pisze się w tej notatce, że jest patronem dziennikarzy.

Jako członek SDP czuję się zdumiony i zaskoczony Pana postępowaniem. Nie potrafię oczywiście stwierdzić, jaką część naszego Stowarzyszenia stanowią dziennikarze katolicy, bowiem przekształcenia religijne zachodzą na naszych oczach nieporównanie szybciej niż oczekiwane przekształcenia własnościowe, wiem jednak z całą pewnością, że Stowarzyszenie nasze ma w swoich szeregach również dziennikarzy nie należących do Kościoła katolickiego. Być może koledzy związani z Kościołem katolickim zechcą powołać stosowną sekcję naszego Stowarzyszenia, i wtedy udział jej przedstawicieli w tego typu imprezach będzie zupełnie na miejscu.

Sprawa jest tym istotniejsza, że nie chodzi tu bynajmniej o udział w święcie

tradycyjnym, ale w imprezie stawiającej sobie za cel stworzenie nowego święta. W przeciwieństwie do np. św. Barbary, od stuleci będącej patronką górników, św. Franciszek Salezy ogłoszony został patronem prasy katolickiej w roku 1923 (warto poczytać prasę katolicką z tamtych lat, aby wiedzieć, o czym mówimy), świętym zaś uznano go w roku 1665 ze względu na zasługi, jakie położył w walce z ludźmi odmiennych przekonań. Za życia św. Franciszka Salezego w jego ojczystej Francji nazywano ich hugonotami. Zyl bowiem św. Franciszek Salezy w latach 1567 - 1622, a więc w czasach, kiedy rządził Francją król Henryk IV, ten, który uważał, że *Parryz wart jest mszy*; naśladowcy powinni jednak pamiętać, jak się to wszystko rozwinęło: króla zasztytował katolicki fanatyk Ravalliac, a hugonotami zajął się kardynał Richelieu, przechodząc od słów do czynów.

Chciałbym więc prosić Pana Prezesa, aby sprawę adoracji św. Franciszka Salezego pozostawił indywidualnym decyzjom kolegów, nie angażując w nią naszego Stowarzyszenia jako organizacji.

Jan WALC



KTO SIĘ BOI BUJAKA
SIMONIDES KONTRA KRÓL
Z LUKREM OSZCZĘDNIEM
ZSRR - POZORNY SPOKÓJ
DZIENNIKARZE DO ŁOPATY

PRZEGLĄD WIADOMOŚCI AGENCZYNYCH

Przyznanie 1 stycznia pełnej samodzielności finansowej 23 kopalniom nie wprowadziło do górnictwa ozdowieńczego mechanizmu konkurencji a tylko zdenerwowało górników. Okazało się, że samodzielne kopalnie są w większości bankrutami i nie mają pieniędzy nie tylko na zrealizowanie zawartej przy Okrągłym Stole umowy, która gwarantowała dolowym górnikom zarobki dwukrotnie wyższe niż w przemyśle, ale nawet na utrzymanie dotychczasowej placy. To, że styczniowe strajki zakończyły się tak szybko, należy przypisać zarówno łagodnemu usposobieniu górników jak i refleksowi rządu: natychmiast przyznano podwyżki płac, ustąpiła emerytalna, zrezygnowano ze stosowania w górnictwie

podatku wyrównawczego i z likwidacji deputatów.

Strajki się skończyły, ale sytuacja jest niewesoła: mimo 500% podwyżki cen węgla nadal wszystkie kopalnie są deficytowe. Nicwiele pomoże, zdecydowane już, odciążenie górnictwa kosztami transportu, stanowiącymi dotąd 35% ogółu kosztów. Uczyni to rentownymi co najwyżej dwie kopalnie. Nieco większy efekt może przynieść zaplanowana na kwiecień kolejna podwyżka cen węgla o 33%. Jak się oblicza, pozwoli zarobić na siebie 20 kopalniom: Gottwald, Piast, Ziemowit, Polska, Michowice, Bobrek, Szczegłowice, Pokój, Rydułtowy, Rymer, 1 Maja, Anna, Jastrzębie, Manifest Lipcowy, Borynia, XXX-lecia PRL, Bolesław Śmiały oraz

GÓRNICZE PROGNOZY

- być może - Andaluzja, Halcemba i Jankowice, które wydobiją w sumie 60 mln ton węgla rocznie.

Wszyscy spodziewali się, że właśnie te kopalnie uzyskają samodzielność. Tymczasem na wspomnianej liście 23 dominują kopalnie, które w obecnych warunkach nie mają żadnych szans na rentowność.

Obraz sytuacji istotnie zmieniłoby zapowiadane przez rząd wprowadzenie tzw. renty górniczej. Składałaby się ona z dwóch elementów: renty absolutnej, będącej opłatą obliczaną od wartości wydobywanej kopaliny, którą kopalnie odprowadzałyby do skarbu państwa, oraz tzw. renty różniczkowej, którą płaciłyby kopalnie eksploatujące łatwiej dostępne i tańsze złoża, co wyrównałoby szanse poszczególnych kopalni (rząd zakłada, że jeszcze długo nie będziemy mogli sobie pozwolić na zamknięcie zbyt wielu kopalni).

Obliczenie tej renty wymaga długotrwałych studiów, toteż nikt nie jest w stanie powiedzieć, kiedy będzie można wprowadzić ją w życie. Ale nie wszyscy się z tego powodu martwią: po wprowadzeniu wspomnianej renty automatycznie pójdą w górę ceny węgla.

Pogarszająca się sytuacja finansowa przedsiębiorstw zmusza je do odsprzedaży państwu dewiz zgromadzonych do tej pory na rachunkach dewizowych (z tzw. odpisów). Tylko w styczniu przedsiębiorstwa odsprzedały dewizy wartości ponad 800 mln dol., to znaczy więcej niż wynosi wartość miesięcznego eksportu całej polskiej gospodarki.

Dolary odsprzedają też pauperyzujący się pracownicy. Ponieważ mimo niskiego kursu dolara mało kto jest w stanie je kupić, część z nich trafia również do skarbu państwa powiększając tym samym jego rezerwy dewizowe.

jd

KTO SIĘ BOI BUJAKA ?

Grom uderzył w Ratusz. Z dnia na dzień Prezydent Bolesławski przestał być prezydentem Warszawy. Nie podano żadnych powodów, nie pytano o zdanie radnych, Premier wykorzystał swoje uprawnienia i mianował komisarycznym Prezydentem miasta p. Wyganowskiego.

Nie wiemy, czy p. Prezydent Bolesławski coś ostatnio zrobił albo i nie zrobił, nie możemy zresztą sobie wyobrazić, co ktoś z dawnej nomenklatury mógłby zrobić albo i nie zrobić, aby Premier zdecydował się wkroczyć jak Archanioł Gabriel z ognistym mieczem. Nic wiedzieliśmy też do tej pory prawie nic o p. Wyganowskim, ale oczywiście rozumiemy, że im bardziej nic o p. Wyganowskim nie wiedzieliśmy, tym bardziej to coś oznacza.

Wiemy natomiast skądinąd, że Zbig-

niew Bujak, który nie kandydował w wyborach parlamentarnych ani też w wyborach do władz Regionu Mazowsze, zamierzał kandydować na stanowisko Prezydenta Warszawy. Za niespełna 3 miesiące będziemy mieli Radę Narodową wybraną w wolnych wyborach; niezależnie od tego, jak rozdzielił się mandaty między poszczególne partie, można przypuszczać, że trudno znaleźć dla Zbyszka takiego kontrkandydata, który mógłby mu poważnie zagrozić w demokratycznych wyborach.

Prezydent Wyganowski wypowiada się o swoich zamierzeniach na tym stanowisku w taki sposób, jakby planował dłuższe na nim pozostanie; łatwo więc sobie wyobrazić, że to właśnie on ma być kontrkandydatem dla Zbyszka. Oznacza to oczywiście, że jeśli Bujak zdecyduje się kandydować na Prezydenta Warszawy, będzie to z jego strony krok antyrządowy, co napawa nas nadzieją: działania antyrządowe zawsze świetnie Zbyszkwowi wychodziły, i życzymy mu, aby się to nie zmieniło.

Jan Walc

POCAŁUNEK

Większość z nas reaguje szczerym oburzeniem na wieść o kolejnej eksmisji zarazonych wirusem HIV z kolejnego budynku w kolejnej miejscowości. Ogarnia nas wstyd z powodu niewiarygodnej ludzkiej ciemnoty, połączonej z nietolerancją i brakiem elementarnego miłosierdzia. Proponuję, by w takich momentach, zanim zaczniemy myśleć o czymś innym, każdy zadał sobie pytanie: czy ja sam, osobiście, zgodziłbym się, aby w moim domu, na mojej klatce schodowej, w mieszkaniu na tym samym piętrze, zamieszkałi ludzie chorzy na tę śmiertelną i nieuleczalną chorobę?

8 lutego Jacek Kuroń wskazał sposób na szybką zmianę społecznych nastawień wobec AIDS. Trzeba nakręcić wideoklip, na którym ściskaliby ręce, całowały chorych i spożywały z nimi posiłek trzy osoby (J. Głomp, T. Mazowiecki i L. Wałęsa), następnie zaś trzeba pokazywać ów wideoklip kilka razy dziennie, np. po każdym wydaniu telewizyjnych "Wiadomości".

Stanisław Remuszko

/ "PWA", nr. 7, 16. II. 1990 /

OPOLSZCZYŻNA W OGNIU

Maciej WOJCIECHOWSKI

Przed wyborami uzupełniającymi było wiadomo, że decydujący pojedynek o miejsce w Senacie rozegra się pomiędzy Henrykiem Królem - kandydatem mniejszości niemieckiej i Dorotą Simonides z Solidarności, Opolszczyzna tym razem nie była oplakatowana tak jak osiem miesięcy wcześniej, zaś najmniej o reklamę zadbał główni kontrkandydaci. "To już nie jest plebiscyt. Tu nie odegra roli sam symbol Solidarności - mówi Kazimierz Kobiak, prezes Komitetu Obywatelskiego - uznaliśmy, że obecnie skuteczniejsza jest prezentacja kandydata w prasie, radiu i telewizji". Inne zdania są niektórzy mieszczanie Opolszczyzny prowadzący akcję na własną rękę. Nic oplakatowane miejsca na murach wymalowali hasłami: "Tu jest Polska", "Skreśl Króla", "Ślązacy, nie zdradzajcie polskiego Śląska", "Śląsk był i jest niemiecki" itp.

W przeddzień wyborów na ulicach Opola rozlepione zostały ulotki: "Rodacy! Jeżeli nie pójdziemy do wyborów, albo się podzielimy, będziemy mieć wtyczkę niemiecką (Król = Kröll) w naszym Senacie. Rozbicie na trzy kandydatury to jawna głupota polityczna. Głosujemy wszyscy solidarnie na panią profesor Dorotę Simonides". Biuro Wyborcze Solidarności zareagowało błyskawicznie, przysyłając do prasy oświadczenie, w którym czytamy: "(...) Nigdy czegoś takiego nie akceptowaliśmy w 10-letniej historii Solidarności, dziś również to potępiamy. W naszej kampanii stosujemy bowiem zasadę uczciwej gry. Ci, którzy to czynią, chcą doprowadzić do zaognienia konfliktów. Odcinamy się od tego całkowicie".

Pomiędzy Solidarnością i Stowarzyszeniem Kulturalnym Mniejszości Niemieckiej zawarta została umowa o niepodjęciu w kampanii wyborczej spraw narodowościowych. Strony nie złamały przyjętego na siebie zobowiązania. Natomiast inaczej reagują wyborcy. Dla nich nie istnieją żadne umowy. To właśnie oni toczą bezkompromisową walkę, w której nikt nie przebiera w środkach. Doc. Franciszek Marek - rodowity Ślązak - w swej pracy "Tragedia górnośląska" wydanej przez Instytut Śląski w Opolu wytacza argumenty największego kalibru: "Panowie Król i Urban nie traktują stworzenia niemieckiej mniejszości na Śląsku jak wewnętrznej sprawy państwa polskiego, ale działają z obcej inspiracji. Są tylko hampełkami, skaczącymi tak, jak ich ktoś pociąga za sznurek", "Panu Urbanowi brak wyobraźni. Jako syn hitlerowca może w Polsce prowadzić swoją restaurację i nikt

nie wymaga od niego nawet tylko lojalności, bo na przyzwyczajenie, to wiadomo, że go nie stać".

Książka rozpętała burzę na

wej mentalności w poglądach w stosunku do naszych polskich współmieszkańców. (...) Gdzie był Pana głos parę lat temu, kiedy ci wszyscy, którzy już wyjechali, byli jeszcze tutaj. Na WSP w Opolu trul Pan w głowach studentów, przyszłych nauczycieli, aby później realizowali naukowe pomysły polonizacyjne".

W atmosferze narastającej wrogości prowadzenie spotkan

zeń nacjonalistycznych. Zachowują umiar, a ich program w wielu punktach jest zbliżony. "Panu Królowi i mnie zależy przede wszystkim na upodmiotowieniu Śląska - mówi Dorota Simonides - Uważam, że jego starania żeby zatrzymać młodych tutaj, są też moimi staraniami. Martwi mnie tylko to, że ludzie należący do mniejszości niemieckiej nie czytają poważnych czasopism niemieckich, natomiast chętnie sięgają po prasę Ilupki i Czaji, czerpiąc z niej wiedzę o Śląsku".

Spotkania na prowincji organizowane są z wielką pompą. W wynajętych barach, restauracjach jest zawsze tłoczno. Orkiestra gra marsze, a nastrój jest diametralnie różny od tego, który towarzyszy spotkaniom Doroty Simonides. "Mam rozmawiać z wami po polsku, niemiecku, czy po śląsku?" - zatem pyta zebranych Henryk Król. "Po polsku" - padają odpowiedzi z sali. Nie wszyscy zainteresowani znają niemiecki, a i problemem dla niektórych mogłoby być zrozumienie śląskiej gwary. Przychodzą całe rodziny, wszyscy są zainteresowani i niemal każdy w wyborach odda swój głos na niego. Ostatecznie wygrał, chociaż wybory trzeba będzie powtórzyć, gdyż nikt z kandydatów nie uzyskał wymaganej większości głosów.

Już teraz przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w Krapkowicach (miejscowości gdzie mieszka Henryk Król) wie, że jedynym rozsądnym wyjściem w nadchodzących wyborach do samorządu terytorialnego będzie wejście w koalicję z mniejszością niemiecką. "Autochtoni, którzy stanowią około 30% ogólnej liczby mieszkańców Opolszczyzny, mocno zaktywizowali się - stwierdził po podliczeniu wyników głosowania w gminie - natomiast ludność napływowa jest bierna. Nie widzę innej możliwości pracy Rady Narodowej jak tylko poprzez satysfakcjonujące obie strony obsadzenie miejsc".



Opolszczyźnie. Antagonizmy pomiędzy autochtonami i ludnością napływową objawiające się wcześniej we wzajemnym przezywaniu: chadziaje (przyjeździ) i hanysi (miejscowi) osiągnęły teraz nowy wymiar. Mówi się już o otwartej wrogości. "Mysły tu, w Gogolinie, mieli taki spokojny, uporządkowany dom - mówi jedna z dyskusantek na spotkaniu przedwyborczym z Dorotą Simonides - ale od momentu gdy część mieszkańców zaangażowała się w organizację mniejszości niemieckiej, wszystko się popsuło. Ludzie patrzą na siebie bokiem. Nierzadko padają pod naszym, Polaków, adresem obelżywe uwagi".

Czy wzrost wrogości jest wynikiem publikacji doc. Marka, czy też odwrotnie - owa praca została napisana w odpowiedzi na narastający nieuzasadniony antagonizm. Trudno w tej chwili wydać kategorię osąd.

Przywołany w "Tragedii" Richard Urban w odpowiedzi na zarzuty zamieszczone w książce pisze w liście otwartym do Franciszka Marka: "(...) Tak się składa, że obaj jesteśmy rodowitymi Ślązakami o kraico-

z wyborcami nie wydało się proste. Jednak i Dorota Simonides i Henryk Król są godnymi siebie przeciwnikami. W swych wystąpieniach nie rozpalają dą-

List do redakcji

Warszawa, 30.01.1990

Przez czterdzieści lat komunistycznych rządów w Polsce regulowano życie obywateli poprzez arbitralne decyzje, sankcjonowane przez pobawiony praktycznego znaczenia fasadowy aparat legistyczny. Nie istniała instytucja autentycznej konsultacji społecznej. Jak w innych dziedzinach życia społecznego, także decyzje zapadały również w szkolnictwie. Wola ministerialnych rządów dla szkół i uczelni stanowiła prawo. I wydawałoby się, że od niedawna idzie ku lepszeniu. Fotel ministra edukacji zajął powszechnie szanowany prof. Henryk Samsonowicz, zalegalizowano i umożliwiono działalność takim organizacjom jak NZS czy MKS, zapowiedziano reformę szkolnictwa. I co? Widzimy? Kolejna, żywcem wzięta z repertuaru starej ekipy decyzja. Ferie. Przedłużono świąteczne, zlikwidowano zimowe. I tu należałoby zapytać, z kim nasze ministerstwo konsultowało tę kontrowersyjną decyzję? To raz. Zastanowiłby się też należało, jakie jest jej podłoże? Co ona ma maskować? A ona ukryć coś, czego zataić się nie da. Gwałtownie postępujące, na skutek polityki ekonomicznej rządu, zubożenie społeczeństwa. W tym roku wyjechało na ferie załóżmy 15% młodzieży. Co będzie w roku przyszłym?? W przyszłym roku problem ten nie zaistnieje, wiadomo bowiem, że w 99% katolickie społeczeństwo polskie spędza święta Bożego Narodzenia w domu, w gronie rodziny. Więc nie będzie kiedy wyjechać. Nie ma problemu. Jest dobrze przemyślana decyzja. Czy aby na pewno?

Paweł Moskałowicz, XV LO im. N. Żmichowskiej

CIERPIEŃ MŁODEGO PRAWODAWCY c.d.

Lech FALANDYSZ

Przed dwoma miesiącami (PWA nr 45 z 24.XI.1989) próbowałem złagodzić męki prawodawcy naszego parlamentu, proponując następującą receptę: "Rozumiem ambicje młodego prawodawcy, chcącego wydać nowe ustawy i tworzyć nowe, dobre prawo. Zostawcie jednak Drodzy Posłowie i Senatorowie coś do roboty tym, którzy przyjdą po Was! Nawet jeżeli Wasza kadencja potrwa całe cztery lata to i tak nie uda się Wam zastąpić całego pezetperowskiego dziedzictwa prawem prawdziwym. Ustawy pisane na kolanach mogą nas tylko kompromitować. Czy nie łatwiej po prostu wziąć do ręki czerwony flamaster i skreślać? Przewodnią rolę partii bezprawie MSW, drakońskie kary, przywileje własności społecznej, uprawnienia podejrzanych kolektywów, wszelkie ograniczenia praw człowieka i przepisy wymierzone w jednostkę ludzką. Stanowczo za mało mamy dotychczas nowelizacji tego typu. A trzeba ich nam dzisiaj jak najwięcej w postaci krótkich i prostych ustaw o zmianie przepisów: prawa karnego, gospodarczego, administracyjnego, cywilnego i państwowego, nie wyłączonej Konstytucji".

Nie będę się upierał, że powyższa re-

cepta jest jedynym - w dzisiejszych warunkach - przepisem na sukces prawodawcy, chociaż można by na to znaleźć dowody. Twierdzą natomiast nadal, że przygotowanie i uchwalenie w trybie przyspieszonym niektórych fundamentalnych ustaw nie jest właściwe i przysparza nam wszystkim - nie tylko prawodawcom - dodatkowych, a zbędnych cierpień.

Po wysłuchaniu masy krytycznych uwag, które zgłosiła pod adresem projektu nowej ustawy o szkolnictwie wyższym (dość kompetentna w końcu!) Rada Wydziału Prawa U.W. nie miałem już żadnych wątpliwości, że droga do ustawy dobrej jest jeszcze daleka. Czy nie lepiej więc było poprawić tylko to co jest i spokojnie pracować dalej nad "Konstytucją nauki polskiej"? Nadmierny pośpiech naszej (częściowo) własnej, nowej administracji może nam wszystkim nie wyjść na dobre. Szacowna i nierychliwa Komisja d/s reformy Prawa Karnego przy Ministrze Sprawiedliwości pędzi teraz na łeb na szyję, aby skończyć nowy kodeks karny do lutego bieżącego roku. Co z tego wyniknie jeszcze nie wiadomo, ale boję się skutków znacznie gorszych od tego, co można by osiągnąć za

pomocą metody flamastra. Jedyny chyba minister, któremu się nie śpieszy zastosował natomiast skuteczną akcję w postaci własnego projektu ustawy zmierzającego do "pieriestrojki" własnego urzędu. Mowa oczywiście o resorcie spraw wewnętrznych, którego nową wizję - poza bezpośrednio zainteresowanym - ma także: jak się okazuje - OKP i Społeczna Rada Legislacyjna w Krakowie. Zapowiada się więc ciekawa, długotrwała i zapewne burzliwa dyskusja nad przyszłym kształtem policji i organów bezpieczeństwa. A tymczasem ustawa o MSW i związane z nią rozporządzenia wykonawcze pozostają nadal prawie nieknięte. Powstaje pytanie czy ze wspomnianą ustawą nie należałoby postąpić tak jak z konstytucją PRL? Ułatwiłoby to przyszłą reformę, a odpowiednio przykrojona "mała konstytucja MSW" uspokoiłaby trochę wszystkie strony konfliktu.

Wydawało mi się, że nie należy przysparzać zbędnych cierpień naszemu młodemu prawodawcy, zważywszy jak wiele ma on do zrobienia. A rok 1990 chciałem jeszcze widzieć jako czas skreślenia poprzedzającego dopiero Okres Wielkich Dokonań, ale chyba byłem naiwny. Wygląda bowiem na to, że następuje przyspieszenie reform, przypominające trochę atak bez dostatecznego przygotowania artyleryjskiego. Ta brawurowa operacja może się udać, a jej główny ciężar spadnie ostatecznie na barki naszych Posłów i Senatorów. Trzymajmy więc kciuki, aby nie było zbyt wielu ofiar w ludziach. I śpieszmy się rozsądnie!

SKANSEN

Fidel Castro, Dzierżyński, Ho Chi Minh i Cyrankiewicz, kilkanaście Leninów i "Ziutek Stoneczko", Pstrowski, Partyzant i Matka Polka, w sumie ponad 600 rzeźb i posągów zgromadzone w dawnej tajni pałacowej w Kozłowiec koło Lublina. Posąg Stalina, autorstwa Aliny Szapocznikow przygląda się temu towarzystwu z zafasowaniem, jakby rozumiał groteskowość sytuacji. Do Kozłówek przywieziono też w ubiegłym roku pomnik Bieruta, ale ze względu na rozmiary musi on stać w parku.

Pracownicy muzeum w Kozłowiec noszą się z zamiarem otwarcia specjalnej ekspozycji posągów upadłych bohaterów.

Wacław Biały

ADAM STANOWSKI (1927 - 1990)

Niewiele wiedziałem o przeszłości Adama Stanowskiego, gdy Go poznałem przed

laty na konferencji, zorganizowanej przez mego profesora, również już nieżyjącego Stefana Nowaka. Wiadomo było jednak, że to jeden z ludzi prawdziwie niezależnych w swoim myśleniu, w swoich naukowych i społecznych postawach. A czasy sprzy-

jały konformizmowi, robieniu oka i traktowaniu oportunisty jako nienajgorszej ceny za możliwość uprawiania "prawdziwej nauki". Dla Adama Stanowskiego, podobnie jak dla Stefana Nowaka, socjologia jako dziedzina naukowa nie była wyborem przypadkowym. Sądzę, że był on socjologiem przede wszystkim dlatego, aby móc sobie samemu wyjaśnić i zrozumieć własne życie oraz doświadczenie polskiego społeczeństwa. Socjologia była dlań sposobem dochodzenia do prawdy o silach zła i dobra, oddziaływujących na nasze życie i odciskających się na nas jakże niekiedy boleśnie, o czym on - więzień stalinowskiego terroru - wiedział aż nader dobrze.

Socjologia była dla niego zarazem sposobem nie tylko intelektualnego, ale również praktycznego, społeczno - politycznego zaangażowania się w życie wspólnoty. Zaangażowania po stronie tych idealów i haseł, które broniły godności każdego człowieka, pozwalały lepiej rozumieć ludzi, ich wzajemne uwikłania i skłaniały do budowania lepszego świata, niż ten, który zastaliśmy. Wartości te reprezentowały dla Adama Stanowskiego idee socjalistyczne. Nas, młodych wówczas, frapowało to bardzo, bo wiedzieliśmy, że był

on człowiekiem wierzącym, pracował na KUL-u, a jego częste wizyty w naszym Zakładzie były solą w oku niektórych partyjnych uczonych.

Związek chrześcijaństwa z socjalizmem nie był u Adama Stanowskiego przypadkowy. Odnajdywał on w idealach socjalistycznych tę podstawową troskę o człowieka i wartość ludzkiej osoby, którą przepelnione są Ewangelie. Postawa Stanowskiego dowodziła zarazem, że Bóg i religia jest ponad polityką, a ludzkie wybory światopoglądowe mogą być różnorodne - byle służyły dobru i miłości człowieka.

Kiedy ostatni raz rozmawiałem z Adamem Stanowskim w sejmowej restauracji, byłem wzruszony i jego jakby życiowym zmęczeniem, i wewnętrzną radością. Zdawała się ona płynąć z niewyraźnego przekonania, że przed Polską otwartą się naprawdę droga ku wolności, ku temu lepszemu życiu i lepszemu światu, o które walczył w różny sposób przez całe swe życie. Pomyślałem sobie wówczas, że fakt, iż doktor Stanowski został senatorem - senatorem po stronie Solidarności i za jej sprawą - był naprawdę darem Opatrzności i uwiecznieniem jego ziemskiego żywota.

Iruncusz Krzemiński

SZARGANIE SYMBOLI

Stoleczni taksówkarze protestują przeciwko wydawaniu zezwoleń tzw. dwuzawodowcom, którzy - jak twierdzą protestujący - nie mają wystarczających kwalifikacji, a do tego są jeszcze uprzywilejowani finansowo. Nie wnikam tu w meritum sporu (choć muszę powiedzieć, że postulaty: zabronić! odebrać! brzmią obecnie trochę dziwnie). Chodzi mi o samą formę protestu.

Otóż protest ten wyraża się w "oflagowaniu samochodów". W praktyce wygląda to tak, że na czubku anteny mająją się splecione białoczerwone wstążki. Nawet gdyby były to atlasowe chorągwie obrębione złotą nicią, to i tak mielibyśmy do czynienia z nadużyciem - wymachiwanie flagą przy takiej okazji wydaje się grubą przesadą. Symbol ogólnonarodowy nie powinien

być angażowany w walce o sprawy partykularne i branżowe. Najistotniejsze jest jednak to, że prawie nikt nie dostrzega tu żadnej niesłusowności. Przyzwyczajiliśmy się, że publiczne demonstracje dokonują się w takiej właśnie patriotycznej oprawie. Było to uzasadnione wówczas, gdy miały one charakter rewindykacji ogólnobywalców. Teraz jest to tylko mechaniczne powtórzenie odruchu wyrobionego w zupełnie innej sytuacji.

Paweł Mossakowski

POCZĄTKI DIALOGU

Od 31 stycznia CZERWONY SZTANDAR drukuje co tydzień obszerną rubrykę "7 dni w zwierniku prasy Litwy". Dla polskiego czytelnika, nie znającego języka litewskiego (a nie znają go większość Polaków na Litwie) jest to jedyna okazja zapoznania się z gorącymi dyskusjami toczonymi w prasie litewskiej, także na tematy polskie.

Dla przykładu drukujemy komentarz litewskiego publicyisty, Sauliusa Stome do wypowiedzi polskiego emigranta, Jerzego Bahra, pracownika szwajcarskiego Instytutu Wschodniego. Komentarz ten, podobnie jak tekst Jerzego Bahra: "Stosunki Polaków i Litwinów" ukazał się w piśmie LITERATURA MENAS.

"A przecież obecnie temat stosunków Litwinów i Polaków należy do najaktualniejszych na płaszczyźnie politycznej i nie tylko politycznej. Może bowiem zdarzyć się, że w powszechnym zamieszaniu nawet nie odczujemy, jak głębokie procesy niespodziewanie wyniosą na powierzchnię nową wizję wroga - Polaka miejscowego czy przybyłego. W podświadomości narodu Polak zastąpi "komunistę", a komuś również Rosjanina lub Żyda. Zastąpić bolszewika, enkawudzistę Żydem było pożyteczne dla nietrudnych do odgadnięcia sił, widocznie, kontynuatorom ich tradycji dopomogą Polacy, tym bardziej, że są do tego warunki. Przede wszystkim jest to mocno utkwione w pamięci większości rodzin litewskich przedwojenne "bez Wilna nie uspokoi się". Co prawda, to wspomnienie, po odzyskaniu Wilna, w sposób naturalny zniknęło, a raczej nie pozostało w nim prawie nienawiści. Przyczyniło się tu również naprawdę piękne postępowanie rządu Niepodległej Li-

twy, gdy upadała Polska (internowanie żołnierzy itd.), prócz tego tolerancja wobec miejscowych mieszkańców Wilna i Wileńszczyzny... Wraz z uzdrowieniem społeczeństwa trzeba będzie ostatecznie zrezygnować z utożsamiania jakiegokolwiek narodu i pewnych jego warstw. Należy rozwijać kontakty kulturalne i nie tylko reprezentacyjne, ale też najprostsze. Jeżeli będziemy mówili o Polakach litewskich, to naturalnie, nie zaszkodziłaby większa uwaga wobec zwykłych ludzi wsi w rejonach wileńskim, solecznickim. Utożsamiając ich z jankielewiczami i brodawskimi, popełniono by niewybaczalny błąd.

Zastanowiwszy się spokojnie, jednak dosyć dziwnie wygląda to, co prawda, już nieco wcześniej, że prowadzono zbieranie podpisów przeciwko transmitowaniu Telewizji Polskiej. Telewizja przyczyniłaby się do polonizacji? Nie słyszałem, aby spolonizował się chociaż jeden kowieńczyk, chociaż Polską Telewizję mogą oglądać, ile zapragną. Prócz tego, dlaczego wtedy nie walczyliśmy przeciwko rusyfikacji prowadzonej na całych trzech kanałach? Nie wiadomo, z jakich względów transmituje się program leningradzki zamiast tego, że byłoby pożytecznym zobaczyć, co się dzieje w Polsce: przynajmniej ujrzelibyśmy nie to, od czego uciekamy, a to, co nas czeka. I Polacy litewscy, uzyskując więcej informacji, łatwiej samookreśliliby się: uważający się za Polaków z Polski, wróciliby właśnie tam, a rozumiejąc siebie jako Polaków litewskich, szukaliby swych korzeni kulturalnych w pięknej, polskiej tradycji WKL budzącej nostalgię wielu wybitnych wychodźców powojennych. I pieśni uczyliby się nie od nauczycieli-przybyszów, ale przypomniałoby własne stare. Tylko w ten sposób utworzyłoby organiczną (i naprawdę wartą rozwijania) część Litwy, a najważniejsze - byłiby samą sobą..."

RSW - OCZEKIWANIE NA WILCZKA

RSW to nie tylko redakcje i dziennikarstwo, to także ogromna sieć sklepów i kiosków, to wydawnictwa książkowe i drukarnie, zakłady produkcyjne, ośrodki wczasowe, samochody, warsztaty, lecznice itd., jest nawet fabryka mebli. Tysiące ludzi, wciąż jeszcze spory majątek, bardzo niejasna sytuacja gospodarczo - prawno - polityczna, jednak nade wszystko - dominująca niepewność własnych losów. Odnosi się wrażenie, iż kolos ów działa obecnie jedynie siłą inercji. Jak wiadomo, głównym udziałowcem tej niby to spółdzielni była PZPR, czerpiąca z niej w najlepszych latach duże dochody. Inna sprawa, iż - jak zauważyła nie tak dawno "Gazeta Wyborcza" - wprost niepojęte, dlaczego partia doprowadziła do tak karygodnego bałaganu i zamętu finansowego w instytucji, z której przecież żyła.

Pod koniec 1989 r. nowy prezes RSW, Tabkowski (były aparatczyk PZPR) zapewnił pracowników, iż opracowano szczegó-

we plany zmian strukturalnych w firmie. Prezes dodał jednak, iż na razie plany te pozostaną w tajemnicy, po to, żeby "druga strona" nie dowiedziała się zawczasu, co trzyma w zanadru RSW, i żeby nie podjęła kontrdziałań. Obecnie wiadomo, iż prezes blefował - żadnych bowiem planów nigdy nikomu nie ujawniono. Zamiast nich poszczególnym redakcjom co pewien czas są podsuwane rozmaite rozwiązania: radzono więc szukać oszczędności, potem redaktorów naczelnych namawiano na znalezienie kogoś, kto byłby gotów wejść w spółkę z RSW i sfinansować, choćby częściowo, pismo, sugerowano także, iż każdy redaktor naczelny może na własną rękę szukać sponsora chętnego nawet i do całkowitego przejęcia tytułu (oczywiście za stosownym odszkodowaniem dla RSW).

Niektóre redakcje czasopism podległych RSW z tygodnia na tydzień rozwiązano (wbrew zapowiedziom, iż zwolnionych dziennikarzy nie pozostawi się na lodzie,

w ich sprawie były pracodawca nie kiwnął nawet palcem), w pozostałych - od "Kobiety i Życia" po "Ekspress Wieczorny" - panują chaos i nerwowość, bo nikt nie jest pewny jutra. Nieustannie kursują najbardziej fantastyczne plotki, kto następny do rozwiązania, jaki tytuł ma paść. Ostatnio w niektórych wydawnictwach RSW przebąkuje się o nowej koncepcji, która z grubsza biorąc, miałyby wyglądać tak: przekształcamy się w spółkę akcyjną (z udziałem RSW), wypuszczamy akcje po milion złotych i gospodarujemy na własny rachunek. Kto z personelu akcji nie kupi, będzie "pracownikiem najemnym". Biorąc pod uwagę pauperyzację środowiska dziennikarskiego RSW, składałoby się ono zdecydowanie z tych ostatnich.

Analizując sytuację RSW, nawet pozbieżnie, nie wolno zapominać również o tym, że jeśli nawet firma ta doczeka się swojego Augiasza, należy wątpić, czy uda się mu obniżyć cenę prasy. Łatwiej będzie zapewne z jej "odideologizowaniem".

Insider
Pisane 7 lutego

/"PWA", nr. 7, 16. II. 1990/

TV: CO TO BĘDZIE...

Mirosław PĘCZAK

—gdy przybędzie odbiorców TV SAT, gdy okablują nam miasta, gdy wideokaseta rozpowszechni się tak, jak niegdyś książka?

Mimo, że nowe techniki telewizyjne nie rozpowszechniły się jeszcze w Polsce na wielką skalę, powyższe pytanie nie zmusza do wróżenia z fusów. Pewne doświadczenia już mamy, inni, bogatsi, mają ich dużo więcej. Jedno jest niewątpliwe: nowe techniki stwarzają nową sytuację komunikacyjną, przede wszystkim poprzez rozbiście monopolu "tradycyjnych" mediów elektronicznych. Słowo "monopol" wydaje się szczególnie na miejscu w odniesieniu do sytuacji polskiej telewizji. Załedwie dwa kanały, całkowite scentralizowanie systemu produkcji i emisji, prawo decyzji i kontroli w rękach jednego dysponenta. Do tego dochodzi też specyfika programu - załedwie pół godziny czasu antenowego dla programów lokalnych, przez co telewizzowie prowincjonalni iluzorycznie uczestniczą w wydarzeniach globalnych lub metropolitalnych i rzadko przychodzi im do głowy, że ich sprawy i problemy też mogą być "telewizyjne".

Telewizja "tradycyjna" w swoim monocentrycznym układzie nie pozostawia odbiorcy ani zbyt wielkiej możliwości wyboru, ani pola dla wywierania skutecznej presji na proponowaną ofertę. Polski widz przyzwyczał się przez lata, że nie ma wpływu na to, co mu pokażą. Sondaże opinii na temat programu pracują na rzecz nadawcy, nie odbiorcy. Ten ostatni wystawia dobre oceny takim czy innym widowiskom dlatego, że nie ma lepszych w "ramówce" a nie dlatego, że lepszych nie można sobie wyobrazić. Zresztą - nieradko pytanie projektuje odpowiedź. W takim układzie dobre samopoczucie nadawcy nie zawsze potwierdza się obiektywnym stanem rzeczy.

Gdy więc w domu pojawia się magnetowid, szczęśliwy posiadacz ma możliwość uniezależnić się od centralnie sterowanego przekazu. Ma szansę uwolnić się od nachalnej (jak bywało) propagandy politycznej, dobrodusznego a naiwnego (jak bywa) dydaktyzmu, wszechobecnej (jak będzie) reklamy komercyjnej. Badanie przeprowadzone

w 1987 r. przez OBOP wykazało pewną różnicę między ofertą telewizyjną a rodzajem najczęściej oglądanych programów z wideokaset. Pierwsze trzy miejsca spośród programów najczęściej odbieranych przez magnetowid zajęły filmy fabularne, filmy animowane i filmy erotyczne. Warunkiem popularności okazuje się zatem deficyt lub brak określonych propozycji w programie telewizyjnym. Stwarza to szczególną sytuację konkurencji podobną do tej, jaką obserwowano niegdyś między telewizją a kinem.

Obecnie liczbę magnetowidów posiadanych prywatnie w Polsce szacuje się na około 700 tys. Magnetowidy będą w świetle coraz tańsze, przeto da się założyć, że - mimo obecnej polityki celnej - coraz więcej a nie coraz mniej Polaków będzie z nich korzystało. Podobny proces da się przewidzieć również w odniesieniu do telewizji satelitarnej, której odbiorcy już dziś stwierdzają ogrom dystansu, jaki dzieli produkcje TVP od zaawansowanych w rozwoju technologicznym i pomysłowości sieci telewizyjnych świata. I w tym przypadku niebagatelną rolę odgrywa możliwość wyboru - ma się w końcu dostęp do kilkunastu kanałów co najmniej, a oferta nie ogranicza się wyłącznie do tego, co proponuje Jerzy Klechta w "Bliziej świata". Tyle, że warto znać języki (przynajmniej angielski). Natomiast ci, którzy języków się uczyć nie chcą, a mają pieniądze mogą cierpliwie poczekać na uruchomienie sieci kablowej, która umożliwiłaby odbiór na 18 kanałach, gdzie większość przekazów opatrzona będzie polskimi napisami. Swoją drogą szkoda, że plany okablowania, jeśli wierzyć informacjom podawanym przez prasę jeszcze niedawno, nie obejmują sprawdzonego w kilku krajach pomysłu telewizji osiedlowej.

Czy znajdujemy się więc u progu rewolucji telewizyjnej? Jeśli tak, należałoby się do niej odpowiednio przygotować. Nie jest to wyłącznie kwestią technologiczną i finansową, lecz w równym stopniu kwestią polityki i świadomości. W gospodarce mają wreszcie decydować rynek i związana z nim zasada rezygnacji z ręcznego sterowania przez taką czy inną centralę. Rządzą

wi i (w większości) parlamentowi odpowiada idea wolności producentów i konsumentów. Inaczej w kulturze. Z jednej strony podnosi się ceny papieru i książek, traktuje po prostu jako towar a wydawców tak samo jak producentów obuwia, z drugiej strony zaś - deklaruje się szczególnie miejsce kultury w społeczeństwie, któremu nie można pozwolić, by doszczętnie schamowało w otchłani szmiry i pornografii. Niedawno senator Andrzej Wajda w wywiadzie dla "Gazety Wyborczej" stwierdził, że telewizja polska przekroczyła granicę pornografii i realizuje "balkański model kultury". Z tego, co mi wiadomo, trudno znaleźć bardziej pruderyjną telewizję, niż bułgarska, nie mówiąc już o rumuńskiej. Może znakomity reżyser miał na myśli starożytnych Greków? Nieco wcześniej na łamach "Polityki" min. Izabela Cywińska wyraziła pogląd, wedle którego najsensowniejsze byłoby trzymanie się jezuickiej wykładni określającej co jest, a co nie jest pornografią. Parlamentarno - rządowe deklaracje wyrażają poparcie dla liberalizmu w ekonomii, ale sugerują konieczność kontrolowania treści kultury. Najpewniej mamy tu do czynienia z nawykiem realizowania tzw. polityki kulturalnej zgodnie z regułą, wedle której ci, co wiedzą lepiej, dokonują selekcji kulturalnej strawy przeznaczonej do powszechnej konsumpcji.

W epoce decentralizacji, do której mam nadzieję, zmierzamy, wszelkie odgórne blokady skazane są na niepowodzenie. Bywały momenty, kiedy Nadzorca z Radiokomitetu ustalali precyzyjnie, w jakich proporcjach ma być w programie Polskiego Radia emitowana zachodnia muzyka młodzieżowa. Najwyraźniej zapominali przy tym, że w powszechnym użyciu znajdowały się już urządzenia zwane magnetofonami. Młodzi ludzie słuchali więc z taśmy "Rolling Stonesów", ignorując zupełnie partyzanckie produkcje partyjnej grupy rozrywkowej "No to co". Jestem przekonany, że sztuka w warunkach wolności wyboru nie zostanie wyparta w mediach audiowizualnych przez pornografię, która zwykle, po piętnastu minutach oglądania staje się zwyczajnie nudna. Gdy słyszę dziś narzekania na zalewającą nas zewsząd komercyjną tandetę filmową, w pierwszym odruchu spontanicznie przyznaję rację narzekającym, by po chwili przypomnieć sobie o tłumach, jakie wałęsa na "Warszawski Tydzień Filmowy". Może więc warto czasem zawierzyć instynktowi "konsumentów kultury" i nie zapominać o istnieniu magnetowidów? ■

LUKIER JUŻ KRZEPNIE

J. Kędziński

Cieszę się, że pana Premiera popiera 85% Polaków, a jego ministrowie, jak donoszą gazety, z tygodnia na tydzień są coraz bardziej popularni. Dzięki temu - ja mogę szczechnąć. Nie bije się przecież leżącego, umierającego ani śla-

bującego na zdrowiu. A szczechnę, bo coraz częściej odnoszę wrażenie, że jestem traktowany jak przyglup.

Do Małgorzaty Niezabitowskiej 61% Polaków ma zaufanie. Kierując się tym, że na pewno jej nie zaszkodzi, postanowiłem napisać ten list po obejrzeniu czwartkowych "Interpelacji", gdzie minister na żwawe, błyskotliwie a na dodatek słusznie zaczepki Jadwigi Stanisławska potrafiła odpowiadać uśmiechem. Zastosowała damską taktykę: nie dopuścić partnera do słowa. zagadać go. W kuchni to się sprawdza.



Prawdziwy Polak nie bije kobiet. Caluje w rączkę, donosi kwiaty. Ale co ma robić ten Polak, jeśli w jego kraju kobieta spełnia męską funkcję? Na Urbanie wieszaliśmy psy, wytykaliśmy mu brak urody, kłapciate uszy i cynizm. Prawdę mówiąc, pastwiliśmy się nad nim okropnie. Teraz, gdy rzecznik dystyngowanie odczytuje z kartki, siedzimy cicho - bo a nuż zaszkodzi panu Premicrowi? - i co najwyżej zauważamy, że gustujemy w innym typie kobiet. Nie chodzi o briefingi pani Niezabitowskiej, nie tylko dlatego, że w tym właśnie czasie urządzam sobie fajf o kloki... A też dlatego, że pani minister zapytana w telewizyjnych "Interpelacjach" jakie cechy powinien posiadać rzecznik rządu, wymieniła różne. Refleks, błyskotliwość itd. W tym spisie przymiotów zabrakło wiedzy. I to czuć.

Cieszę się, że minister Kuroń załatwił w RFN pracę dla tysiąca młodych Polaków,

którzy zarobione tam pieniądze przeznaczą na budowę własnego mieszkania. Zdziwiłem się tylko, kiedy przeczytałem w środowej gazecie, że lista kandydatów na gospodarbeiterów została zamknięta. Jaka lista? Kto ją otworzył? Kto zamknął? Słowo honoru, mieszkanie już mam i małość przeze mnie nie przemawia. Czekających na mieszkania są miliony, a ich stan psychiczny często wymaga opieki lekarskiej i wydaje mi się, że nie wolno w tajemnicy manipulować nadzieją. To nie jest amnestia!

SIC GLORIA TRANSIT

Ernest SKALSKI

Sukces Gorbaczowa, który z obrońcy art. 6 Konstytucji ZSRR o roli partii przeistoczył się w jego przeciwnika, nie jest kompletny. Nomenklatura, w tym aparat partyjny, trzyma się mocno, głównie siłą organizacji i spójności interesów, nawet jeśli narzędzia władzy są już mocno niesprawne. Ma ona ciągle przewagę nad amorficzną opozycją w postaci ruchów społecznych o przeciwnych orientacjach, ruchów narodowociowych niekiedy walczących ze sobą na śmierć i życie, najrozmaitszych ugrupowań, przezwanych jeszcze błędnie w oparach socjalistycznej iluzji itp. Do tego nie wiadomo, jak daleko pogrą Gorbaczow. Czy nadal będzie oddalał się od aparatu, szukając poparcia w siłach opozycyjnych, czy się zatrzyma, czy zrobi jakiś krok w przeciwną stronę, myśląc, że tak reguluje cały ten proces.

Jutro jest niepewne, pojutrze tonie we mgle, wszelkie horoskopy wydają się równie prawdopodobne. Ale pewne fakty są już nieodwołalne:

Rosji może grozić okrutna nawet dyktatura, mogą funkcjonować zwalczające się dyktatury narodowe, na przykład oparte

o muzułmański integralizm. Mogą też być czynione próby restauracji partyjnego komunizmu, ale one właśnie wydają się mieć najslabsze szanse. Komunizm bowiem jest systemem opartym na idei, utopii, słowie. Nawet kiedy kończy się wiara - a u wielu ludzi radzieckich ona bynajmniej się nie skończyła - pozostaje liturgia. Partia, która sama wyrzeka się swojej przewodniej roli, rezygnuje z istoty tego systemu, sama siebie pozbawia legitymacji w oczach społeczeństwa i nikt jej już nie wystawi ponownie.

W zrewoltowanych krajach bloku widać wyraźnie, że partie komunistyczne przeznaczone do dyktatorskiego rządzenia, nie potrafią rządzić w warunkach demokratycznych, z opozycją. Nie potrafią funkcjonować jako demokratyczna opozycja i nikną, co już się skończyło w Polsce, na Węgrzech i w Rumunii. KPZR mniej od kogokolwiek innego nadaje się do demokracji. Sekretarz Gorbaczow w porę zadbał, by zostać "prezydentem" ZSRR. Inni przytomniejsi właściciele ZSRR zaczęli się prześiadać na stanowiska państwowe i może by się zaczęli uwłaszczać, gdyby istniały odpowied-

I jeszcze rozmieszyła mnie jedna informacja. Teatr Wielki, najbardziej chyba dotowana scena w Polsce, przekazał 5 milionów z okładem na fundusz wspierania inicjatyw gospodarczych premiera Mazowieckiego z wieczorów koled "Podnieść rękę Boże Dziecię". Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby Teatr Wielki zachował te pieniądze dla siebie, obniżając dofinansowanie, niż robił propagandowy szum dowodzący patriotycznej postawy i zaangażowania. Oczywiście, można przelewać z jednej kieszeni do drugiej, ale tak naprawdę po co?

Ja osobiście nie życzę sobie, żeby instytucja, na którą płacę podatki, którą utrzymuję, odgrywała panisko i fundowała mi grochową z wkładką.

Zaczynamy kolejną epokę życia w pozorach. W pozorach innych niż za Gierka, Gomułki czy Jaruzelskiego. Ale lukier zaczyna już krzepnąć. Jedni przed drugimi popisujemy się patriotyzmem, akceptacją rządu, katolicyzmem, polskością, prząsnością. I boli mnie, że w tym upupianiu mnie i nas wszystkich biorą udział ludzie, którym zaufałem.

Jesteśmy ponoć drugim państwem na świecie - pierwszy to Iran - gdzie stworzono instytucję duszpasterza parlamentarnego. Mój świeżo nawrócony kolega, z którym rannym ekspresem jechałem do Gdańska, gdy tylko pociąg ruszył z peronu, wyciągnął brewiarz i nie zważając na śpiących ludzi, zaczął głośno modlić się. Oczywiście, nikt mu nie zwrócił uwagi.

nie formy gospodarcze. Ale to wszystko, to już nie są nasze zmartwienia!

Przywykliśmy przez ostatnie kilka wieków, że wszystko co dzieje się w Rosji jest dla nas niesłychanie ważne. Ten pogląd od kilku miesięcy można już rewidować. Jest jeszcze ważne, lecz już nie decydujące. To prawda, że wiele zawdzięczamy pierestrojce, lecz wyzwoliwszy się, nie musimy się już tak liczyć z Moskwą. Rządziła ona nami przy pomocy siły - lub groźby jej użycia. Innych narzędzi nie ma. Wojska stojące w Polsce, a zwłaszcza w NRD to już w bardzo niewielkim stopniu groźba dla krajów przebywania, a w ogromnym - kłopot dla Moskwy. Już w najbliższym czasie okaże się to dla wszystkich.

Proces upadku jest procesem słabnięcia. Siły, jakie zostają, zużywają się w tarcich i konfliktach wewnętrznych. Rosja przestaje być nawet jednowymiarowym, czyli militarnym mocarstwem, bo zachowując siłę wojskową, traci polityczne predyspozycje potrzebne dla jej użycia. Ewentualnie może się zdarzyć jakiś desperacki krok, nie leżący zresztą w rosyjskich tradycjach, ale szaleństwo choć ma swoje miejsce w historii nie może być z góry brane pod uwagę.

A co do nas, to mimo rozlicznych więzi, jesteśmy już chyba poza obrębem tego imperium. ■

/ "PWA", nr. 7, 16. II. 1990 /

KULTURA NIE WYBRONI SIĘ SAMA

Rozmowa z Andrzejem Osęką

P. - Wraz z kilkoma kolegami założył Pan miesięcznik "Kultura Niezależna", który od początku do dziś ukazuje się bardzo regularnie, zawstydzając oficjalnych wydawców. Z pisarza stał się Pan przy tym po trosze i menedżerem, biegającym za techniką, kolportażem, finansami. Czy nie ciążyły Panu te obowiązki?

O. - Przyznam się Panu: bardzo nie lubię być redaktorem, nie lubię pracować nad cudzymi tekstami, obmyślać układ numeru etc. Na szczęście znalazły się w zespole osoby, które to robią w sposób wysoce kompetentny. Sądzę, że się szczęśliwie uzupełniamy; mnie bardziej ciekawiły problemy strategiczne - techniczne, czasem na poziomie kolportera, czasem negocjatora w najrozmaitszych sytuacjach, kiedy trzeba było przeprowadzać pismo przez rafy podziemia wydawniczego. Ze podziału pracy (spontaniczny zresztą) był właściwy, świadczy nieprzerwane ukazywanie się "KN" przez sześć lat. Weszliśmy w rok siódmy w całkiem dobrym zdrowiu. W numerze 60. ujawnimy pełny skład redakcji; postanowiliśmy poczekać na ten mały jubileusz. Jedynym, co się w piśmie (niemał) nie zmieniło, jest właśnie skład redakcji. Przy 57 wydanych dotąd numerach mamy już trzeciego wydawcę. Po "Przedświcie" i "Pokoleniu", od 32 numeru "PoMost".

P. - Mam wrażenie, że "Kultura Niezależna" czytana jest nie tylko ze względu na tematykę, która określa pierwszy człon jej tytułu, ale - i może przede wszystkim - dlatego, że stawia kwestie polityczne, ukazując polityczne konteksty wydarzeń i to niekiedy wprost związanych z kulturą...

O. - Nie zgodziłbym się z tym, choć w zespole sam zawsze byłem rzecznikiem zainteresowań polityczno - społecznych. Inni koledzy o wiele bardziej zdecydowanie trwają od początku przy wartościach literackich, artystycznych, przy ich propagowaniu i analizie, przy tym, co w redakcji nazywamy - "ponadczasowe".

P. - Zadziwiające, Pan - subtelny teoretyk sztuki - był jednak autorem felietonów politycznych...

O. - Nie wiem, czy jestem "subtelny teoretykiem" czegośkolwiek, natomiast w pewnym sensie politycznym felietonistą - pod rozmaitymi pseudonimami - byłem już przez lata. Oczywiście, nie pisałem o wszystkim, a tylko o pewnych sprawach. Motywem szczególnie ważnym

była dla mnie postawa artysty wobec totalizmu. Problem ten opisywałem na przykładzie konkretnych twórców, choćby takich jak Duda-Gracisz albo Dwurnik - czyli tych, którzy przeszli do obozu przeciwnego. Pisałem o "czerwonym opłatku" - o tych twórcach, którzy udali się na ministerialne salony świeżo po zabójstwie ks. Popiełuszki.

Motyw konkretnej postawy twórcy wobec wartości ideowych i sytuacji politycznej pojawiał się w "Kulturze Niezależnej" - rozpisany na wiele in-

O. - Środowiska tworzące Okrągły Stół zlekceważyły w sposób - moim zdaniem - karygodny sprawę kultury. Do dzisiaj panuje złudzenie, że jeśli sprawy społeczne i ekonomiczne rozwiążemy w sposób właściwy, to kultura "załatwi się" sama, sama znajdzie swoje miejsce. To nieprawda. To jest złudzenie. Kultura zawsze wymagała szczególnej troski, a takie lekceważenie może mieć skutki fatalne...

P. - W esejju z 56 numeru "KN" - "Artysta wraca do domu" odrzuca Pan jako błę-



Fot. P. Wójcik

nych tekstów zaczerpniętych z bardzo różnych źródeł. Weźmy choćby z numeru 14 słynny wywiad Jacka Trznadla ze Zbigniewem Herbertem, który później znalazł się w książce "Hańba domowa" (nb. z pewną małą, lecz ważną zmianą). Trudno to w piśmie nazwać wątkiem politycznym, chodzi tu właśnie o postawę twórcy, a więc o pewne aspekty filozofii tworzenia. Polityki, zwłaszcza zastanawiania się nad problemami polityki gabinetowej - tego u nas w ogóle nie było. My się programowo o polityce nie wypowiadamy.

P. - W strukturach podziemnych, szczególnie od połowy ostatniej dekady, istniała zauważalna nadreprezentacja środowisk twórczych czy kręgów z nimi związanych. Przy Okrągłym Stołku zaś nie mówiło się natomiast wcale o sprawach kultury. Dlaczego?

dnę i szkodliwe wadzenie się z historią. Czy nie jest to postawa wycofania się w prywatność?

O. - Nie mam nic przeciwko "wzdręgnięciu się z Historią", przestrzegam tylko przed jej uwielbieniem. Występuje przeciwko artyście - ideologowi, który opowiada się po stronie rewolucji, stawia na wielkie przemiany społeczne, dające się zaprojektować i zaprogramować. Chce on burzyć świat, a przy okazji burzy własny dom. Wydaje mi się, że złudzenia rewolucji, którym przecież ulegała awangarda XX wieku, mamy już za sobą. Zwalczając nas, którzy byliśmy ofiarami tej inżynierii społecznej, nauczyły one tyle, że możemy szukać czegoś innego. I chyba zwracamy się znów ku rzeczom najprostszym. Czuję, że to nasze doświadczenie - wydawałoby się takie partykularne - pozwoli inaczej postrzegać artystę. Nie jako bojo-

wnika, który gdzieś leci ze sztandarem, który wsiada na jakiś "parowóz historii", który odcina się od swoich najbliższych, od bezpośrednich doznań, od swojego domu. Artysta - i to chyba nie tylko polski - odczuwa potrzebę powrotu do tego rodzaju doświadczeń. To nie musi być życie bezpieczne, wygodne. Dom stoi w jakimś, nie zawsze przyjaznym otoczeniu, kręgi najbliższych wciąż narazone są na wiele cierpienia. Zmiana dotyczy punktu widzenia - jest on kameralny.

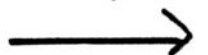
I nasz redakcyjny punkt widzenia na kulturę, na rzeczywistość społeczną też jest kameralny. "Kultura Niezależna" to pismo o niewielkim nakładzie i zasięgu. Bliższy jest nam taki ogląd rzeczy, kiedy na hulanie wiatrów historii patrzy się poprzez doświadczenia jednostki. Dodam: jednostki myślącej, tworzącej kulturę.

P. - Czy jednak mimo wszystko ta kameralność nie jest zbyt wczesnym wychyleniem się wadliwa w drugą stronę? Artysta był na wojnie, a teraz już chce odpocząć w "ojczystej zagrodzie"...

O. - Człowiek najgłębiej żyje wcale nie w sytuacjach krańcowych, szarpany przez wydarzenia polityczne, gdy działa na największej arenie, gdzie rozlega się najszerze społeczne echo - ale właśnie w kręgach kameralnych, tam, gdzie najważniejsi są ludzie. Wyłączenie telefonów 13 grudnia miało ten niespodziewany efekt, że ludzie zaczęli odwiedzać się w domach, chodzić do siebie, kontaktować się najbardziej bezpośrednio. I sztuka, która powstawała w latach osiemdziesiątych w jakiś sposób była tego przedłużeniem. Ona w swoich najważniejszych osiągnięciach była właśnie prywatna. Już wtedy artysta właśnie wracał do domu z tego świata anonimowych hasel: postępu, walki dla przyszłych pokoleń, rewolucji. Wracał do kręgu, gdzie byli prawdziwi ludzie, a nie osobniki. Dzieje się to wbrew awangardowej idei sztuki, gdzie rządzą pojęcia a nie ludzie.

P. - 14 lat temu napisał Pan bardzo ważną książkę "Mitologie artysty". Czy teraz w ślad za ostatnimi doświadczeniami, dopisze Pan do niej kolejne rozdziały?

O. - Przygotowuję trzecie wydanie tej książki. W połowie niemal tworzyć ją będą teksty nowe, a ostatni jej rozdział nadszycowałem właśnie w esejju o artyście wracającym do domu. Książka powinna ukazać się w ciągu najbliższych miesięcy. W ostatnich latach ostrzej zobaczyłem nieludzką stronę awangardy artystycznej: jej programów, które sławiły bezwzględność, przekraczanie norm moralnych - do czego artysta miałby mieć prawo w imię Nowego. Dokładnie tak jak komunisty.



/"PWA", nr. 7, 16.II.1990/

P. - Czy - wodporaniony na totalizm - polski artysta da sobie radę w społeczeństwie demokratycznym, w którym i sztuka na wolnym rynku zamienić się może w pokupną szmirę?

O. - Na Zachodzie komercjalizacja jest bardzo poważnym obciążeniem dla sztuki. Tam wymyśla się czasem całe kierunki artystyczne pod kątem tego, czy będą się dobrze sprzedawały. Ogromna ilość imprez to w gruncie rzeczy zakamuflované sklepikarstwo. Boję się, że wielu artystów w Polsce nie będzie w stanie zorientować się w skali niebezpieczeństwa.

P. - Czy komercjalizacja w każdym wypadku deprawuje?

O. - Nie o to chodzi, że sprzedając dzieło, artysta sprzeniewierza się samemu sobie. Rynek sztuki - który istnieje mniej więcej od XVII wieku

- dawał czasami rezultaty bardzo dobre, ale przyniósł też - i to od samego początku - skutki złe: płytkość wynikającą z tego, że dzieło adresowane jest do nieznanymi odbiorców. Obecnie w Polsce nie wiadomo kto po tę sztukę przyjdzie. Najgorzej byłoby jednak, gdyby nie przyszedł nikt.

P. - Co więc robić, byśmy całkiem jako społeczeństwo nie schamiali? Czeka nas okres ciężkiej, ohydnej, pracy, dorabianie się ekonomiczne i estetyczne suda?...

O. - Pewne zjawiska społeczne, które się skryzalizowały w latach osiemdziesiątych, tak łatwo nie wymierają - nawet pod tak silną presją "priorytetów ekonomicznych". Są kręgi ludzi, którzy w tym się odnaleźli i nie będą chcieli tak całkiem bez buntu zatopić się w tym nowym, skomercjalizowa-

wanym świecie. Będą dążyli do przedłużenia swego doświadczenia z tamtych lat. Doświadczenie postkomunistyczne - mówię już w kategoriach ściśle artystycznych - będzie musiało znaleźć swoją formę. Bo jeśli się o komunizmie myśli tylko jako o nieszczęściu, które przyszło z zewnątrz, któremu myśmy byli nie winni, i dobrze, że odleciało, a my teraz możemy nareszcie zająć się "swoimi" sprawami - to właściwie jesteśmy tak samo głupi jak przedtem. Natomiast, jeżeli pomyślimy o tym, co przeżywalismy przez te wszystkie lata jako o doświadczeniu własnym, to będziemy mieli co robić przez najbliższe dziesięciolecie. Sądzę, że mimo bardzo trudnych społecznych i ekonomicznych warunków, coś takiego nastąpi - bez doraźnych obciążeń politycznych i bez konieczności, już tylko obrzędowego, "dokopywania czerwoności".

Rozmawiał: Jan Brylowski

DZIADEK PROTAZY U DZIKICH

Łońskiego roku byłem ci-ja, mościewy, na wyspie gorącej u dzikich ludów, które chodzą na golasa i właśnie zaczęły się urynkawiać. Namówił ich misjonarz brat Korwin. On się gorszył, że całe plemię mieszka w jednym długim domu i je sago ze wspólnego kotła.

-Hańba! - tupal - wasz styl życia jest niezgodny z naturą!

Dzicy słuchali go z roztargnieniem, zakaszając dzikie banany wprost z bananowca i popijając arak palmowy swojej roboty.

-A co mamy zrobić, żeby się jeszcze bardziej do natury zbliżyć? - zapytał czarownik.

-Kapitalizm macie zrobić. To jedyny ustrój naturalny.

Dzicy się ucieszyli i zaczęli skandować rytmicznie "Kapi-kapi, tali-tali, niech wspólnota się zawali!"

-O właśnie - pochwalił brat Korwin - kolektywizm be, własność prywatna cacy. Teraz każda rodzina musi zbudować sobie własny dom, od innych odgródzony.

Zmartwili się, bo lubili żyć wielką plemienną kupą, ale posłusznie polecieli do dżungli, ścięli dużo palm, zbudowali ploty.

Korzystając z pełnej wolności indywidualnej każdy się odtąd czuł jakby w osobnej klatce.

Trudniej szło z wdrożeniem gospodarki towarowej - pieniężnej. Ani w ząb nie mogli pojąć, na czym polega pieniądz jako powszechny ekwiwalent i miernik wartości, bo przywykli od wieków, że kura równa się trzy kokosy. A tymczasem brat Korwin kazał im jako monetę stosować muszelki: jedna muszelka równa się kokos, trzy muszelki - kura. Kur ani kokosów od tego nie przybyło, ale plemię przyglup, przezywany Niewidzialna Ręka, wybierał chyżo wszystkie muszelki z plaży i stał się tłustym kapitalistą.

Zginął ohydny zwyczaj plemienny jedzenia do syta ze wspólnego kotła, bo Niewidzialna Ręka wszystko wykupił i śpał sam aż do czkania. Tradycyjna starszyzna, która straciła autorytet, bo zbieranie muszelek uznana zrazu za aspołeczny i bezproduktywny idiotyzm, musiała poprzestać na ochlapach - a kobiety, psy i dzieci ogryzały kości.

Dokonana się jednak modernizacja techniczna, jak to w kapitalizmie. Pewien

spryciarz Banko, wynalazł luk szybkostrzelny, i stał się monopolistą w łowach na małpy. Konkurenci uwierkli z niedoboru protein i chorowali na beri-beri. Następnie Banko, wytopiwszy z rudy darniowej postępową maczetę, uciął głowę Niewidzialnej Ręce, zagarnął muszelkową kasę i przyznał sobie wyłączność na pędzenie araku. Brat Korwin, bardzo rad, że diabli biorą plemienną demokrację i zgubny etos egalitarny, w imieniu nowej elity włożył koronę z pawich piór na skronie mocnego człowieka.

Na wyspie zapanował głód. Lud ssal łupiny kokosowe, chociaż w każdym szalecie był kantor wymiany muszelki na korale. Zbędny już, bo nieprzedsiebiorczy czarownik (na wszelki wypadek inwigilowany przez goryli prosto z lasu) ułożył tęskną balladę, która stała się przebojem drugiego obiegu:

Kredyt podrożał - warsztaty stają
Wszystkim nam w brzuchu kruczy.
Kogo stać dzisiaj na strusie jajo?
Tylko się świta utuczy.

Protazy

SIEROTY PO ENVERZE

Zbigniew MIKOŁEJKO

POGŁOSKI...

...pojawily się jak echo wystrzałów w Banacie. Jakby zgodnie z nadzieją, że i w ostatniej enklawie stalinizmu europejskiego "coś drgnęło". Gdyby nie sprzeczności albańskiej propagandy, sprawę można byłoby uznać za fikcję. Oto 11 stycznia "Zeri i Popullit" (Głos Ludu) uznał za fałszywe pogłoski o rozruchach mniejszości greckiej w Szkodrze; dlaczego jednak oskarżył on grecki Kościół prawosławny o jakąś ingerencję w wewnętrzne sprawy kraju - nie wiadomo. 14 stycznia z kolei "ukochany wódz", Ramiz Alia, wyjawil innego sprawcę "oszczerstw" i "ingerencji" - Jugosławię. Zarazem zagraniczni dyplomaci w Tiranie, wykluczając możliwość buntu, przyznają, że w Wigilię Bożego Narodzenia słyhać było odgłosy wystrzałów.

Inne wieści są bardziej dramatyczne. Mówią o poważnych rozruchach w Szkodrze oraz Korczy i - na mniejszą już skalę - w Tiranie, o użyciu przeciw demonstrantom broni maszynowej i ciężkiego sprzętu wojskowego. W rezultacie miały paść pono setki zabitych i rannych. Jeden z uciekinierów opowiada o krwi na ulicach Szkodry. 20 - letni żołnierz straży granicznej, Alber Ceka, twierdzi, że był świadkiem doraźnych egzekucji, że widział masowo wieszanych demonstrantów. To nie dziwił w tradycji, którą Enver Hodża (Hoxha) pozostawił swemu następcy, mieści się przecież prakty-

ka rozstrzeliwania podejrzanych bez sądu, od razu w podwórzach ich domów.

SCENOGRAFIA

Niektórzy sądzą, że tłem tych wydarzeń mogło być niezadowolenie z niskiego poziomu życia. Faktycznie, dochód narodowy na głowę mieszkańca jest w Albanii najniższy w Europie: w połowie lat osiemdziesiątych wynosił on ok. 840 dolarów. Relacje ustne i pisane na temat poziomu życia Albańczyków pełne są sprzeczności. Ale różnice sprowadzają się do prostego pytania: nędza czy niedostatek? Polscy handlowcy opowiadają (1983 r.) o latach nadsztych warstwowo na łokciach i kolanach ubrań, tak że tworzą tam istne stożki; o paskudnym jedzeniu, którego nie można przelknąć ("Mogłam jeść tylko jajka" - twierdzi drobna urzędniczka); o dobytku rodziny, który daje się w całości zmieścić na ręcznym wózku; o mieszkaniach, które ogrzewa się "kozami", gromadząc na balkonach stopy porąbanego drewna. Znajoma dziennikarka twierdzi jednak, że jedzenie jest znośne, że można kupić znakomite soki z owoców. "Encounter" (1985) notuje, że ubrania ludzi są porządne i czyste, choć brzydkie i jednostajne. Zarazem jednak opisuje szturm na sklepy z lepszą odzieżą i stwierdza, że otrzymać ją można tylko drogą przysiadów (podobnie jak meble, sprzęt elektryczny i elektroniczny, rowery). Wg tego samego źródła zaopatrzenie

w mięso, świeże jarzyny i owoce było lepsze niż w Polsce, Rumunii czy ZSRR.

Oto typowa cecha: polska delegacja handlowa wsiada po rozmowach do samochodu, obok przemykają na rowerach, przyodziani w eleganckie, zachodnie garnitury jej partnerzy - dyrektorzy i wysocy urzędnicy.

W stolicy nie ma ani jednej sygnalizacji świetlnej. Tak wyraża się prosty fakt, że w tym kraju jest zaledwie 8 - 10 tys. samochodów (wyłącznie służbowych). Większość to stare ciężarówki, poskładane z części rozmaitej produkcji. Krąży też trochę zdezelowanych autobusów. Cały transport odbywa się więc z wykorzystaniem siły poręcznej ludzkiej i zwierząt, zwłaszcza że koleje (pojawily się dopiero po II wojnie) liczy zaledwie ok. 360 km.

Gospodarcza autarkia Albanii sprawila, że ustal prawie jej import przemysłowy; odrzucono też "bratnią pomoc", nawet z Chin. W rezultacie nie ma skąd brać części zamiennych i w wielu fabrykach pracuje tylko 2/3 maszyn. Potęguje to ukryte bezrobocie, podsyca "orientalne" lenistwo. Wypocząć w pracy zresztą trzeba, skoro zabiera ona sześć dni w tygodniu, a urlop wynosi 14 dni. Jest ona zresztą źle płatna: wg Paula Lendvala średnio od 400 do 600 leków. Garnitur kosztuje 580 - 780 leków; buty - od 130 do 175, plastikowe sandały 75, sukienka 190 - 240, kilo ryżu (podstawa żywienia) 8, kg baraniny lub wołowiny (trudno dostępnej) 14 do 18 leków. Na rower trzeba ich naskładać ok. 1000, na lodówkę lub czarno - biały telewizor - od 4 do 4,5 tysiąca. Kobiety opłaca się za tę samą co mężczyźni pracę o 1/3 gorzej. Na nich zresztą spoczywa gros pracy w całkowicie skolektywizowanym rolnictwie. Działki przyzgodowe są tak małe, że nie pozwalają nawet na hodowanie jednej krowy.

LUDZIE I WIARA

Na osnowie tego niedostatku reżym kreuje oczywiście mit dobroty "ludzi pracy". Obok totalnego ideologicznego zniewolenia i zmasowanej, prymitywnej propagandy jest jej narzędziem system inwigilacji i represji. Wszystko w warunkach izolacji. Za granicę jeździ jedynie super - elita władzy, kultury i handlu. Nie docierają też do "Kraju Orłów" żadne zagraniczne gazety czy książki. Nie ma mowy o wymianie korespondencji. Więz ze światem utrzymują nieliczne kursy obcych linii lotniczych; brak bowiem połączeń kolejowych i morskich z innymi krajami. Ta izolacja zaczęła się jednak trochę wykruszać już w ostatnich latach panowania Hoxhy; zaczęto budować linię kolejową do Titogradu w Czarnogórze, między Durrresi a Triestem 3 razy na miesiąc specjalny prom przewozi plody rolne. Alia pogłębił nieco tę szczelinę: reżym zacieśnił kontakty handlowe z Włochami (wykłym ongiś agresorem) i Grecją.

Największą przecież dziurę w płócie zrobił sam Enver, pozwalając na retransmisję włoskich programów telewizyjnych (z wyjątkiem religijnych i "pornograficznych") 2,9 mln Albańczyków odciętych jest nie tylko od obcych, ale i od swoich (4 do 5 mln mieszka poza krajem: w Jugosławii - 2 mln, w Turcji 1 - 1,5 mln, we Włoszech 300 - 500 tys., w Grecji 100 - 300 tys., w USA 100 - 160 tys.). Choć reżym podsy-

ca nacjonalizm swych rodaków w Kosowie, to lęka się ich jak zarazy i uciekinierów "spod serbskiego ucisku" odsyła ciupasem do domu. W Albanii zaś problemem "mniejszościowym" są Grecy (wg Tirany jest ich 2%, tj. 50 tys., wg Aten - 200 tys.). Stanowią oni element najbardziej niezależny, z nich też wywodzi się większość śmiarków, którzy przepływają cieśninę Korfu lub przedzierają się na wolność przez góry. Dochowali też w większości wierności prawosławiu, choć praktykują je w ukryciu.

Spoleczeństwo albańskie jest młode (aż 37% ma mniej niż 15 lat, tylko 7% ponad 70). Przyrost naturalny przekracza tu czterokrotnie średnią europejską. Ekstensywny gospodarce potrzebna jest przecież znaczna siła robocza. Ale nie tylko to jest ważne: nawet oficjalnie przyznaje się bowiem, że starsi trwają nadal przy "religijnych przesądach". Starcy z muzułmańskim różańcem w dłoniach są więc częstym widokiem. Jasne jest też, że nie akceptują oni - choć ciższa o tym - małżeństw "mieszanych" wyznaniowo; tak naprawdę tabu w tym względzie powoli przekracza pokolenie ich wnuków.

W chwili konstytucyjnego zniesienia w 1967 r. prawa do wyznawania jakiegokolwiek religii (jedyny przypadek na świecie) w Albanii żyło 70% muzułmanów, 20% wyznawców prawosławia i 10% katolików. W najlepszej zresztą symbiozie (o czym np. świadczy powstanie przeciw Turcji w 1912 r.). Można przypuszczać, że ta proporcja utrzymuje się skrycie nadal, choć reżym Envera zamknął wszystkie 2169 świątyni. Surowym represjom poddano też duchownych. W rezultacie dzielą się oni na następujące kategorie: zlikwidowanych (fizycznie), aresztowanych, "zredukowanych" (czyli zmuszonych do zmiany zjawienia), oraz politycznie spełniających swą misję.

Atak na religię był zarazem atakiem na kulturę - młodzi fanatycy zburzyli wiele bezcennych obiektów. W Szkodrze, najbliższym ośrodku katolickim, w miejscu katedry (z 1858 r.) wznosi się pałac sportu; nie wiem, jaki los spotkał kościół NMP w stylu weneckim (2 poł. XV w.) i meczet (XIX w.). W Berat, centrum prawosławia od XII w., było 5 kościołów i 7 meczetów. W jednym z nich (XVI w.) jest muzeum Hoxhy; w drugim (XVIII w.) - stała wystawa rękodzieła, los najpiękniejszego (1493, freski z XVIII w.) i pozostałych (a także klasztoru szejka Hasana) - jak wyżej, Szesnastowieczny kościół bizantyjski Świętej Marii w starogreckiej jeszcze osadzie Apollonia rozpada się w ruinę, a cenne freski osypują się. W dawnej stolicy (1913 - 20), portowym Durrresi, w jednym z meczetów osadzono związek młodzieży komunistycznej, pozostałe meczety są "w restauracji" (tj. zamknięte i niszczące). W Elbasani, uznawanym ongiś za perłę islamskiej architektury, o silnych tradycjach muzułmańskich, meczety (XIV - XVI w.) znaczą tyle, co przepiękny klasztor św. Jana (XIV w.), a zatem nic.

Za to starożytna Gjirokastra spełnia doniosłą rolę religijną. Ale nie ze względu na swe meczety z ok. 1700 r. Centrum kultury jest tu dom pewnego muzułmańskiego wielmoży i poborcy podatków, gdzie w 1908 r. przyszedł na świat sam Enver Hoxha, założyciel nowego ludu. Kult Enverra, uzewnętrzniany za życia wodza w gigantycznych freskach, pomnikach i kamiennych napisach wzdłuż dróg całej Albanii.



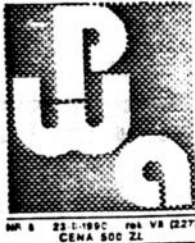
SYSTEM I JEGO LUDZIE

zdominował też życie duchowe Tirany. Kolos z brązu w Muzeum Narodowym, portrety w Galerii nie dały się pogodzić w każdym razie z głównym kościołem katolickim miasta (teraz kino), katedrą prawosławną (hala sportowa) oraz słynnym meczetem Ilaksi Etchemi Beych (XVIII/XIX w., zamknięty). Jak przystało na jedyne w świecie państwo "praktycznego stalinizmu", także Józef Wisarionowicz ma tu swe wickopomne świątynie. Ostatecznie uchronił kraj przed pożarciem przez pazernego Titę.

Jednak wierność Alii dla kultu Envera zaczyna być wątpliwa: tu i ówdzie słychać o zniesieniu napisów z kamieni, o likwidacji portretowych fresków na murach miast. Zaczęto nawet przebąkiwać o liberalizacji. Jej zaś dowodem koronnym miało być to, że w maju 1989 r. został uwolniony z więzienia jedyny hierarcha katolicki - biskup Nicola Troshani. Ale owa "liberalizacja" to mit: reżym trzyma się krzepko i wcale nie zamierza z niczego zrezygnować.

W 1941 r. Enver Hoxha, z plemienia Tosków, utworzył Albańską Partię Komunistyczną (od 1948 r. Albańska Partia Pracy) i partyzantkę, która bez pomocy Armii Czerwonej usunęła włoskich i niemieckich okupantów. W 1945 r. Albania stała się kolejnym krajem komunistycznego totalizmu. Stopniowo Enver wyzywał się opieki swych starszych braci: Jugosławii, ZSRR, wreszcie Chin, likwidując jednocześnie wewnętrznych przeciwników i rywali. Bez pardonu. Masowo. Rozwalał stare struktury klanowe i rodowe. Znosił prywatną własność ziemi, choć przecież wieś była siłą jego "rewolucji", choć - jak powiada Thomas T. Hammond - opierał się on na chłopstwie, dokonując następnie "podboju miast". Tworzył obozy koncentracyjne, i wszecchną tajną policję - Sigurimi. Nie oszczędzał nikogo: ani kleru, ani intelektualistów, ani nawet swego wiernego druha i zastępcy Mehmeta Szehu, którego zmusił do "samobójstwa" (?) w 1981 r., zaraz potem likwidując "bandę" czy raczej klan przyjaciela.

Czy jednak naprawdę Enver zlikwidował struktury klanowe, właśnie i kompromisy między rodami i plemionami? Czy - raczej - zρέcznie grał na starych mechanizmach? Mimo pozorów destrukcji przetrwały one nie tylko w świadomości: wszystko więc wskazuje, że np. klęska Szehu była wyrazem zaważenia się starych kompromisów między wielkimi rodami i próbą stworzenia nowej ich koalicji. W końcu obaj wielcy mieli dobrą muzułmańską genealogię. Muzułmaninem jest też z pochodzenia Ramiz Alia (z Ghegów), urodzony w Szkodrze w 1926 r., dziedzic Envera, był działacz organizacji "Młody faszysta", a następnie (od 1943 r.) członek partii komunistycznej. Może więc obecnie pojawił się (obok napięć gospodarczych, etnicznych, religijnych) nowy konflikt plemienny - między osieroconymi przez Envera Toskami i Ghegami z północy z otoczenia nowego przywódcy? Może właśnie ostatnie wydarzenia w Albanii były skutkiem odwiecznych procesów społecznych w tym kraju: plemiennych zmagania? W każdym razie - jak by nie było - do starych zbrodni doszły zapewne nowe, zapewne w kilkunastu obozach pracy zrobiło się ciasniej.



KŁOPOTY Z TOLERANCJĄ
ŚLISKA SPRAWA
HISTORIA JEDNEGO SUKCESU
INTERPELACJE WYBORCY

Przepraszamy. Z przyczyn technicznych musimy zrobić tygodniową przerwę. Następnym numerze PWA władz się z datą 2. III. 1990.

PRZEGLĄD WIADOMOŚCI AGENCYNICH

"KAPITALIZM WYMAGA OFIAR"

Irencusz WALENCIK

Wicepremier Balcerowicz spełnił w końcu postulat tych wszystkich, którzy w odrobinie bezrobocia upatrywali lekarstwa na choroby polskiej gospodarki.

Pod koniec stycznia w całym kraju zarejestrowanych było 56 tys. osób bezrobotnych i 35 tys. wolnych miejsc pracy. Pierwsza z tych liczb wzrasta, druga maleje. Na rynku pracy rozpoczął się ruch - ludzie szukają jej, a dotychczas było odwrotnie. W br. według szacunków Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej bezrobocie ma objąć 200-400 tys. Oceny ekspertów Banku Światowego są bardziej pesymistyczne - ok. miliona. Wielkość tej liczby zależy będzie z jednej strony od skali recesji gospodarczej, a z drugiej - od możliwości przeciwdziałania bezrobociu przez rząd. Tymczasem CUP prognozuje, że w lutym recesja może wynieść do 50%.

Realizacja przez rząd programu przeciwdziałania bezrobociu jest mocno spóźniona w stosunku do zachodzących błyskawicznie zmian ekonomicznych. Grupowe zwolnienia z pracy już się zaczęły, a infrastruktura osłony socjalnej jest w prozku. Terenowe biura pracy dopiero się tworzy. Fundusz Pracy, z którego mają być finansowane wszelkie przedsięwzięcia z zakresu ochrony pracy, pozostaje na papierze, bo nie uchwalono jeszcze budżetu.

Rząd przyjął koncepcję aktywnej walki z bezrobociem. Podstawowe działania to: tworzenie nowych miejsc pracy, organizacja szkoleń w celu przekwalifikowania, kredyty dla zwolnionych z pracy, którzy podejmą działalność na własny rachunek oraz w ograniczonym zakresie - roboty publiczne. Zasilki dla pozostających bez pracy są środkiem ostatecznym.

Skala tegorocznej recesji jest wielką niewiadomą, lecz jeśli przekroczy zakładany poziom (tj. 5%), program ministra Kuronia może okazać się nie tylko spóźniony, ale i niewystarczający. Oto katalog zasadniczych trudności, jakie napotka. Tworzenie nowych miejsc pracy jest zabiegiem bardzo kosztownym, choć niewątpliwie pożytecznym - przynieść może restrukturyzację zatrudnienia np. przez przemieszczenie siły roboczej z przemysłu do usług. Pracownicy, których zawody okażą się nieprzydatne mają się przekwalifikować, choć związane to będzie nierazko z pogorszeniem ich pozycji społecznej i ekonomicznej. Główną przeszkodą w dokonaniu tych zmian jest ograniczona ruchliwość społeczna wynikająca z braku mieszkań. Negatywne skutki bezrobocia będą szczególnie bolesne w małych miastach, gdzie cały przemysł, to jeden lub dwa zakłady. W "Życiu Warszawy" opisano przypadek Nowego Dworu Maz., gdzie nie ma w ogóle wolnych miejsc pracy. Z kolei zachęcanie pożyczkami do otwierania pry-

watnych interesów nie przyniesie pożądanych efektów, o ile nie rozluźni się choć trochę pętl podatkowej i stopy oprocentowania kredytów. Na razie sektor prywatny jest w defensywie. W woj. płockim np. od początku roku zlikwidowano 200 zakładów rzemieślniczych. Sektor prywatny nie wchłonie więc bezrobotnych. Do rolnictwa

wróci zapewne tylko część dotychczasowych chłopo-robotników. Jeśli pomysły na redukcję wykażą ograniczoną skuteczność, cały program sprowadzi się do wypłacania zasiłków, na co nie wystarczy środków - 360 mld. zł z Funduszu (dla porównania projekt budżetu URM opiewa na 300 mld. zł).

Bezrobocie to problem ekonomiczny i społeczny, ale także i polityczny, i to dużej wagi. Bowiem szczególnie ostro stawia dylemat, przed jakim staje NSZZ Solidarność. "S" jest związkiem zawodowym, które

go statutowym celem jest obrona interesów pracowniczych. Ale "S" jest również związkiem przarządowym, poparła program Balcerowicza, zaakceptowała styczniową podwyżkę cen. Od tego, jak zostanie rozstrzygnięty ten dylemat, zależy będzie znaczenie związku zawodowego, który jest silny swoją liczebnością. Podobnych problemów uniknie OPZZ, nie obciążony lojalnością wobec rządu.

Bezrobocie może stworzyć pole dla poważnego konfliktu między rządem, a Solidarnością. Zapowiedzią jest oświadczenie KKW domagające się wstrzymania zwolnień do czasu wdrożenia systemu osłony społecznej. Rząd staje więc przed próbą, która wykaże stopień jego elastyczności i przywiązania do doktryny ekonomicznej, którą wyznaje.

/"PWA", nr. 8, 23.II.1990/

ZARZĄD REGIONU "S" w Bydgoszczy, którym kieruje kontrolerski w oczach Lecha Wałęsy i KKW Jan Rulewski, 15 lutego podjął uchwałę domagającą się zadośćuczynienia dla ofiar represji systemu komunistycznego, w tym stanu wojennego. W tekście uchwały czytamy m.in.: "Z dużym niepokojem stwierdzamy, że do tworzących się nowych struktur usiłują dołączyć się osoby często skompromitowane i niewiarygodne... Zwracamy się do członków Związku o zgłaszanie przypadków nadgorliwych wykonawców gwałtów politycznych, społecznych, religijnych i związkowych. Nasza uchwała nie stanowi aktu rewantu, nie zmierza do obcej nam akcji polowań na czarownic, lecz ma zapobiec przenikaniu niepożądanych osób do odnowionych instytucji prawa."

W datowanym tego samego dnia oświadczeniu bydgoski ZR, zaniepokojony próbami powrotu partii do zakładów pracy, pisze: "Docierają do nas sygnały o próbach powrotu do zakładów i placówek oświatowych, pod różnymi szyldami, organizacji politycznych. Częstokroć mają one postać komitetów obywatelskich. Odnajdujemy w nich pewnych działaczy PZPR. Przeciwstawiamy się tego rodzaju próbom i zwracamy się do komisji zakładowych "S", by zapobiegały tego rodzaju inicjatywom..." (SIS)

SEWERYN JAWORSKI - powołał do życia Tymczasowy Zarząd Regionu Mazowsze "Solidarność '80". Na wiecu zorganizowanym 15 lutego przed bramą główną Zakładów Mechanicznych "Ursus" wystąpił z zarysem programu swojego związku. Warunkiem zachowania wierności ideałom Sierpnia jest oparcie się na zasadach solidaryzmu społecznego i wyrzeczenie się roli, w której związek jest identyfikowany z władzą; musi on być identyfikowany z ludźmi pracy. W sprawie wyborów do samorządu terytorialnego TZR uważa, iż ich struktura powinna być taka, aby w miastach były to wybory proporcjonalne, natomiast na wsi - większościowe. Tam bowiem ludzie dobrze się znają i powinni konkurować ze sobą poszczególne grupy i programy polityczne.

Na wiecu w Ursusie wystąpił też Henryk Tachasiuk, który powiedział m.in.: "Do niedawna byłem członkiem Komisji Fabrycznej "S". Niestety, w wyniku braku reprezentowania w tej komisji interesów ludzi zrzeszonych w tym Związku, postanowiłem z niego wystąpić". Tachasiuk powołał alternatywną strukturę związkową w "Ursusie" i zarejestrował się w TZR Jaworskiego.

GOSPODARCZY SPONTAN

Krzysztof HAGEMEJER

W ubiegłym roku dużym powodzeniem na światowym rynku czytelniczym cieszyła się książka peruwiańskiego ekonomisty i działacza gospodarczego de Soto "The Other Path" - analizująca funkcjonowanie tzw. gospodarki nieformalnej - działalności gospodarczej prowadzonej bez dopełnienia różnego rodzaju wymaganych przepisami formalności, a przede wszystkim poza systemem podatkowym. Z gospodarką nieformalną zetknąć się można chyba w każdym kraju świata, jednakże szczególnie jej rozkwit występuje na peryferiach kapitalizmu. W Peru gospodarka nieformalna stanowi 60% działalności gospodarczej w tym kraju, przy czym w takich dziedzinach jak transport czy handel udział ten jest jeszcze wyższy. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele. Należą do nich z pewnością - obok barier podatkowych - zbiurokraty-

zowane procedury formalizowania i legalizowania działalności gospodarczej. Wspomniana książka przedstawia przykłady takich legalnych procedur - wymagają one miesięcy, a niekiedy lat, a także dziesiątków lub nawet setek zaświadczeń i pieczętek z licznych instytucji.

Gospodarki realnego socjalizmu także stworzyły podatną glebę dla rozwoju gospodarki nieformalnej. Tępienie prywatnej inicjatywy, także poprzez system podatkowy i biurokratyczne procedury, a także powszechne niedobory i rozdzielnictwo sprawiały, że każda prywatna działalność gospodarcza musiała - w mniejszym czy większym stopniu - mieć charakter nie całkiem formalny i nie całkiem legalny. Klimat wokół sektora prywatnego nie dawał także poczucia stabilności, stąd na ogół krótki horyzont czasowy podejmowanych decyzji, nastawienie

na duże i szybkie zyski przy małym obrocie, zyski nie inwestowane lecz przejadane, a w najlepszym razie zasilające kapitał o wyraźnie spekulacyjnym charakterze. Wszystko to sprawiało, że - chociażby w Polsce, gdzie zakres sektora prywatnego zawsze był największy w ramach "obozu" - miał on wiele cech patologicznych, i niezależnie od wszelkich pozytywnych społecznych konsekwencji jego działalności, nie można go traktować jako tej zdrowej enklawy w chorej gospodarce, gdyż jest w znacznym stopniu produktem starego systemu. Istniejącym niejako wbrew temu systemowi, ale jednocześnie zerującym na nim.

Dlatego też także sektor prywatny musiał dotknąć przy przechodzeniu do nowego ładu gospodarczego bolesne przekształcenia. Wbrew pozorom nigdy nie działał on w prawdziwie konkurencyjnych warunkach rynkowych lecz wchodził na te rynki, na których niewydolna gospodarka państwowa nie zaspokajała popytu i gdzie istniejące niedobory pozwalały dyktować wysokie ceny i nie troszczyć się specjalnie o jakość. W ostatnich latach gros dochodów sektora prywatnego pochodziło ze sprzedaży towarów i usług nie konsumentom lecz przedsiębiorstwom państwowym, które nigdy nie odczuwały braku pieniędzy i gotowe były płacić każdą cenę. Konsekwencje obecnego programu stabilizacyjnego prowadzącego do gwałtownego zmniejszenia popytu dotknąć może przede wszystkim sektor prywatny, nie zaś wielki przemysł państwowy, któremu posiadane zasoby mogą pozwolić przetrwać trudny okres. Wielu drobnych prywatnych przedsiębiorców już zawiesza lub zamyka działalność, zarówno ze względu na trudności ze zbytem, jak i z uwagi na dramatyczny wzrost kosztów i obciążeń podatkowych.

Równie bolesne doświadczenia wiązać się będą z wprowadzeniem w przyszłości nowego systemu podatkowego, powszechnego opodatkowania wszystkich dochodów. Wszystko to będzie procesem długotrwałym, wymagającym nie tylko elastyczności w dostosowywaniu się do nowych warunków, ale także głębokich zmian w mentalności, postawach i zachowaniach prywatnych przedsiębiorców.

Jest jednak także inna droga przystosowania się do nowej rzeczywistości, łatwiejsza dla zainteresowanych a jednocześnie niebezpieczna z punktu widzenia przyszłości gospodarki. Ta droga to ucieczka w gospodarkę nieformalną.

I wiele wskazuje na to, że ten proces został zapoczątkowa-

ny. Wszystkich nas niezmiernie cieszy to, że przy niebywałej drożźnie pojawili się na ulicach miast tacy, co z większych lub mniejszych samochodów proponują ten sam co w sklepach towar, tylko że znacznie tańszy. Coraz więcej zakupów dokonujemy w ten sposób, bo dlaczego nie zapłacić taniej, jeśli można - zwłaszcza, że nasze realne dochody tak bardzo się skurczyły. I co więcej, ten obwoźny handel nie tylko oferuje nam wiele towarów taniej, ale jego istnienie wpływa także na poziom cen w bardziej sformalizowanych i oficjalnych punktach sprzedaży. Tam gdzie ten spontaniczny handel nie dociera, monopolisci używają nadal i w wielu małych miejscowościach lokalne Gminne Spółdzielnie żądają na przykład ponad trzech tysięcy za kosztę podłego masła.

W pewnych granicach te rozwijające się niekonwencjonalne formy handlu można traktować spokojnie. W wielu miastach Anglii, przynajmniej raz w tygodniu, organizowane są targowiska bardzo przypominające to, co dzieje się teraz na targowiskach polskich miast, gdzie także mięso sprzedawane jest z samochodów. Tam jednakże cała ta działalność ma na ogół legalne podstawy, jest w pewien sposób rejestrowana i - co najważniejsze - podlega opodatkowaniu.

Tymczasem u nas cała ta eksplozja przedsiębiorczości jaką obserwujemy od stycznia (jak i poprzednio już występujący masowy prywatny import), to działalność prawie całkowicie tkwiąca w gospodarce nieformalnej i nieopodatkowana. Jest ona tolerowana (choć podejmuje się próby jej ograniczania - zwłaszcza jeśli chodzi o żywność - ze względu na przepisy sanitarne) - bo oczywiście każda próba jej ograniczania napotyka na ostry społeczny sprzeciw. Jej tolerowanie przez władze można nawet traktować jako pewien substytut dotowania cen (bo przecież państwo ponosi koszty w postaci utraconych wpływów podatkowych). Jednakże tolerowanie tego stanu rzeczy będzie nas prowadzić coraz głębiej w gospodarkę nieformalną, w stronę peruwiańskiego modelu kapitalizmu - co chyba jest niezupełnie w zgodzie z celami programu rządowego.

Jakie jest wyjście? Jedyne rozsądne to szybkie i intensywne działania na rzecz rozwoju handlu sprawnego, taniego ale legalnego. To demonopolizacja dotychczasowych struktur handlowych, odbiurokratyzowanie procedur związanych z rejestrowaniem działalności handlowej i stworzenie dogodnych warunków i ułatwień dla tych, którzy chcą taką działalność prowadzić.

NA WYMIANĘ POGLĄDÓW NIE BYŁO CZASU

10 lutego III Walny Zjazd Delegatów NSZZ "S" Regionu Śląsko-Dąbrowskiego nie dokonał jeszcze wyboru władz Wyłoniono tylko kandydatów. 3 marca odbędzie się druga, wyborcza tura zjazdu. Celowo stworzono trzytygodniową przerwę dla umożliwienia kampanii wyborczej. Oto 8 kandydatów na przewodniczącego:

Alojzy Pietrzyk (dotychczasowy przewodniczący), Tadeusz Jedynek (dotychczas członek Komisji Rewizyjnej), Marian Krzaklewski, Janusz Paczocha, Ryszard Kuszlejo, Zbigniew Martynowicz, Henryk Piotrowski, Grzegorz Sławski.

Na długo przed zjazdem można było zaobserwować przedwyborczą rywalizację, ale w jednym przypadku walka ta przekroczyła dopuszczalne granice. Członek RKW Andrzej Andrzejczak (KPN) na miesiąc przed zjazdem sformułował zarzut przywłaszczenia 2 tys. dolarów przez przewodniczącego Regionu. Kserokopię pisma zawierającego informację o przejęciu tych pieniędzy przez A. Pietrzyka z jego podpisem i pieczęcią A. And-

rzejczak przekazał Komisji Rewizyjnej. Sprawa nabierała posmaku skandalu. Komisja badając finanse Związku, nie dopatrzyła się żadnych nieprawidłowości i wyłączyła przewodniczącego spod postawionego zarzutu. Mimo to poprzez Andrzejczaka sprawa trafiła na zjazd. Delegaci zaopatrzeni wcześniej w specjalne oskarżające ulotki podpisane przez Andrzejczaka, przeżyli wstrząs. Indagowany w tej sprawie potwierdził zarzut, lecz odmówił pokazania oryginału (a nie kserokopii) koronnego dokumentu. A. Pietrzyk złożył w tej sprawie dramatyczne oświadczenie - przysięgę, wyciągając rękę w kierunku krzyża wiszącego na ścianie za stołem prezydiálním. Oświadczył: nie mam nic wspólnego z tą sprawą. Komisja Rewizyjna ma 3 marca jeszcze raz złożyć odpowiednie wyjaśnienie. A. Pietrzyk natomiast 13 lutego wystąpił do sądu z pozwem o pomówienie. 28 lutego w Sądzie Rejonowym w Jastrzębiu odbędzie się pierwsza rozprawa.

Ten przykry incydent rzutował na głosowanie nad abstrakcją dla ustępującej RKW.

Ostatecznie jednak przeszło zwykłą większością głosów. Około połowy delegatów wstrzymało się od głosu. Zjazd przyjął dwie istotne uchwały dotyczące związku.

1. Siedzibą nowego zarządu Regionu będą ponownie Katowice. Od kilku miesięcy narastał konflikt wokół peryferyjnego Jastrzębia. Dla większości taka odległa lokalizacja związkowego centrum była udręką. Opozycję wobec Jastrzębia wzmocniła przewaga branży górniczej. Zdominowanie Regionu przez jedną grupę zawodową i terytorialną - to stan nierównowagi. Chyba na ten mankament zwrócić uwagę delegaci przy formułowaniu nowego zarządu?

2. Do 3 marca delegaci powinni uregulować zaległości w płaceniu składek. Jest to równoznaczne z przepustką na II turę Zjazdu. Nie dotyczy to małych instytucji wymagających dofinansowania.

Kilka liczb. Do "S" w Regionie afiliowało 1077 zakładów pracy. Jest to jedna trzecia stanu z roku 1981. W wyborach uczestniczyło ok. 500 zakładów

pracy. Wybrano 567 delegatów. Ogólna ilość członków Związku w Regionie: ok. 272 tys. Jest to jedna piąta stanu z roku 1981. Tylko 340 zakładów pracy odpowiada składki do Zarządu. Wśród delegatów dominują ludzie nowi. Nastąpiła naturalna, niemal całkowita wymiana kadry w procesie demokratycznych wyborów. Gdzieś po drodze zginęli z horyzontu ci mityczni "młodzi, gniewni" robotnicy, o których jeszcze niedawno było tak głośno. W roku 1980 "S" często określano jako rewolucję trzydziestolatków. Teraz przyszli starsi - średniacy. Młodzi jeżeli są, to w dużej mniejszości i w opozycji do "kombatantów". Chęć działać bardziej radykalnie. Na sali dominowała atmosfera rozliczeniowa, dużego braku zaufania do ludzi wybranych poprzednio. Zajmowano się drobiazgami i wyjaśnianiem oczywistości. Zbyt mało mówiono o aktualnych problemach "S" i jej zadaniach. 3 marca nie będzie raczej czasu na tak konieczną wymianę poglądów.

Jan A. Górny

Polemiki

WYSIADKA Z DEMOKRACJI ?

Po raz pierwszy pouczono mnie, że należy milczeć, nawet jak się nam coś nie podoba, w 1968 roku. Szczerze wówczas wierzyłem, że wolność i humanizm są właściwą treścią "socjalizmu". Po tej nauce wiarę się zachwiała, lecz jak całe moje "marcowe pokolenie", idąc za przykładem naszych "bohaterów", postanowiłem jednak starać się nie milczeć. Lecz w 1970 i 1971 roku pouczono mnie również surowo w sprawie zasad zabierania głosu. Następna lekcja przyszła na przełomie 1975 i 1976 roku. Kolekdzy z ZNP nazwali mnie "rozrabiaką"

(termin popularny za Gierka), gdy domagałem się, aby Związek Zawodowy podjął akcję przeciwko wyrzuceniu z Uniwersytetu naszych kolegów za podpisanie listów protestujących przeciwko zmianom w konstytucji. (Sam nie zdążyłem tego listu podpisać; za prywatny list protestacyjny do władz wówczas nie wyrzucali.) Kilka miesięcy potem była następna lekcja milczenia. Tym razem jednak moi koledzy i przyjaciele przystąpili do działania i powstał KOR, a potem NOWA, by można było wreszcie mówić to, co się myśli. Niestety, często

i tak mówiło się półgębkiem, chociaż zamykali na krótko. Gdy przyszedł rok 1980 i 1981 poczułem, jak trudno mi jest jednak mówić c a ł k i e m o t w a r c i e i jakim przełomem było podjęcie decyzji, by już tak czynić zawsze. Na zajęciach uni-

wersyteckich po raz pierwszy miałem wrażenie, że mówię do końca to, co myślę. Lecz i wówczas Jan Józef Lipski dowodził, że trzeba jednak jakąś cenzurę "solidarnościową" wprowadzić.

Potem zamknięto nam wszystkim gębę, ale nie do końca. W najgorszych latach osiemdziesiątych udało mi się już nigdy nie powrócić do tego "mówienia półgębkiem" i "mówienia aluzjami", jak to praktykowano przed Sierpniem 1980 roku. Zawsze byłem bardziej ichorliwy, niestety, niż na przykład Adam Michnik i inni faceci, lecz starałem się nie milczeć, kiedy sądziłem, że trzeba mówić.

Kiedy teraz "nasi" stanęli u steru państwa i - jak mi się zdawało - weszliśmy w fazę decydującą dla przebudowy społecznej, która była istotnym dążeniem całego mojego życia i środowiska, z jakim najbardziej się identyfikowałem, pomyślałem sobie, że nareszcie można będzie mówić szczerze, co się myśli; że po raz pierwszy wypowiedź - zwłaszcza krytyczna - nie będzie traktowana jako znamię wrogości, którą trzeba ukarać. Tymczasem kolega J. Jankowiak, pracujący w "Gazecie Wyborczej", która uchodzi za symbol wolności i demokracji - pouczył mnie surowo, korzystając z wypróbowanych wzorów, że "milczenie jest złotem". Najwyższa bowiem pora, aby zasłużyć w walce o demokrację mogli ją wreszcie "odgórnie" wprowadzić.

Nie chcę mówić o tym, co było treścią tekstu, który zaatakowany został przez Jankowskiego w 4 (223) numerze PWA z 26 stycznia br. U jego krytyka nie zna-

lazłem rzeczowych argumentów, które byłyby polemiką z tym, co mnie niepokoi w dotychczasowym działaniu niedawnej opozycji.

Być może, moje poglądy są głupie, zarzuty stawiane rządowi infantylne, a w ogóle wykazując całkowity brak zrozumienia sytuacji. Jednakże uprzejmie proszę, aby pozwolono mi wyrazić moje zdanie i raczej starano się z góry nie zakładać, że mam jakieś ukryte i oczywiście karygodne intencje.

Otóż, naprawdę, nie chodzi mi o nic innego, jak tylko o to, co wprost napisałem. Nie chcę zastąpienia rządu Mazowieckiego jakimś innym, "bardziej naszym" rządem. Nie chcę również sam znaleźć się w tym nowym rządzie. Martwię się tylko z każdym dniem bardziej, bo wydawało mi się, że walczyłem wraz z obecnymi "rządowcami" o to, aby zbudować państwo wolności i szacunku do człowieka, którego pierwszą i fundamentalną zasadą jest prawo do wypowiedziania swoich myśli i do uczestnictwa w debacie nad wspólnym losem; prawo współdecydowania o życiu państwa i społeczeństwa, które przysługuje k a a z e d e m u obywatelowi, w tym również głupszemu i takiemu, który się nie podoba większości (bo Zydek, albo pedał, albo Ukrainiec jakiś...). Rozumiem, że polityka stwarza sytuację dramatyczną raczej, niż liryczną i często wymaga paradoksalnego nawet złamania pewnych zasad, aby zasady podstawowe - właśnie utrwalić. Ale jeżeli mówi mi się, że dyskusja nad reformą, którą jest również radykalna jak ta, którą zafundowali Polsce niegdyś komuniści, jest nikomu niepotrzebna, i uważa się, że zwykli ludzie nie powinni się wtrącać do "takich spraw", to jest to już naruszenie zasad podstawowych.

Czyżybysmy już wysiadali z tramwaju demokracja, kolego Jankowiak?

Ireneusz Krzemieński

KŁOPOTY Z TOLERANCJĄ

Grzegorz DOKTÓR

W ciągu ostatnich kilkunastu lat panorama życia religijnego w Polsce wzbogaciła się o nowe ruchy religijne, często wywodzące się z egzotycznych dotąd dla nas tradycji hinduizmu czy buddyzmu. Liczba ich wyznawców i sympatyków nie przekracza kilkunastu tysięcy osób. Jednak

nawet tak niewielkie ilościowo zjawisko budzi wiele niepokoju wśród hierarchii i duchowieństwa Kościoła katolickiego.

Okres, w którym Rzeczpospolita była najbardziej wiclonarodowościowym krajem Europy spoczywa już dawno w mrokach niepamięci. Świeższej daty są za to wspomnienia, gdy religia inna niż katolicka była na ogół religią najeźdźcy i jego krajowych sprzymierzeńców. Zaś najświeższej - gdy atak na katolicyzm był jednocześnie atakiem wymierzonym w demokrację i tożsamość narodową. W sytuacji "obłączonej twierdzy" hasło "Polak - katolik" znajdowało szeroki społeczny oddźwięk.

Pojawienie się nowych ruchów religijnych ożywia raczej te ostatnie wspomnienia. Jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy pierwsze orientalne ruchy religijne w Polsce dopiero raczkowały, w czasopiśmie katolickich takich jak "Znak" materiały na temat orientalnej duchowości pojawiały się dość często, to obecnie nie ma ich prawie w ogóle. Czasami jedynie pisze się o nowych ruchach religijnych jako o zjawisku socjologicznym, na dodatek dość kontrowersyjnym, często opatrując je etykietką "ucieczki" podobnej alkoholizmowi czy narkomanii, wrogim prawdziwej duchowości.

Znajduje to także swój wyraz w wypowiedziach przedstawicieli hierarchii kościelnej. Prymas Józef Glemp w swojej homilii z okazji święta Matki Boskiej Częstochowskiej w roku 1985 stwierdził, że przeciwko "uduchowieniu człowieka pojawiły się ruchy, które zwłaszcza w ubiegłym stuleciu podjęły i nadal podejmują ostrą walkę z religią i z wiarą. Stawiają sobie za cel właśnie wyzwolenie człowieka od Boga i wiary. Tylko człowiek - twierdzą - ogolony z Boga i z wyobrażeń religijnych staje się prawdziwym człowiekiem, tworzy zasady własnego postępowania indywidualnego i społecznego. Pozostają wprawdzie w człowieku odruchy religijne ale te lat-

wo zaspokoić religijnością bez Boga, tworząc system kultu i obrzędów świeckich lub narodowych. Wszystkie te ruchy ogólnie można nazwać ateistycznymi. Różnice między nimi polegają na sposobie, w jakim pragną człowieka odwieść od Boga. Sposoby te to zniechęcanie do wiary, ukazywanie innych możliwości zaspokajania potrzeb religijnych, otaczanie

wiernych atmosferą drwiny, utrudnianie praktyk lub wręcz ich zakaz, przynajmniej dla pewnych grup ludzi. Sposoby te mogą polecać medytację zapożyczoną z wiczeń Dalekiego Wschodu, indyferentyzm, synkretyzm, materializm praktyczny, ideał narodowego socjalizmu, permisywizm itp.

W podobnym duchu utrzymana jest wypowiedź Jana Pawła II do młodzieży na Westerplatte w roku 1987, który przestrzega "by nie ulec pokusie rezygnacji, obojętności, wątpliwości czy wewnętrznej jak się to mówi emigracji, pokusie wielorakiej ucieczki od świata, od społeczeństwa, od życia, także w znaczeniu dosłownym - opuszczenia ojczyzny; pokusie beznadziejności, która prowadzi do samozniszczenia osobowości własnej, własnego społeczeństwa poprzez alkoholizm, narkomanie, nadużycia seksualne, szukanie doznań, wyżywianie się w sektach czy innych związkach, które są tak obce kulturze, tradycji i duchowi naszego Narodu".

Nowe ruchy religijne jawią się w tych wypowiedziach w nie najlepszym świetle: jako jedna z form walki z wiarą i patologiczna forma ucieczki od rzeczywistości. Są to jednak tylko dość ogólne wzmiarki. Więcej konkretnych odnajdziemy w raporcie, jaki na podstawie badań nad "sektami", "nowymi ruchami religijnymi" i "kultami" przedstawił Watykański Sekretariat Jedności Chrześcijań, Sekretariat dla Niechrześcijan, Sekretariat dla Niewierzących i Papieska Rada do Spraw Kultury. Raport ten nie odnosi się jedynie do sytuacji w Polsce, lecz został po polsku dwukrotnie opublikowany w całości, raz w polskim wydaniu "L'Osservatore Romano" w roku 1986, oraz jako przedmowa do książki "Nie wszyscy są jednego Ducha" w roku 1988, nie licząc przedruków fragmentów w czasopiśmie katolickich. Raport też nie jest zbyt konkretny, bo nie wymienia z nazwy ani jednego kultu spośród tych, które były przedmiotem analizy. Możemy się za to z niego dowiedzieć, w jaki sposób zapewnijają sobie owe ruchy dopływ nowych członków.

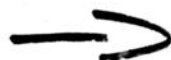
"Niektóre spośród używanych przez wiele sekt i kultów technik werbowania, szkolenia i indoktrynacji, nieraz bardzo wyrafinowane, częściowo wyjaśniają ich sukcesy. Ludzie najbardziej im ulegający to osoby, które, po pierwsze, nieświadome są tego, że kontakt został zainicjowany, po drugie zaś nie orientują się w charakterze obmyślonej dla nich metody nawracania i szkolenia (manipulacja społeczna i psychologiczna), jakiej są przedmiotem. Sekty narzucają często własne normy myślenia, odczuwania i zachowania. Konstruuje to z podejściem Kościoła, zakładającym pełną informację, świadomość i przyzwolenie danej osoby".

Ta wizja uczestnika nowych ruchów religijnych jako ofiary manipulacji i "prania mózgu" często pojawia się na łamach tzw. literatury antykulturowej lecz nie znajduje żadnego oparcia w poważnej literaturze przedmiotu. Nie występują też podobne praktyki w żadnym ze znanych mi ruchów kulturowych w Polsce.

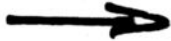
W zakończeniu autorzy raportu stwierdzają: "Dostatecznie wszechstronnie przeanalizowaliśmy działalność sekt, aby dać sobie sprawę z tego, że zachowania i metody niektórych z nich mogą wywierać destrukcyjny wpływ na osobowości, przyczyniać się do dezintegracji rodzin i społeczności, zaś ich doktryny często bywają bardzo odległe od nauczania Chrystusa i Kościoła. Podejrzewamy, że w wielu krajach (w niektórych przypadkach wiemy to na pewno) potężne siły ideologiczne, a także interesy polityczne i ekonomiczne posługują się, jako swym narzędziem, sektami, którym wszelka troska o sprawę człowieka jest zupełnie obca i które tego, co "ludzkie", używają do nieludzkich celów."

Przytoczone tu obszernie cytaty mówią właściwie same za siebie. Stosunek Kościoła do nowych ruchów religijnych wydaje się być negatywny, by nie powiedzieć wrogi. Nic w tym ostatecznie dziwnego - jest to przecież swoista konkurencja,

choć na niewielką przecież skalę. Niewiele tu zmieniają sporadyczne próby nawiązywania dialogu w duchu poszanowania i tolerancji jak "Droga Świątel" zorganizowana w kościele przy ulicy Żytniej w Warszawie w roku 1987, gdzie o zorganizowanie kaplic modlitewnych poproszono wyznawców wielkich religii świata, a wśród nich polskich buddystów i hinduistów. W innym bowiem warszawskim kościele, przy ulicy Zagórnej, rozprawdzano



/"PWA", nr. 8, 23.II.1990/



w tym samym czasie tendencyjne broszurki o buddyzmie i hinduizmie, dodajmy, obok "Protokołów Mędrców Syjonu". Jest to jakby symbol dwóch orientacji w polskim Kościele, z tym, że ta druga, niestety, przeważa.

Nie jest to strategia właściwa na dłuższą metę. Trudno sobie bowiem wyobrazić współczesne społeczeństwo jako monolityczne światopoglądowo. W sytuacji polskiej jest to jeszcze trudniejsze, bo musimy się

dopiero uczyć pluralizmu we wszystkich sferach życia społecznego, w którym znalazłyby swoje miejsce różne poglądy i style życia, a w tym i te również dotyczące sfery religii.

Sytuacja pluralizmu religijnego niekoniecznie rodzić musi poczucie zagrożenia. Jest także szansą wzajemnego wzbogacania się poprzez dialog, którego potrzeba jest przez Kościół dostarczana i doceniana, na ogół jednak przy innych okazjach. ■

Moje prawo

PRIMUM NON NOCERE

Lech FALANDYSZ

Chciałem, aby moja rubryczka w PWA była "kącikiem pożegnań" z tym co stare i skompromitowane, ale okazuje się, że nowe problemy już ustawiają się w kolejce, by je witać. Są wśród nich także i takie, które mają bogatą historię i próbują dzisiaj skorzystać z kolejnej szansy. Jednym z nich jest kwestia ustawy o ochronie zdrowia psychicznego (zwanej także w skrócie ustawą psychiatryczną), która powróciła znowu na forum publiczne. Dyskusja nad ustawą zaczęła się bodajże jeszcze przed wojną (prof. Stanisław Dąbrowski twierdzi, że prace nad ustawą trwały już ponad 60 lat!), toczyła się przez całą historię PRL, a najnowszy projekt pochodzi z maja 1988 roku.

Przypomnijmy w skrócie ten powracający problem i niektóre wątki dyskusji.

Zacząć trzeba od tego, że psychiatria budzi społeczne emocje i obawy jak żadna z nauk medycznych. Po części dlatego, że jest jeszcze w znacznym stopniu uważana za "wiedzę tajemną", ale głównie jednak chyba z tej przyczyny, iż nadużywano jej jako środka kontroli społecznej, posuwając się nawet - w skrajnych przypadkach - do wykorzystywania jej w celach politycznych. Obsesja psychiatrii jako narzędzia przemocy dotarła do nas nie tylko ze Wschodu, lecz i z Zachodu, wraz z głównymi koncepcjami nurtu "antypsychiatrycznego", demaskującego psychiatrię jako instrument szkodliwego, społecznego naznaczenia.

Kto oglądał sugestywny "Lot nad kukulczym gniazdem", a później czytał wspomnienia Bukowskiego, z pewnością nabrał rezerwy wobec psychiatrii i psychiatrów. Jednakże po raz nie wiem już który okazuje się, że Polska może nie być ani Wschodem, ani Zachodem. Otóż poza nielicznymi, szerzej nawet nie znanymi wyjątkami, polscy psychiatrzy - jako grupa zawodowa - nigdy w całej historii PRL nie dali się użyć dla celów represji politycznych i pozostali prawdziwymi lekarzami, do których nikt także nie próbował przyznawać "zachodniej" etykiety podejrzanych

znachorów i "agentów opresyjnej kontroli społecznej". Prowadzi to do wniosku, że polska dyskusja o psychiatrii powinna być wolna od emocji i uprzedzeń. "No dobrze" - powiecie Państwo uspokojeni - "ale skoro dotychczas było w miarę dobrze to po co w takim razie ustawa? Czy wiadomo na pewno, że przyniesie ona korzyści? I czy jest pewność, że nie zaszkodzi?".

I tu - muszę przyznać - jestem bezradny, bo nie wiem. Nie wiem, czy powody, dla których forsuje się ustawę psychiatryczną są dostatecznie ważne i czy twórcy ustawy wiedzą dokładnie, jakie będą jej skutki. Zadzroszczę prawnikom, zaangażowanym w prace nad projektem ustawy, pewnością siebie. Twierdzą oni bez cienia wątpliwości, że projekt jest dobry i potrzebny. A ponieważ sam trochę znam prawo i prawników, wiem że - niestety - na ich opiniach nie zawsze można polegać. Bardziej już przemawia do mnie zaangażowanie w ustawę znakomitego psychiatry prof. Dąbrowskiego, który przecież zna przysięgę Hipokratesa i maksymę: primum non nocere.

Ostatnio, podczas obrad Senackiej Komisji Praw Człowieka i Praworządności socjolog Jerzy Kwaśniewski wypowiedział się stanowczo przeciwko ustawie psychiatrycznej, przedstawiając cały szereg uzasadnionych wątpliwości. Stanowisko to podzielała w mniejszym lub większym stopniu część uczestników dyskusji, a Komisja postanowiła wrócić do sprawy na następnym posiedzeniu 14 marca, aby sformułować ostateczną opinię. Problem jest naprawdę trudny i dyskusja nad nim może się przeciągnąć. Osobiście nie widzę w tym nic złego i uważam, że nie musimy się nadmiernie śpieszyć z jej zakończeniem. Tym bardziej, że projekt obecny jest trochę dziwny i składa się jakby z dwóch, niesymetrycznych części. Można go podzielić na rozdział I, dotyczący "celów i organizacji ochrony zdrowia psychicznego" oraz całą resztę, obejmującą wszystkie najważniejsze problemy leczenia psychiatrycznego, ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień dotyczących przymusu leczenia.

Otóż cały ten rozdział pierwszy jest typową prawniczą fikcją z dawnych lat, polegającą na tym, że w ustawie przewiduje się różne obowiązki dla różnych organów państwa bez żadnych mechanizmów, pozwalających komukolwiek na ich egzekwowanie. Są tu precyzyjne definicje, piękne deklaracje

je i cały misterny model centralnego sterowania zdrowiem psychicznym społeczeństwa oczywiście z powołaniem kolejnej rady - tym razem Ochrony Zdrowia Psychicznego. Ta sama technika była już stosowana w ustawach dotyczących alkoholizmu i narkomanii, a ma ona na celu - jak się wydaje - "złatwienie" problemu za pomocą kilku gładkich i nie w praktyce nie znaczących formuł. W przyszłej ustawie - jeżeli oczywiście przeważą poglądy, że jest ona konieczna - cały ten rozdział powinien być pominięty, być może poza dwoma przepisami, które robią wrażenie sensownych. Ciąkawą przy tym, że prawie połowa uzasadnienia obecnego projektu dotyczy właśnie rozdziału I, a cała reszta potraktowana jest sumarycznie i zdawkowo, jak coś zupełnie oczywistego, nie wymagającego szerszych objaśnień.

Sądzę, że usunięcie z projektu zbędnego "listu intencyjnego" zawartego w rozdziale I jest koniecznym warunkiem sensownej dyskusji nad ustawą. Bo w dalszych częściach robi ona wrażenie generalnie dobrej, co wcale jeszcze nie przesądza kwestii czy potrzebnej. Na zakończenie charakterystyczna migawka z dyskusji w senackiej Komisji. Wiceminister sprawiedliwości prof. Adam Strzembosz w dość ostrym "ministerialnym" tonie zgromił przeciwników ustawy, w tym najbardziej Jerzego Kwaśniewskiego, człowieka spokojnego i mądrego. Adam Strzembosz, profesor prawa karnego i kryminolog, były wieloletni sędzia dla nieletnich opowiedział się stanowczo za ustawą, akcentując sądową kontrolę leczenia psychiatrycznego jako główną zaletę projektu. Jest on pewien, że nadzór sądu pomoże psychiatrom w ich pracy. Z kolei prof. Stanisław Dąbrowski, licząc na poprawę ogólnych, trudnych warunków, w których funkcjonuje leczenie psychiatryczne, wierzy, że uda się zrealizować pobożne życzenia z pierwszego rozdziału ustawy.

Myślę, że obydwaj Panowie Profesorowie liczą na coś, czego ustawa wcale przynieść nie musi. Nie ma bowiem pewności, że system kontroli poprawi obecną praktykę polskich psychiatrów, a wiadomo na pewno, że ustawowe ogólniki z rozdziału I projektu nie poprawią warunków pracy lekarzy ani losu pacjentów.

Czeka nas więc chyba jeszcze gorąca dyskusja i mam nadzieję, że będzie jej patronowało lekarskie przykazanie: przede wszystkim - nie szkodzić! ■

TOPORNE "PORNO"

Marek Koterski jest twórcą wyrafinowanym. Dał się poznać kilka lat temu filmem psychologicznym "Życie wewnętrzne". Z ciekawością oczekiwałem na jego kolejne dzieło.

I oto wszedł na ekrany, anonsonowany jako "komedia erotyczna", noszący ascetyczny w swej prostocie tytuł: "Porno", film, który stał się miał dla reżysera i autora scenariusza jednocześnie, poważną dysputą o życiu i kondycji młodego współczesnego Polaka, który marzy o czulej i dozgonnej miłości.

Od lat nie widziałem tak złego filmu. Jego bohater, Michał, jest zwyczajnym samcem, który pragnie poznać i doznać jak najwięcej panienek i pań. Wspominając z perspektywy lat swoje z nimi przeżycia skupia się jedynie na problemie - ile rą?

i jak. Poza tym nic go nie interesuje, kompletnie o nic innego mu nie chodzi. Napędzany samczym instynktem agresywnego zdobywcy, egzystencjalne frustracje topi w piwie.

Zawartość myślowa scenariusza jest żałostna, "komizm" ordynarny. Film jest zlepkiem nieudolnych, sprośnych skeczów, opakowanych w beznadziejnie zgrane pomysły i chwytły, z idiotycznymi dialogami. Gra aktorów przypomina wygłupy z durnej prywatki.

Możliwe, że ktoś tego filmu będzie chciał bronić, zechce spod obrazu gołych panienek i przeróżnych scen kopulacji odsłonić jego "prawdziwe" przesłanie. Ja ten film chcę jak najszybciej zapomnieć.

Władysław ORDEGA

"Porno", scen. i reż. Marek Koterski, wyst. Zbigniew Rola, Agnieszka Wójcik, Anna Gronostaj, Z.P. "Zebra", 1989.

ŚLISKA SPRAWA

Janusz JANKOWIAK

Fakt stacjonowania wojsk amerykańskich w Europie i wojsk radzieckich w krajach byłego obozu ma dzisiaj wymiar polityczny, a nie militarny. Czy właściwie powinien mieć ten wymiar. Tymczasem emocje górują wciąż nad polityczną refleksją, albo - dla odmiany - czysta myśl polityczna usiłuje wypierać z rozważań i inne poza emocjami okoliczności.

Do niedawna problem istniał, przede wszystkim, w postaci postulatów wycofania wojsk radzieckich z terytoriów zależnych. Dzisiaj, w trakcie procesu jednoczenia Niemiec i w przeddzień konferencji "sześciu" na ten temat, kwestia znacznie się skomplikowała. Rozpoczęła się gra. Stawką jest nie tylko przyszły status Niemiec. Może nią być i przyszłość Europy.

Za przykład klinicznie czystej refleksji politycznej na te właśnie tematy posłużyć może jedyny - jak dotąd - szeroko rozpowszechniony w Polsce tekst - Janusza Reitera "Po co te wojska" w Gazecie Wyborczej (nr 205).

Na wstępie, żeby uniknąć niejasności: uważam ten artykuł za świetny. Podjęcie tematu - śliskiego i niewdzięcznego - w ten właśnie sposób jest dowodem odwagi zarówno autora, jak i redakcji. Ale są i pewne "ale". Zanim jednak o nich - kilka wyciągów z laboratorium myśli politycznej.

Co widać z laboratorium?

Ze:

1 - domaganie się dzisiaj natychmiastowego wycofania

wojsk sowieckich byłoby przedwczesnym wyzyciem się za bezcen jedyne go atutu, jakim może jeszcze dysponować nasz kraj w toczącej się debacie na temat przyszłości Niemiec i Europy;

2 - naciski na Rosjan, aby natychmiast zabierali się z Polski mogą doprowadzić - teoretycznie - do dwóch ewentualności: wycofania wojsk z NRD, co oznacza przesunięcie granic paktyw na Odrę, bądź status neutralny dla Niemiec; albo - pozostawienia, mimo wszystko, wojsk w NRD, co oznaczałoby poważne konflikty w samych Niemczech i uszytywienie stanowiska ZSRR;

3 - żadne z tych rozwiązań nie może być zaakceptowane bez zastrzeżeń z punktu widzenia naszych interesów.

W przypadku pierwszym - nie powinniśmy być zainteresowani przesunięciem linii dzielącej Wschód od Zachodu na naszą granicę. ZSRR nie akceptowałby, jeszcze nie teraz, wchłonięcia NRD w struktury NATO bez odpowiedniej rekompensaty. Jakiej? Tego nie wiemy. Ale czy komuś potrzebne jest wskrzeszenie widma strefy wpływów?

W przypadku drugim - status Niemiec neutralnych, lawirujących między istniejącymi nadal blokami wojskowymi, burzy w mgnieniu oka istniejącą równowagę sił. Ta równowaga jest oparta na parszywych fundamentach, ale próba oparcia jej wyłącznie na kryteriach moralnych byłaby idiotyzmem. Obecność wojsk na terytoriach

obcych państw przestała być od dość dawna jedynym wyznacznikiem suwerenności.

W przypadku trzecim - domaganie się równocześnie wycofania wojsk radzieckich z Polski i pozostawienia ich w NRD, byłoby czymś więcej niż głupotą. Czy chodzi nam o to, żeby popsuć sobie jednocześnie stosunki z Moskwą, Berlinem i Bonn? Czy tak rozumieć mamy nasz wkład w budowanie wspólnej Europy?

4 - co nam pozostaje? Grać. Po prostu grać. Podjąć, oczywiście, pertraktacje zaproponowane przez Rosjan. Rozmawiać z Modrowem (póki jeszcze jest) i Kohlem. Nie wychodzić już jutro na ulicę z transparentami: Soviets go home. Pomyśleć i porachować.

Co nie zostało dopowiedziane do końca w tekście Reitera, to "wariant optymalny" - pozostawienie wojsk (odpowiednio zredukowanych) amerykańskich w b. RFN i radzieckich w b. NRD, co oznacza jednak konieczność stacjonowania jakichś oddziałów radzieckich i w Polsce.

Czego nie widać z laboratorium?

Są dwa rodzaje powodów, dla których czysta i całkowicie poprawna myśl polityczna nie wystarcza, jeśli pełnić ma funkcję jedynego kryterium oceny przydatności wojsk radzieckich w Polsce. Przy czym, dla jasności, nie idzie tu bynajmniej o argumenty emocjonalne, zaczerpnięte ze sfery odczuć społecznych. Nikt po prostu nie lubi, by obca armia stacjonowała na terytorium jego kraju.

Chodzi o coś innego.

Namawiając rodaków do poważnej refleksji politycznej nie wolno popełnić takiego błędu, jakim jest pominięcie milczeniem dotychczasowych zasad obecności wojsk radzieckich

/ "PWA", nr. 8, 23.II.1990/

w Polsce. 40-50 tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej rozlokowane aż w 17 województwach, 60 tysięcy hektarów terenów rolnych i lasów użytkowanych bezpłatnie, dziesięć tysięcy bezpłatnych mieszkań, tysiące darmowych budynków, całe miasteczka z własną infrastrukturą, buta, arogancja, bezkarność wobec ludności i władz lokalnych...

Realista wie, że same zasady nie są możliwe do utrzymania. Ale nie mówi o tym. Bo zajmuje go wyłącznie makropolityka. A przecież w ostatecznym rachunku znacznie słabsza jest siła przebiecia argumentów geopolitycznych - większa właśnie tych pragmatycznych. Jest to błąd taktyczny wobec własnego społeczeństwa.

Za to okoliczność druga,

na którą warto zwrócić uwagę: mosi już wszelkie znamiona kosztownego błędu strategicznego.

Propozycja negocjowania wyszła od strony radzieckiej. Nie od naszej. Dlaczego? Bez wątplenia ważne pytanie, ale pominiemy je mimo wszystko, ponieważ przy odpowiedzi można co najwyżej spekulować. Nie da się natomiast nie zauważyć, że oferta nadeszła bezpośrednio po wizycie w Moskwie kanclerza RFN i amerykańskiego sekretarza stanu.

Jeśli przywódcy ZSRR i Niemiec zdecydowali już o obecności (czy nieobecności) wojsk radzieckich w zjednoczonych Niemczech, to nasze pole manewru uległoby znacznemu ograniczeniu. Inaczej wygląda ono wówczas z polskiego laboratorium myśli politycznej

- inaczej z perspektywy supermocarstw. W pierwszym przypadku wykrywano by teorię, w drugim praktykę polityczną.

Poprawniej byłoby więc rozprawić nie o "atucie", pozostającym w naszych rękach, a po prostu o politycznej konieczności wpasowania się w ogólnoeuropejski proces, toczący się bez naszego udziału. Nie wolno bowiem - podejmując jakby naumyślnie niektóre wątki podsunęte przez radzieckie "zaproszenie do negocjacji" - sprawiać wrażenia, że w naszym interesie leżałoby zatrzymanie na siłę wojsk sowieckich w Polsce.

W naszym interesie leży natomiast przedyskutowanie warunków i kosztów (politycznych i ekonomicznych), jakimi obciążałoby Europę poszukiwanie nowej równowagi sił. I niechaj te koszty każdy płaci za siebie.

PIĄTE MOCARSTWO ?

Eligiusz LASOTA

Czyżby Polska zaczęła nagle pretendować do roli piątego mocarstwa? Takie pytanie może się pojawić po wysunięciu przez premiera Mazowieckiego postulatu naszego udziału w konferencji "cztery plus dwa". Ale takie pytanie byłoby po prostu źle postawione. Propozycja jest bowiem tylko logiczną konsekwencją rozwoju wydarzeń związanych ze zjednoczeniem Niemiec.

Kohl po rozmowach na Kremlu powiedział, że to "najszczęśliwszy dzień w jego życiu". I, przelatując nad Polską, radzieckim szampanem pił za usunięcie najważniejszej przeszkody w zjednoczeniu jaką mógł być - w takiej czy innej formie - sowiecki sprzeciw.

Świat zaś patrzył zaniepokojony w stronę Kremla i pytał: Za co, za ile Rosjanie sprzedali NRD, swoje interesy w Europie, a może i interesy Polski?

Szybko jednak wyjaśniło się, że Rosjanie niczego nie sprzedali. Zrezygnowali ze sprzeciwu, ale nie byli na tyle naiwni by pozbawić się wpływu na rozwój wydarzeń.

Kohl jedynie chciał wywrzeć wrażenie, że wszystkie atuty ma już w kieszeni. Oczywiście dla polityka wiara w sukces i przekonanie o tym innych może być niemalym atutem. Ale branie życzeń za rzeczywistość, to już błąd.

W rzeczywistości zaś zarówno w Moskwie jak i w Waszyngtonie powiedziano: zgoda na pryncypia, ale o szczegółach i drodze do celu trzeba jeszcze podyskutować. Niemcy, nawet zjednoczone, mają przecież sąsiadów, ci sąsiedzi zaś mają swoje narodowe interesy. Własne interesy w Europie, mając coraz bardziej być wspólnotą. Wspólnota zaś powstaje między innymi po to, by więksi zbytnio się w niej nie rozpychali.

Kohl w sprawie dróg do zjednoczenia nie może przecież jeszcze dojść do porozumienia nawet z własnymi koalicyjnymi i pozakoalicyjnymi partnerami. Działa zaś tak, jakby sam wierzył, że tylko on i jego partia będą określać przyszłość Niemiec i ich rolę w Europie. Zbiera więc krytykę ze wszystkich stron. Za kluczenie w sprawie granic, za forsowanie przyspieszenia, za stwarzanie wrażenia Anschlusu zamiast zjednoczenia.

W takiej to właśnie sytuacji premier Mazowiecki upominał się o naszą rolę w ustalaniu scenariuszy. Był to strzał w dziesiątkę. Niemcy mają dwu dużych sąsiadów: Francję i Polskę. Z Francją ułożyły sobie przyjazne stosunki na trwałych podstawach. Z Polską zaś - jak dotąd - jeszcze nie. Chcemy być więc tam, gdzie się będzie mówiło o kształcie zjednoczonych Niemiec i kształcie przyszłej

Europy. I to nie tylko dlatego, że Kohl kręci z postawieniem kropki nad i w sprawie granic.

O nasze granice powinniśmy być raczej spokojni. Jednakże kiedy zachodnioniemiecki kanclerz z niedomówień czyni politykę, musi to wzbudzać nieufność co do intencji. I chyba nie tylko naszą nieufność.

To jest właśnie jeden - choć wcale nie podstawowy - argument na rzecz naszego uczestniczenia w rozmowach o zjednoczeniu. Podstawowym zaś argumentem jest, że Polska winna być obecna tam, gdzie mówić się będzie o bezpieczeństwie wszystkich sąsiadów Niemiec i kształtowaniu przyszłych europejskich stosunków.

W polityce niemieckiej przez dziesięciolecia brakowało nam pewności siebie. Ci, którzy przez ponad czterdziestolecie sprawowali władzę, albo rzeczywiście bali się Niemców, albo instrumentalnie straszili nimi społeczeństwo. To ostatnie w dużym stopniu im się udawało i do dziś pokutuje. Teraz jednak pozbyliśmy się strachu - co więcej, mamy własne koncepcje. Chcemy je wyłożyć na stole, przy którym rzeczywiście o czymś się decyduje. ■

/"PWA", nr. 8, 23.II.1990/

HISTORIA JEDNEGO SUKCESU

Jasne jest, że po dojściu do władzy Gorbaczow gwałtownie potrzebował spektakularnych sukcesów, które umocniłyby jego pozycję w społeczeństwie i aparacie, a także uwiarygodniły program zmian. Dziwi jedynie, że szukał ich w dziedzinie, w której powinna się noga wszystkim jego poprzednikom.

Przechwytnąjąc władzę, bolszewicy przejęli w spadku prohibicję, wprowadzoną jeszcze przez rząd carski w 1914 roku. Ustawa ta miała zmobilizować obywateli do zwiększonego wysiłku wojennego. Po wojnie pędzenie samogonu stało się tak nagminne, że w 1922 r. Lenin proklamował pierwszą komunistyczną krucjatę antyalkoholową. Za pijaków wzięto się z rewolucyjną energią, tak iż w 1923 roku producenci i konsumenci samogonu stanowili np. w okręgu moskiewskim ponad 40% wszystkich więźniów.

Kampanię przerwało dopiero wprowadzenie Nowej Ekonomicznej Polityki, opartej na wolnym rynku. Wódka - jako trudne do zastąpienia źródło wpływów budżetowych - została szybko doceniona i zalegalizowana.

Następcy Lenina nie dawali jednak za

Liczba aresztowanych za pędzenie bimbrowu.	
1965	30.000
1966	150.000
1967	397.000
1968	414.000

wygraną - gdy tylko sytuacja gospodarcza poprawiła się nieco, natychmiast zabrali się za pijaków. Tak postąpił pod koniec lat dwudziestych Stalin, później w 1958 roku Chruszczow, a wreszcie w 1972 i 1979 roku Breżniew.

Tymczasem spożycie alkoholu rośnie nieustannie - od 1955 do 1984 roku aż o 250%, osiągając wielkość 15,5 litra stuprocentowego alkoholu na głowę mieszkańca. Gdy się weźmie pod uwagę fakt, że 50 mln muzułmanów nie pije alkoholu niemal w ogóle, a Gruzini i Ormianie niewiele, i to głównie w postaci wina, zaś Białowie gustują przede wszystkim w piwie, to otrzymamy prawdziwy obraz rozpicia słowiańskich republik.

Naukowcy zaczęli bić r.a alarm. Alkohol uznano za główną przyczynę skrócenia długości życia, zwłaszcza mężczyzn (z 65 lat w 1965 do 62 w roku 1984), spadku wydajności pracy (przynajmniej o 10%, jak obliczono), rosnącej liczby rozwodów, wypadków i przestępstw. Zapomniano tylko, że od alkoholu uzależnili się nie tylko miliony ludzi. Uzależnił się również budżet państwa.

Gorbaczow objął władzę w marcu 1985 i już w maju ogłoszono nową ustawę antyalkoholową. Wszystkie osoby na odpowiednich stanowiskach, które nadużywają alkoholu, miały być zwolnione, a milicja miała oczyścić ulice z pijaków i wykorzenić bimbrownictwo. Poza tym:

- ograniczono sprzedaż alkoholu do godzin od 14 do 19 i tylko dla osób powyżej 21 roku życia,
- drastycznie zmniejszono liczbę sklepów sprzedających alkohol. Zakazano sprzedaży w pobliżu zakładów pracy, szpitali, dworców kolejowych i kin,
- postanowiono istotnie zmniejszyć produkcję wódki, a wyrobu szlucnie alkoholizowanych win zaniechać zupełnie już w 1985

roku. W dwa miesiące później, w sierpniu podniesiono ceny alkoholu o 15 - 25%.

Tym razem zalecenia ustawy wcielano w życie z dawno niewidzianą w ZSRR konsekwencją. W Armenii, Gruzji i Moldawii wykarczowano 216 tys. ha winnic, liczbę sklepów sprzedających alkohol zmniejszono o 50% (z 238 tys. do 108 tys.), a liczbę restauracji, w których podaje się alkohol, o 70%. Z inicjatywy władz lokalnych powstało wiele stref bezalkoholowych.

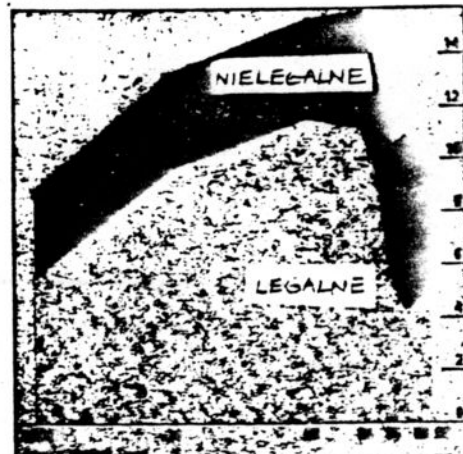
Z początku sukcesy wydawały się niepodważalne - w ciągu dwóch lat sprzedaż wódki spadła o 56%, zmniejszyła się liczba wypadków w pracy, a na ulicach widziało się znacznie mniej pijanych. Jesienią 1987 roku w Murmańsku Gorbaczow chwalił się, że jego antyalkoholowa polityka uratowała życie 300 tysiącom ludzi.

Ale pod koniec 1987 pijani zaczęli powoli wracać na ulice miast, choć sprzedaż wódki ciągle malała. Rozpoczęła się era samogonu. W Związku Radzieckim zawsze pędzono bimbrowo, ale zajmowali się tym głównie emeryci, którzy w ten sposób dorabiali do głodowych emerytur. Teraz, zarówno skład społeczny producentów samogonu, jak i skala produkcji zmieniły się radykalnie. Ponad połowę zatrzymanych przez milicję bimbrowników ma poniżej 48 lat, a 10% nawet poniżej 29 lat. 60% bimbrowników to kobiety, 40% mieszka w miastach i coraz częściej są to osoby po studiach wyższych.

Wydawane na wódkę pieniądze zamiast wpływać do państwowej kasy, zaczęły zasilać czarny rynek. Nie więc dziwnego, że pierwsi zaczęli krytykować politykę Gorbaczowa ekonomiści, niekiedy nawet jego osobiści doradcy. Leonid Abalkin, doradca genseka, a obecnie również wicepremier nazwał nawet kampanię antyalkoholową jednym z trzech wielkich nieszczęść radzieckiej gospodarki, obok katastrofy czernobylskiej i spadku cen ropy naftowej.

Sytuację zamiast polepszyć pogorszyła jeszcze kolejna podwyżka cen alkoholu w sierpniu 1986 roku - niemal wszyscy pijący przestawili się na bimbrowo. Według oficjalnych danych w porównaniu z rokiem 1984 konsumenci wydali na alkohol w roku 1985 o 5 mld rubli mniej, w roku 1986 już o 15,8 mld rubli mniej, a w roku 1987

SPOŻYCIE STUPROCENTOWEGO ALKOHOLU NA GŁOWĘ MIESZKAŃCA ZE ŹRÓDEŁ LEGALNYCH I NIELEGALNYCH.



o 16,3 mld rubli mniej. W sumie kampania antyalkoholowa kosztowała budżet państwa utratę 49 mld rubli i walcie przyczyniła się do powstania gigantycznego deficytu budżetowego, który w minionym roku wyniósł 120 mld rubli. Dziury w budżecie latano drukowaniem banknotów bez pokrycia, co zakończyło się kompletną destrukcją rynku.

Gorbaczow musiał uczynić to, co jego poprzednicy - przywrócić wódkę do łask: w 1987 roku sprzedaż wódki zwiększyła się o 9%, wina o 13%. Rok później sprzedaż napojów alkoholowych wzrosła o kolejne 25%. Zaczęto ponownie otwierać zamknięte niedawno sklepy monopolowe, zezwolono na sprzedaż wina i piwa w sklepach spożywczych, przedłużono czas sprzedaży. W ubiegłym roku dochód państwa ze sprzedaży alkoholu był już niewiele niższy w porównaniu z rokiem 1984.

Doradcy Gorbaczowa mają nadzieję, że brak cukru podetnie skrzydła bimbrownikom i pijackie ruble znowu popłyną szerokim strumieniem do państwowej kasy. Być może nawet szerszym niż kiedykolwiek przedtem, bowiem zniszczony rynek (przy walnym zrządzą udziale ustawy antyalkoholowej) nie jest w stanie zaferować konsumentom praktycznie niczego poza wódką.

jd

TRZY INTERPELACJE WYBORCY

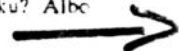
Antoni PAWLAK

1. Posłowi Markowi Jurkowi (OKP), jak w starym dowcipie, wszystko kojarzy się z chusteczką. Co dorwie się do głosu, to od razu mówi o pornografii, nierządzie, swobodzie obyczajów i tak dalej. Mnie także interesują przede wszystkim gole baby, pornografia i orgie, więc z przyjemnością słucham jednego z moich posłów.

Ostatnio jednak przeżyłem rozczarowanie. Oto podczas debaty o godle państwowym poseł Jurek nie powiedział nic o seksie. Za to mówił o orle i krzyżu. Uspokoił mnie w tej kwestii znajomy psycholog (Piotr P.), który zaręczył, że zarówno orzeł (ptak - było nie było), jak i krzyż to ewidentne symbole freudowskie.

2. Jeśli już jesteśmy przy posłach z OKP to sposób nie wspomnieć o poście Łopuszańskim. Jego próba wyproszenia z sali posłów tzw. "lewicy" podczas głosowania ustawy o godle wywołała trochę szumu. Wielkie larum podniosła prasa zważająca się lewicowo - od "Trybuny" po "Politykę". Zarzucano Łopuszańskiemu brak taktu, zapędy totalitarne i tak dalej.

Byli członkowie PZPR mówią o upadku obyczajów parlamentarnych. Cóż, Łopuszański dał ponieść się emocjom i zachował się jak idiota. To prawda. Lecz czy akurat byli członkowie PZPR powinni mu to wytykać? Czyżby zapomnieli o subtelnej polemice premiera Cyrankiewicza z posłami Koła Znak w 1968 roku? Albo



/"PWA", nr. 8, 23.II.1990/



z czasów nam bliższych, o wystąpieniu posła Janusza Przymanowskiego w 1982 roku, kiedy mówił o listach proskrypcyjnych "Solidarności" itp. A nawet nie tyle o tym przemówieniu, co o przerażającym rehocie satysfakcji, jaki przetoczył się przez salę w odpowiedzi na niewybredne dowcipy ojca czterech pancernych i psa?

3. Marek Jurek żąda satysfakcji od Prezesa Drawicza. Chodzi o to, że 13 stycznia w Teleekspresie i Wiadomościach puszczono krótki film o aborcji z - jak to określił poseł Jurek - "aprobatywnym komentarzem".

Zastanawiam się, w jaki sposób Andrzej Drawicz może usatysfakcjonować Marka Jurka? Sądzę, że - z powodów zasadniczych - nie wchodzi w grę rozwiązanie proponowane przez Boziewicza. Wyjście jest tylko jedno - Andrzej, puść Jurkowi ten film od końca!

POLACY POD KIRCHOLMEM

Dwutygodnik "Znad Willii" można już kupić w polskich empikach i to tylko za 500 zł (w Wilnie 30 kopiejek). W numerze 3 jednym z istotniejszych tekstów jest wywiad z Iłą Kozakiewicz - prezesem Związku Polaków na Łotwie. Żyje tam ok. 60 tys. Polaków, z czego 16 tys. w Rydze. W Dyneburgu (tot. Daugawpils) 13% mieszkańców to Polacy, w dawnych Inflantach, np. w miejscowości Iluksza, mieszka ok. 40 proc. Polaków, ale są to najwyższe wskaźniki. Związek Polaków na Łotwie zrzesza 3 tys. osób i działa w 8 terytorialnych oddziałach.

Na pytanie, jak układają się stosunki ZPŁ z łotewskim Frontem Narodowym, Pani Iła odpowiedziała:

Tak się składa, że pełnię kilka funkcji, jestem członkiem Dumy (Rady Najwyższej republiki - przyp. red.) i członkiem Zarządu Dumy Frontu Narodowego, przewodnicząc Komisji ds. Narodowościowych. Nie jest to jednak moja pozycja osobista... Polacy mieszkający na Łotwie popierają bowiem program Frontu.

Podstawowym celem Frontu jest nie-

podległość Łotwy i tamtejsi Polacy, w odróżnieniu od wilniuków, popierają jego program w całej rozciągłości. Anegdota anegdota, ale Kircholm - tak ważny dla naszej narodowej historii - leży parę kilo-



metrów od Rygi, i Łotysze pamiętają o tym, że w 1605 r. Chodkiewicz pobił tam przeważające liczebnie wojska szwedzkie.

Iła Kozakiewicz akcentuje wymóg odporności na sowieckie manipulacje. *Pamiętam - wspomina - że podczas zjazdu Polaków na Litwie wysunięto propozycję utworzenia Związku Polaków ZSRR. Uważam to za czysty absurd... różne bowiem są cele podstawowe zachowania polskości, różne są realia polityczne oraz kulturowe w poszczególnych republikach... Powinniśmy być bardziej rozsądni w budowaniu kontaktów z narodami, wśród których żyjemy. W przypadku Litwy czuję, że zrobiony został krok, który odsunął od siebie Polaków i Litwinów... znaczna część Polaków opowiedziała się po stronie konserwatywnej... Podaję w wątpliwość wystąpienie deputowanego Jana Ciechanowicza w Moskwie (pisaliśmy o tym w PWA - przyp. red.). Telefonowali ludzie z naszego Związku. Byli oburzeni... Retuszując fakty dotyczące stosunków narodowościowych w republikach nadbałtyckich, sprzeniewierzamy się polskości... Wszystkim ludziom w państwach bałtyckich życząc niepodległości. Tylko wówczas może być zapewniony normalny rozwój innych narodowości...*

Szanowna Redakcjo!

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w 5/224 PWA notkę na temat "Leksykonu opozycji politycznej 1976 - 1989". Generalnie chcę stwierdzić, że pan K. Smoczyński ma rację, kiedy mówi o niedostatkach mojego opracowania. Zastanawiam się jedynie czy słuszna jest teza iż "Część druga (-) nie umywa się do wyczerpującego kompendium Kamińskiej..." Książka J. Kamińskiej to przede wszystkim praca bibliograficzna, a nie słownikowy opis po-

szczególnych wydawnictw czy tytułów prasowych. Warto także zwrócić uwagę, że J. Kamińska pomija wydawnictwa - z przyczyn zrozumiących.

Pragnę jeszcze dodać, że być może pan K. Smoczyński nie przeczytał dokładnie mojej noty wstępnej. Piszę tam bowiem co następuje: "(...) należy podkreślić szereg barier, z których bodaj najważniejszą był brak dostępu do wszystkich źródeł. (...) Stąd prezentowane opracowanie, choć obszerne i bogate w informacje nie jest wyczerpujące, a część haseł zawiera jedynie podstawowe wiadomości." i dalej, "(...) niezbędna jest

dalsza praca nad kompletowaniem materiału w celu pełniejszego opracowania tego interesującego tematu."

Doceniam również zainteresowanie pana A. Pawlaka (PWA nr 6/225), choć sądzą, że najlepszym lekarzem na jego szok będzie doc. dr Jan Miodek, który z pewnością wie, co to jest "rdzeń". W sprawie kolejnej wątpliwości odsyłam p. Pawlaka do pracy poświęconej Ruchowi Młodej Polski pt. "Geneza i działalność Ruchu Młodej Polski 1976 - 1985".

Dariusz CECUDA

/"PWA", nr. 8, 23.II.1990/

TYGODNIK PODHALAŃSKI

W pewnym sensie jest ideowym kontynuatorem "Biuletynu Podhalańskiego", pisma członków i sympatyków "Solidarności", które swój niespokojny żywot zakończyło we wrześniu 1989 roku. Biuletyn ukazywał się raz w miesiącu w technikach mało wyszukanych. Powielany przy pomocy kserografii stał się w roku 1988 pismem pół - jawnym, jak wiele "podziemnych periodyków" w tamtym okresie. W ubiegłym roku biuletyn, drukowany już na offsecie, wychodził w nakładzie kilkutyśńczym. Czerwcowym wyborem poświęcone zostało "wydanie specjalne", a we wrześniu ukazał się numer 21, ostatni.

Po trzymiesięcznej przerwie, z datą 24 grudnia 1989 r. pojawił się Nr 1 (1) "Tygodnika Podhalańskiego". Od początku myśleliśmy o normalnym piśmie - mówi Maciej KRUPA, sekretarz redakcji. - Jesień poświęciliśmy na prace koncepcyjne. Biuletyn robiły dwie osoby: Jurek Jurecki i Wojtek Mróz. Tygodnik redaguje 13-osobowy zespół, a wydaje Zakopiańskie Towarzystwo Gospodarcze. W najbliższych planach mamy otwarcie własnej księgarni, bo dwie istniejące jeszcze w Zakopanem ledwie wychodzą "na swoje", więc pora je zmienić.

P - Kim jesteś z zawodu?

O - Etnografem, taki śmieszny zawód, ale doktorat piszę z historii. W latach pierwszych SOLIDARNOŚCI wydawałem z harcerzami piśmiśko próbujące przypomnieć tradycje tego ruchu. Później, po zniesieniu stanu wojennego, dogadałem się z kilkoma kolegami, którym zależało, aby powstało na Podhalu normalne pismo i nam wyszło. Skombinowaliśmy te pierwsze pieniądze, zarejestrowaliśmy tygodnik w cenzurze i pismo ruszyło.

P - Jaki macie nakład i jak dużo zwrotów?

O - Pierwszy numer wyszedł w nakładzie 15 tys. egz. Numery styczniowe - 10 tys. Trudno ocenić zwroty, bo kolportaż państwowy rozlicza się z dużym opóźnieniem. Według naszych szacunków pierwsze dwa numery sprzedały się w granicach 60 procent. W naszym kolportażu, do którego bierzemy trzecią część nakładu, sprzedaliśmy 80 procent styczniowych numerów.

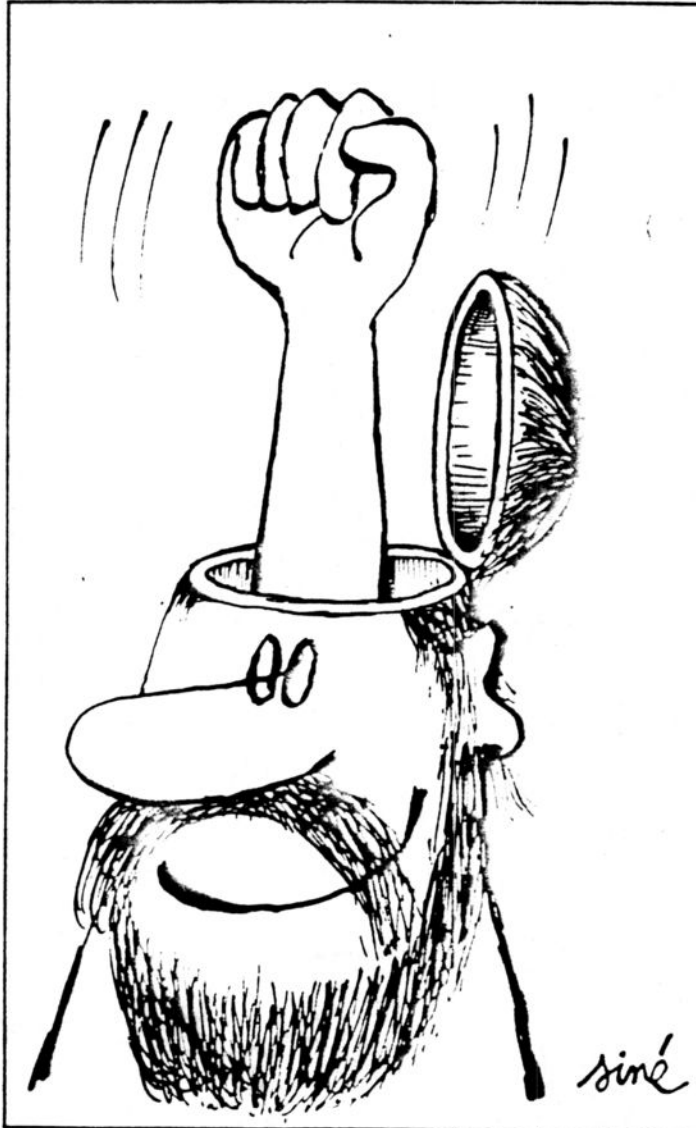
P - Jakie tematy zdomi-

nowały pierwsze numery?

O - Tutaj jest pewien problem, bo jeżeli mówimy o tematach, to mówimy o profilu gazety. My chcemy być gazetą prowincjonalną w dobrym tego

P - Czy piszą dla was tylko "lokalne pióra", czy też możecie liczyć na kogoś spoza regionu?

O - Liczymy na własne siły, a trzeba powiedzieć, że zak-



słowa znaczeniu. Taka gazeta jest blisko czytelnika, którego informuje o sprawach bieżących, jakimi żyje jego dzielnica, jego miasto i region. Czytelnik prasy lokalnej może przeczytać o sklepach, w których kupuje, czy też wręcz o sobie. To jest nasz kierunek - chcemy blisko być rzeczywistości lokalnej. Będziemy pisać o nadziejach i problemach mieszkańców Podhala, Spiszu i Orawy. Chcemy też napisać o wszystkich gazetach, jakie się tu ukazywały od roku 1894, o naszych poprzednikach. Było tych tytułów do II wojny ponad czterdzieści. Po wojnie - dwa. My jesteśmy trzecim.

dużo korespondentów wśród nauczycieli. Otrzymujemy syntetyczne relacje z tego, co się dzieje na Spiszu, w Czerwienem, czy w Czarnym Dunajku.

P - Czy są to ludzie związani z Ruchem Obywatelskim "Solidarność"?

O - Niekoniecznie. Piszą również osoby stojące z boku, obserwujące zachodzące przemiany z pewną rezerwą. Zjawiskiem dość charakterystycznym jest duży napływ korespondencji. Ukazuje się krótka notatka atakująca kogoś i natychmiast otrzymujemy elaborat dowodzący, że ta osoba nie jest "aż tak zła". Przychodzi również wiele pism "do wiadomości redakcji". Są to zwykle skargi lub dobiejający się o sprawiedliwość w Komitecie Obywatelskim. Dla nas jest to oznaką, że weszliśmy już w społeczny krwiobieg i jesteśmy czytani.

P - Jednym słowem, staliście się znaczącą firmą. Jak widzisz rolę "Tygodnika Podhalańskiego" w przygotowaniu wyborów samorządowych?

O - Chcemy przygotować elementarz demokracji lokalnej, gdzie zostaną przybliżone naszym czytelnikom znaczenia podstawowych pojęć. Wiele osób nie widzi jeszcze większych różnic pomiędzy funkcjonującymi jeszcze radami narodowymi, a przyszłym samorządem. Niewielu pamięta przedwojenne samorządy, niewielu dziś wie, dlaczego ma być burmistrz, a nie naczelnik. Musimy zaczynać od elementarza. Z drugiej strony, będziemy prezentować kandydatów Komitetu Obywatelskiego, a będzie ich wielu, bo obejmujemy swoim zasięgiem 3 miasta i kilkanaście gmin. To jest kolejna batalia, którą musimy wygrać. W pewnym sensie będą to wybory trudniejsze i ważniejsze od ubiegłorocznych.

Rozmawiał:

Bogdan KRAWCZYK

"STARZY" RADNI

Jest oczywiste, że stare garnitury radnych będą przeważnie podejmować decyzje personalne zgodne ze swymi dotychczasowymi interesami (ostatnio zdarzyło się tak przy wyborze prezydentów Krakowa i Warszawy). Byłoby dziwne, gdyby owe produkty realnego socjalizmu postępowały inaczej. Dłatego niezbyt uczciwie wyglądają mi protesty rozmaitych komitetów obywatelskich, regionalnych zarządów "S" oraz innych grup, które zaczynają podważać demokratyczną legitymację radnych dopiero po niekorzystnym wyniku głosowania.

Sądzę, że wymianę kadry - jeśli jest to przed wyborami samorządowymi - konieczne - trzeba przeprowadzać na mocy przejściowej, specjalnej regulacji prawnej będzie to z pewnością zdrowsze politycznie i moralnie od biadolenia nagle obudzonego Katego.

Stanisław REMUSZKO

-Czy przybył poseł Lechistanu? - dopytuje się ciągle coraz bardziej zniecierpliwiony sultan, ale wezry ma stale tę samą odpowiedź: *- Nie, o najświetlejszy, dalej jest tylko ambasador peerelu.*

W tej to sprawie, a ściślej w sprawie obsady personalnej ataszatów kulturalnych i ośrodków kultury polskiej za granicą, odbyło się 10 lutego w gmachu Sejmu wspólne posiedzenie sejmowych komisji kultury i spraw zagranicznych, zwołane z inicjatywy prof. Geremka, który komisji spraw zagranicznych prezyduje. Oprócz posłów przybyli wiceminister Makarczyk i dyrektor Departamentu Kultury Karczewski z MSZ, nie przybył natomiast nikt z Ministerstwa Kultury, przy czym zaraz na wstępie pos. Małachowski zakapował min. Starczewskiego, oświadczając, że poprzedniego dnia Starczewski sam mu o posiedzeniu przypominał. Prof. Geremek ze srogą miną polecił wszystko to zaprotestować.

Otwierając obrady określili sytuację jako dramatyczną, i stwierdzili, że polskie placówki dyplomatyczne obsadzone swoimi dotychczasowymi pracownikami nie są instrumentami polityki nowego państwa polskiego. Następnie zabrał głos przewodniczący sejmowej komisji kultury, Andrzej Łapicki, i powiedział, że w ciągu trzydziestu kilku lat kontaktów z polskimi placówkami kulturalnymi za granicą, zarówno ataszatami jak ośrodkami czy instytucjami kultury, nie spotkał ani jednego kompetentnego pracownika, a najprawdopodobniej ostatnim kompetentnym polskim ataszatem kulturalnym był Czesław Miłosz (Waszyngton, 1945 - 1950).

Min. Makarczyk z MSZ postawił sprawę twardo: wymiany personelu peerelowskiego na przedstawicieli Rzeczypospolitej nie będzie się dokonywał ani szybko, ani tym bardziej globalnie. Wszystkie decyzje muszą być dojrzałe, tego wymaga od nas - zdaniem min. Makarczyka - *cywilizacja*. Nie mówił wprawdzie jaka, ale miało się rozumieć, że zachodnia, a może i nawet wręcz chrześcijańska. Nikt, nawet obecny na sali popularny poseł Marek Jurek, nie polemizował z tą śmiałą tezą. Minister mówił, że nie można ludzi z placówek odwoływać nagle, że trzeba im zawsze dać co najmniej parę miesięcy, aby mogli kończyć to, co zaczęli i pomału likwidować swoje sprawy. Poinformował, że będzie się powoływać Rady składające się z polskich emigrantów, które będą miały współpracować z polskimi placówkami kulturalnymi. Nie odniósł się do wątpliwości posłów, czy takie rady będą gotowe współpracować z dotychczasowym personelem.

Ujawnił trzy zmiany personalne na stanowiskach dyrektorów polskich ośrodków kulturalnych: do Sztokholmu pojedzie Tomasz Jastrun, do Bratysławy Marian Grześczak, zaś kierownikiem placówki w Paryżu bę-

dzie mieszkający tam Bogusław Sonik. Na placówkę moskiewską, którą kierował do tej pory Stanisław Mikulski, brak na razie kandydata. Generalnie dyrektorami ośrodków i instytucji kultury polskiej za granicą będzie się mianować ludzi kultury lub nauki, natomiast ataszaty obsadzane będą przez urzędników.

Dyskusja rozwinęła się dwutorowo: posłowie OKP dawali przykłady niekompetencji

ją, iż przykro jej tego słuchać, w co zresztą wszyscy uwierzyli. Uskrzydłona zrozumieniem sali posłanka zarecytowała Asnyka: *Ale nie deptacie przeszłości ołtarzy, Choć macie nowe, doskonalsze wzniesić, Na nich się jeszcze święty ogień żarzy I miłość ludzka stoi tam na straży I wy winniście im cześć!* Dokonawszy recytacji za-

szterlingów i dolarów z taką maestrią, że nawet gdyby na sali był jakiś superwykwalifikowany księpiek, i tak by się w tym wszystkim pogubił.

Potok wymowy dyr. Karczewskiego przerwał prof. Geremek, kiedy z tego, co dyrektor mówił, wynikało, że nasz ośrodek w Moskwie nie może sprzedawać książek, bo nie ma statusu ośrodka kultury, a to na skutek tego, że nie mamy ze Związkiem Radzieckim stosownej umowy i na skutek tego z kolei ZSRR nie ma w Polsce swojego ośrodka kultury. Poproszony o szczegółowe wyliczenie ośrodków, których ZSRR nie ma w Polsce dyr. Karczewski wymienił ten na Foksal i drugi "chyba w Gdańsku", wyjaśniając jednocześnie, że nie są to radzieckie instytucje rządowe, a tylko ekspozytury działające w ZSRR towarzystwa zrzeszającego towarzysza wewnętrznego międzynarodowego miłowania.

-A co jest na pl. Bankowym? - zapytał groźnie Geremek.

-Gdzie? - nie rozumiał dyplomata.

-Dzierżyńskiego - wycedził przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych - *I Puszkinskij dom; na Senatorskiej* - dodał częściowo po rosyjsku.

-Z punktu widzenia MSZ tam nie ma - padła dyplomatyczna odpowiedź.

Ponieważ dyplomaci wypowiedzieli się w imieniu naszego koalicyjnego rządu, a na sali znajdowali się wyłącznie przedstawiciele klubów wchodzących w skład koalicji, posłowie dyplomatycznie nie komentowali. Geremek, który to spotkanie zwołał będzie miał z niego protokół, ale nie wiem, co z nim zrobi. Może by go posłać sultanowi, żeby więcej nie sulał wezryza? ■

A SUŁTAN CZEKA...

Jan WALC

dotychczasowego personelu (np. pos. Braun opowiadał, jak podczas pobytu w Hiszpanii chciał się spotkać z przedstawicielami miejscowej prasy katolickiej, a polski attache prasowy długo ich szukał, aż wreszcie znalazł w książce telefonicznej), zaś przedstawiciele innych klubów koncentrowali się na problemie "braku środków", czasami wchodząc w interesujące szczegóły - np. pos. Borawska (b. PZPR) oświadczyła, że niemożliwa jest praca kulturalna, gdy np. w ośrodku w Paryżu brak wzorów laleczek regionalnych w ludowych strojach, co stwierdziła osobiście. Pos. Skubisa (PSL "O") krytykował prof. Geremka za zawężanie problematyki do obsady kadrowej, podczas gdy naprawdę ważne jest wożenie za granicę Cepelii, zespołów regionalnych i młodzieżowych, a także przedstawicieli sejmowej komisji kultury.

Pos. Urbańska (b. PZPR) zaprotestowała przeciw potępieniu w czambuł dotychczasowego personelu dyplomatyczno - kulturalno - partyjnego, motywu-

pelowała, aby skończyć z wysyłaniem za granicę artystów kabaretowych, co o tyle współgrało z cytowanym wnioskiem pos. Skubisa, że stało się dla wszystkich jasne, iż żaden artysta kabaretowy nie osiągnie takiego efektu jak pos. Urbańska mówiąca słowami poety o świętym ogniu, ołtarzach przeszłości i miłości ludzkiej w kontekście decyzji o odwołaniu Albina Siwaka z posady attache kulturalnego Rzeczypospolitej.

Kiedy posłowie już sobie trochę pogwarzyli, zabrał głos dyrektor Karczewski z MSZ, dyplomata wytrawny (chwalił się, że pracował jeszcze z hr. Brezją, którego z ostatniej placówki odwołano ćwierć wieku temu), który i w tym roku przygotował założenia naszej polityki kulturalnej za granicą i to zupełnie nowe, bo do Chopina, Curie - Skłodowskiej i Cepelii dołączył 50-lecie zbrodni katyńskiej. Cytował cyfry z pamięci, dodając zeszloroczne złotówki niewymienialne do tegorocznych wewnętrznie wymienialnych, te zaś do funtów

NOWOŚCI MUZYKI TANECZNEJ.

Walc "Na falach Odnowy"



styczeń '90
kultura
NIEZALEŻNA

57

KULTURA NIEZALEŻNA NR 57 /ROK VII/

SPIS TRESCI

REALIA	
List Otwarty do Rady Ministrów RP	- 3
Andrzej Osęka - Komentarz	- 4
SZKICE	
Rafał Marszałek - Monokultura filmowa 1945-1950	- 7
Juliusz Jarosławski - Żywot człowieka uzbrojonego	- 23
Stanisław Gawliński - O "Matce Królów" po latach	- 33
Jarosław Vejdova - Stella Obscura	- 39
Ivan Sviták - Sens lekcji totalizmu	- 42
SWIADECTWA	
André Glücksmann - "Siła bezsilnych": dlaczego czcimy Havla?	- 53
WIERSZE	
Jan Kondrak - Syn macochy, Bliżej ziemi, Piosenka cokolwiek skrajna, Kujawiaczek diaspro-ralny	- 60
RECENZJE	
Grzegorz Niziołek - Jak daleko stąd, jak blisko	- 63
Wojciech Skalmowski - Fotografia z natury	- 67
Barbara Engelking - Chłopcy z placu Trzech Krzyży	- 70
Marek Wojcienica - Nic na pewno	- 72
Izabela Jarosińska - Po cóż było jechać aż do Ameryki?	- 76
ARCHIWALIA	
Alicja Szałagan - "Sprawa Bąka" 1950-1957	- 78
FELIETONY	
Leopolda - Moje zdaniem	- 85
K.N. - Wojenka, wojenka...	- 87
LISTY	
Jacek Ilg - List otwarty	- 89
WYDARZENIA	
Leon Bober - Pusta sakiwka, Gangsterstwo, Książki o Katyniu, Liczba	- 90
WE WROCLAWIU o literaturze dzisiejszej - A.H.	- 97
NOWOSCI WYDAWNICZE	- 100
PODZIĘKOWANIA	- 104

Copyright by KULTURA NIEZALEŻNA

Warszawa, 1990

REALIA

Numer oddano do druku

15 stycznia 1990 roku

Warszawa, 8 stycznia 1990 r.

LIST OTWARTYDO RADY MINISTRÓW RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Uchwalone ostatnio przez Sejm ustawy dotyczące zasad funkcjonowania gospodarki państwa zrównują w praktyce działalność w sferze kultury z każdą inną formą produkcji czy dystrybucji. Tego rodzaju rozwiązania prawne, prowadzić mogą jedynie do kompletnego wyjąłowania życia kulturalnego,



/"Kultura Niezależna", nr. 57, styczeń 1990/

utrzymania istniejących monopolii informacyjnych, a w konsekwencji do dalszego obniżenia poziomu cywilizacyjnego społeczeństwa. Zagroza nam nie tylko nędza materialna, ale i duchowa.

Według niepełnych jeszcze danych w roku 1989 produkcja wydawnicza zmniejszyła się o około 30 procent. W tym roku oczekiwać można w tej materii już tylko katastrofy.

W obliczu powstałej sytuacji my, niżej podpisani przedstawiciele niezależnych środowisk kulturalnych apelujemy o jak najszybsze podjęcie prac niezbędnych dla rzeczywistego wprowadzenia w Polsce pluralizmu obiegu informacji i opinii, ocalenia wolnego słowa, bez obecności którego demokracji nie zapewnią najlepsze intencje polityków.

Uważamy, że niezbędne jest w ciągu najbliższych tygodni:

- wystąpienie do Sejmu z inicjatywą ustawodawczą zmieniającą do całkowitego zniesienia cenzury; majątek rozwiązanego GUKPiW /np. budynek przy ul. Mysiej 2 w Warszawie/ powinien zostać oddany do dyspozycji niezależnych instytucji kulturalnych;

- stworzenie podstaw prawnych dla legalizacji wydawnictw podziemnych wraz z posiadaniem przez nie majątkiem i dorobkiem wydawniczym;

- całkowite zwolnienie instytucji działających w sferze kultury od wszelkich podatków poza podatkiem od zysku. Niedopuszczalne jest zwłaszcza wliczanie wypłacanych honorariów autorskich do funduszu płac, objętego podatkiem od ponadnormatywnych wynagrodzeń;

- udoskonalenie mechanizmów prawnych zachęcających podmioty gospodarcze do przekazywania części zysku na rzecz instytucji działających w sferze kultury. Obecne przepisy faktycznie zniechęcają do takich działań;

- całkowity zwrot zagarniętego przez MSW majątku wydawnictw podziemnych /w tym papieru, pieniędzy, maszyn poligraficznych, skonfiskowanych wydawnictw etc./, również tam, gdzie orzeczono przepadek tego mienia na rzecz skarbu państwa.

Jan Doktor /Przegląd Wiadomości Agencyjnych/, Waldemar Gniadek /Wydawnictwo Pokolenie/, Maciej Iłowiecki /Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich/, Andrzej Jarecki /Stowarzyszenie Pisarzy Polskich/, Henryk Karkosza /Oficyna Literacka/, Jan Kofman /Krytyka/, Marian Kotarski /Wydawnictwo Rytm/, Eligiusz Lasota /Po Prostu/, Andrzej Osęka /Kultura Niezależna/, Jan Polkowski /Arka/, Andrzej Rosner /Wydawnictwo Krąg/, Piotr Szwajcer /Wydawnictwo NOWA/, Stowarzyszenie Wolnego Słowa/.

Do wiadomości:

Sejmowa Komisja Kultury
Senacka Komisja Kultury

ANDRZEJ OSEKA

KOMENTARZ

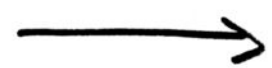
Ten list otwarty może być przez opinię, nie mówiąc o władzach RP, przyjęty niedobrze: jako lament, żądanie przywilejów dla wybranej grupy społecznej, podczas gdy - wciąż się o tym mówi - wszystkim jest ciężko, będzie jeszcze ciężiej przez czas jakiś, a niektórzy już znaleźli się w takim stanie, że ich trzeba dokarmiać.

W momencie dla narodu radosnym lecz trudnym oczekuje się więc od nas hartu i wzywa do wyrzeczeń, solidarności w biedzie, do podejmowania inicjatyw społecznych i osobistej przedsiębiorczości. Od ludzi kultury - krótko mówiąc - wymaga się teraz, by stanęli przed frontem i z uśmiechem otuchy powtarzali: "Pomóż! Pomóż! Pomóż!". Które to wezwanie ma nie dla wszystkich sens jasny, a kojarzy się, niestety, niedobrze.

Jeśli natomiast twórcy lub - jak się to teraz nazywa - animatorzy kultury zaczynają mówić o zagrożeniach tego obszaru, który znają dobrze, nie zaś o najogólniej pojmowanym interesie społecznym i postawach obywatelskich - podnoszą się głosy potępienia. Nie wiadomo na jakiej podstawie oskarża się ich od razu o obojętność na los lekarzy i pielęgniarek, tkaczek, rolników etc. Wypomina się twórcom dotacje, jakie otrzymywali z komunistycznej kasy oraz wszystkie łaski i przyjemności związane dotąd z kondycją artysty państwowego, wmawiając, że nadal oczekują przywilejów kosztem społeczeństwa. Znaleźli się już - jak to zwykle bywa w czasach niepokoju - obrońcy ludu przed niebezpiecznymi zakupami elit.

Zwracam uwagę, że sygnatariuszom tego listu - przedstawicielom m.in. "Nowej", "Kręgu", "Oficyny Literackiej", "Arki", "Krytyki", "PWA" - nie można zarzucić, by ich państwo zbyt dotąd rozpieszczęzało. Wciąż nie są w stanie wyrwać z rąk ministra spraw wewnętrznych tego, co im tenże minister na poprzednim etapie historii zabrał: ksiązek i narzędzi do produkcji ksiązek służących. Nie można też podejrzewać sygnatariuszy, że chcą się oddać państwu w opiekę, oprzeć los swoich wydawnictw i pism na inicjatywie urzędników i urzędów, ich budżetach, planach, rozdzielnikach. Przedsiębiorczości im nie brak: dowodzili tego przez osiem a czasem i czternaście lat, jak również tego, że bardziej cenią niezależność od choćby i łagodnej zależności.

Jest to więc nie prośba do panujących o łaskawy mecenat, lecz ostrzeżenie przed konsekwencjami bezmyślności wobec kultury. Zjawisko bezmyślności występuje wtedy, kiedy się kulturę i jej twórców traktuje dekoracyjnie - podobnie w pewnym sensie jak to bywało przez czterdzieści lat. Kultura ma być ilustracją dobrych intencji władzy. Teraz jej intencją jest narodowe pojednanie, władza pozostawia więc nienaruszone to, co kulturze szkodziło: ludzi, instytucje, przepisy - nakładając na to nowe ograniczenia, nowe podatki.



↓
Kumulacja tego - bezradności wobec mechanizmów złych i braku elastyczności w stosowaniu nowych mechanizmów gospodarczych MUSI prowadzić do katastrofy. I katastrofa już jest, w całej kulturze, a zwłaszcza w piśmiennictwie. W tej ostatniej dziedzinie dysponujemy wymiernymi danymi.

Przez czterdzieści pięć lat PRL stosowała wobec książki politykę represyjną. Najpierw - pozamykano wszystkie prywatne i na inny sposób niezależne papiernie, drukarnie, wydawnictwa, księgarnie, biblioteki. Potem, w systemie państwowego monopolu na słowo drukowane, usiłowano z tegoż słowa uczynić narzędzie /przepraszam, ale trudno tutaj o inny termin/ zniewolenia. Co się nie udało, z rozmaitych przyczyn, głównie dzięki obywatelskiemu nieposłuszeństwu wielu pisarzy i wydawców. Wówczas książkę polską ukarano - jako taką - za krnąbrność, spychając jej produkcję na ostatnie miejsce w Europie. /Z wyłączeniem Albanii./ Tutaj otwiera się epopea niezależnych wydawnictw w Polsce i walki z nimi. Rok 1989 - rok zwycięskich wyborów i plajty komunizmu przyniósł spadek produkcji książki o dalsze 30 procent.

Rok 1990. Mamy Rzeczpospolitą. NASI zwyciężyli - a ONI, zawiadująca papierniami peerelowska nomenklatura windując ceny papieru powyżej światowych. Jednocześnie w antyinflacyjnych regulacjach prawnych pojawia się punkt, w myśl którego honoraria wydawnicze objęte zostają podatkiem od ponadnormalnych wynagrodzeń.

Jest to przepis w zasadzie słuszny, wymierzony głównie przeciw oszukańczym praktykom zakładów pracy, które płaciły swoim ludziom więcej nie w ramach pensji, lecz w formie honorarium za "prace zleczone", pomysły racjonalizatorskie etc. Tyle, że to co w przypadku przytłaczającej większości przedsiębiorstw uderza w masowe lecz uboczne machinacje - w przypadku wydawnictw godzi w ISTOTĘ ich działalności. Oznacza - automatycznie - koniec wielu z nich, oznacza niebywały cios w egzystencję polskich pisarzy współczesnych, którym, w odróżnieniu od dawno zmarłych klasyków, honoraria trzeba płacić. Więc się ich nie będzie płaciło, czyli: nie będzie się ich drukowało.

To, czego się nie udało Peerelowi zrobić przez czterdzieści pięć lat - Rzeczpospolita załatwi być może w ciągu roku: doprowadzenie niezależnego piśmiennictwa w Polsce, zwłaszcza wydawnictw opartych na niekomercyjnych zasadach, do ruiny.

Owszem, z ruiny można się podnieść. Wszyscy przecież na to liczymy: że się wydobędą z głębokiej zapaści przemysł, rolnictwo, handel, służba zdrowia, ochrona środowiska, oświata, nauka i wiele innych dziedzin życia społecznego. Zwolennicy rozwiązań globalnych radzą więc ludziom kultury poczekać: teraz trzeba myśleć tylko o wychodzeniu z kryzysu, zduszeniu inflacji, na nic innego nie ma miejsca. Wyjdziemy z kryzysu - mówią - to przyjdzie czas i na załatwienie waższych spraw.

Otóż: tutaj można mieć wątpliwości. W zasadzie jestem

→

←
 optymistą. Wierzę, że z kryzysu wyjdziemy. Wierzę, że odrodzi się wszystko, co wyżej wymieniłem. Będziemy mieli, jak to w cywilizowanym świecie, rolnictwo, handel, przyzwoite szpitale etc. Bo w cywilizowanym świecie to wszystko MUSI funkcjonować. Natomiast kultura, książka, teatr, pisma literackie - wcale nie muszą. Gdy upadną, mogą się już nie odrodzić. Historia zna cywilizacje dobrze prosperujące bez rozwiniętej kultury - bez prawdziwej literatury, teatru, malarstwa, z jakimiś ich namiastkami. Dzieje się tak zwłaszcza w krajach, które osiągnęły pewien stopień stabilizacji gospodarczej po długim okresie biedy.

Wracając do posłania niezależnych wydawców, i w ogóle do niezależnej kultury. Jeśli powiemy sobie, że ruch ten się skończył, bo mamy już NASZ rząd, program wychodzenia z kryzysu, okres zaciskania pasa - nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na wyniki operacji, dokonywanej przez polityków i finansistów. Sądzę jednak, że nie po to tyle lat ćwiczyliśmy się w niezależności, żeby na te wyniki czekać biernie.

K.N.

Andrzej Osęka

WOJENKO, WOJENKO...

Ustępującemu właśnie Prezesowi Polskiej Akademii Nauk, prof. Janowi Kostrzewskiemu, nadano kiedyś przydomek "honorowego czołgisty PRL". Uczony ów bowiem na samym początku stanu wojennego złożył towarzyszom pancernym kurtuazyjną wizytę na polu bitwy, gdzie miał okazję wypowiedzieć się z entuzjazmem o ich bojowych zasługach. Wizytę zarejestrował dziennik telewizyjny, pokazując nam Profesora w miłosnym uścisku z czołgiem - na tle śnieżnego krajobrazu, pośród działobitni, gąsienicowych pojazdów i żołnierskiej braci.

Jego poprzednik na fotelu Prezesa PAN, prof. Aleksander Gieysztor, nie ograniczał swego uznania do jakiejś jednej formacji wojskowej. Żył on szacunek do armii w całości i za rzecz zbawienną dla naszego kraju uważał zaprowadzenie przez nią stanu wojennego.

Gazeta "Żołnierz Wolności" w nrze 263 z 1983 roku przyniosła wiadomość o odbytej 26 października tegoż roku w Pałacu Kultury i Nauki sesji naukowej zorganizowanej wspólnie przez Polską Akademię Nauk i Ministerstwo Obrony Narodowej:

"Tematem obrad były zagadnienia dotyczące udziału nauki w 40-leciu ludowego Wojska Polskiego.

Na obrady przybyli: przewodniczący Rady Państwa prof. Henryk Jabłoński i wicemarszałek Semu PRL Jerzy Ozdowski.

Uczestniczyli w nich naukowcy cywilni i wojskowi z prezesem PAN prof.dr.hab. Aleksandrem Gieysztozem na czele. Ze strony Ministerstwa Obrony Narodowej w sesji udział wzięli: wiceminister obrony narodowej, szef Sztabu Generalnego WP gen. broni Florian Siwicki oraz wiceministrowie obrony narodowej: szef Głównego Zarządu Politycznego WP gen. broni Józef Baryła, Główny Kwatermistrz WP gen. broni Mieczysław Obiedziński i Główny Inspektor

→

Techniki WP gen. broni Zbigniew Nowak.

Obecni byli przedstawiciele resortów, okręgów i rodzajów wojsk, delegacja Naczelnego Dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych Państw-Stron Układu Warszawskiego oraz attaché wojskowi krajów socjalistycznych.

Wybitni przedstawiciele polskiej myśli historycznej oraz zaproszeni goście zastanawiali się nad problemami czynu zbrojnego w najnowszych dziejach Polski, społeczno-politycznej roli wojska w życiu kraju, znaczenia nauki i postępu dla obronności socjalistycznej ojczyzny."

Poniżej tego komunikatu znajdujemy w rzeczonym numerze "Żołnierza Wolności" fotografię Prezesa wraz z fragmentem przemówienia, którym otwierał sesję. Do jej uczestników kierował prof. Gieysztor takie oto słowa:

"Dobrze zapisana przez wojsko karta dziejów najnowszych jest do odczytywania na co dzień jako lekcja ofiarnie pełnionego obowiązku patriotycznego.

Wydarzenia ostatnich lat także wskazują jak wyraźny zapis na tej karcie dziejów wyłobilo działające dla socjalizmu ludowe Wojsko Polskie. Oczekując pełnej oceny tych wydarzeń już dziś wyrażamy uznanie ludziom w mundurach, którzy zapewniając ład stworzyli swoją postawą i swoją pracą warunki do wychodzenia kraju z kryzysu społeczno-politycznego i gospodarczego."

Dwaj kolejni prezesi Akademii dzielili więc jedną co najmniej wspólną skłonność. Obaj okazali się miłośnikami zbrojnego czynu. Obu łączyło przekonanie, że Ludowe Wojsko Polskie zasługuje na wysoką ocenę, zwłaszcza wtedy, gdy nie marnotrawiąc swych sił na zmagania z wrogiem zagranicznym, "działa dla socjalizmu" - na froncie wewnętrznym.

W najbliższych tygodniach Zgromadzenie Ogólne PAN ma wybrać sobie nowego prezesa. Czy i tym razem uzna, że obligatoryjnym składnikiem jego wyposażenia duchowego powinno być upodobanie do wojennego rzemiosła i ludzi w mundurach?

K.N.

13 grudnia 1989

WYDARZENIA

PUSTA SAKIEWKA

"Prawa" ekonomii nie są wprawdzie tak niewzruszalne, jak usiłowali nam wmówić uczniowie Karola Marksa po korepetycjach w Lenina i Stalina, ale są bezlitosne; kultura jest słaba, więc musi być wyrozumiała. Z ekonomią przegrywa. Rząd nie przewidział w projektach ustaw gospodarczych i finansowych jakichkolwiek ulg /a to nie to samo co przywileje/ dla

instytucji artystycznych i upowszechniania kultury, a Sejm, mimo poprawki zgłoszonej przez Aleksandra Małachowskiego, przyjął wersję rządową. Stało się, i niewiele da przypominać, że większość Rady Ministrów oraz znaczna część posłów wywodzi się z opozycji, która nie była tylko grupą polityczną walczącą o władzę, ale ukonstytuowała się w walce o pewne wartości, wśród których sprawy kultury nie należały do najmniej ważnych.

Przejścia przez wilcze stadium kapitalizmu boimy się wszyscy, ale głos w obronie spraw i ludzi kultury rozbrzmiewa jednak słabiej niż w obronie innych spraw i ludzi, również zagrożonych przez kryzys. Jacek Kuroń ma tubalny głos, ale Izabela Cywińska, jak przystało na człowieka teatru, ma głos też nieźle postawiony. Kuronia jednak słychać, Cywińskiej nie, a jeśli już jej, lub jej współpracowników głos do nas dociera, to nie dość, że słabo słyszalny, jeszcze do tego niewyraźny. Albo trudny do pojęcia. Gdy mówią, że słabe placówki muszą upaść, to zadajemy sobie pytanie, czy Kuroń byłby w stanie powiedzieć, że niezapobiegliwi emeryci muszą umrzeć z głodu? Upadłość placówki kulturalnej to co innego niż bankructwo fabryki. Tokarz może wyrabiać detale do samochodu albo do mikroskopu, nic w istocie jego zawodu się nie zmienia. Aktor ze zlikwidowanego teatru nie ma co szukać w swoim zawodzie, a i w bibliotece nie znajdzie posady, bo biblioteka też padnie.

Na całym świecie, gdzie gospodarką rządzi rynek, rządy zachowują sobie prawo do interwencji, ratującej bądź to handel zbożem, bądź muzea czy teatry. Rząd Mazowieckiego panicznie odżegnuje się od jakiegokolwiek interwencjonizmu. Dlaczego? Bo kiesa pusta? Dlaczego wobec tego dopiero sejmowa komisja musi odrzucać projekt budżetu dla cenzury? Kiedy ekonomia wskazuje, że fabryka czegoś tam ma upaść, to jest to zastosowanie właściwego instrumentu kontroli. Kultury wykształciła w ciągu wieków własny system oceny: krytykę literacką i artystyczną, podobnie nauka - krytykę naukową. W tych właśnie dziedzinach nie wolno się odwoływać wyłącznie do sprawdzianu rynkowego.

Brak tu zresztą konsekwencji. Ma upaść ileś - nie wiadomo dokładnie ile - pism RSW. Ale: mocarstwowa pozycja tejże RSW nie została złamana i po pierwsze, od kondycji spółdzielni zależy los innych pism, związanych z nią np. tylko za pośrednictwem drukarni albo kolportażu, po drugie, wśród pism skazanych na upadek są takie, które RSW zawłaszczyła i powinna nie likwidować, lecz zwrócić społeczeństwu. Ma - dalej - upaść ileś pism naukowych, bo odmówiono dotacji w wysokości pięciu czy niechby nawet pięćdziesięciu milionów. Upaść lub zawiesić wydawanie; pracownicy na ogół mają pracę w macierzystych zakładach naukowych, więc nie zostaną bez pracy, a przy kilkuletnim cyklu wydawniczym roczna zwłoka nie jest taka dotkliwa. Jednakowoż oszczędność pewnej kwoty w złotówkach oznacza nieporównanie większą stratę w twardej walucie. Otóż większość czasopism naukowych przychodzących z zagranicy do naszych placówek naukowych opłacamy wysyłką

polskich periodyków, co jest bardzo wielkodusznyim postępkim nadawców zagranicznych; albo więc oni wstrzymają wysyłkę swoich tytułów, albo rząd wyciągnie nagle kilkaset tysięcy dolarów, albo - i to jest najbardziej prawdopodobne - nauka polska zostanie nagle odcięta od dopływu informacji naukowej.

Sytuacja jest bardzo groźna. Co na to ministerstwo? Najpierw powiem, że gdyby podobny stan zagrożenia nastąpił za kadencji Tejchmy, Żygulskiego albo Krawczuka, prasa niezależna, a także partyjna lub "koalicyjna" nie zostawiłaby na nich suchej nitki. Teraz kasają tylko w "Trybunie Ludu", ze strony niezależnej zaś odzywają się zaledwie ciche i nieśmiałe, ale gruntownie umotywowane apale. Bez odzewu. Albo z odzewem tak zawiłym, niejasnym, albo i sprzecznym wewnątrznie, że tylko jeszcze bardziej gmatwającym rozeznanie. Tak np. "Kultura Niezależna" otrzymała zapewnienie wiceministra Jagiełły, że jeśli "Twórczość", "Dialog" lub "Ruch Muzyczny" nie wykorzystają należycie ministerialnych dotacji, to zostaną im one odebrane i dane np. "Arce" lub "KN" - "pismom żywym"... Dzięki za dobre słowo i życzliwą intencję, ale myśl, że mielibyśmy zostać grabarzami któregośkolwiek z wymienionych pism, albo niewymienionych innych jest niemiła. Chcielibyśmy móc wychodzić obok "Twórczości", "Dialogu" i "Ruchu Muzycznego". "Kultura Niezależna" wiele spodziewa się po naszym ministerstwie, ale pieniądze nie są na pierwszym miejscu /list otwarty, który drukujemy w tym numerze na wstępie, jeszcze raz wyłuszcza nasze postulaty/.

W środkach masowego przekazu coraz częściej spotyka się określenie "rząd Balcerowicza" zamiast "rząd Mazowieckiego"; w istocie można odnieść wrażenie, że ta część ministerstw, które odpowiadają za gospodarkę, tak przytłoczyła swą aktywnością pozostałe resorty, że ich kierownicy zawiesili na kołku swoje obowiązki i tylko z napięciem kibicują kolegom ekonomistom: uda się im, czy się nie uda... I my kibicujemy. Póki żyjemy.

I jednocześnie zjadamy własny ogon. Doradca ministra Boguta zaprzecza Bogucie dyrektorowi NOWej. W tym samym numerze "Gazety Wyborczej" i na tej samej stronie znajdujemy wiadomość o tym, że prezes SPP Jan Józef Szczepański podpisał umowę z szefem zarządu politycznego MON /teraz trzeba mówić "wychowawczego", ale to ten sam GZP/ o współpracy, co zapowiada wycieczki pisarzy do koszar i na poligony, oraz list wiceprezesa SPP Andrzeja Brauna, który z gniewnym zdziwieniem pyta, czy stan wojenny w kulturze naprawdę został już zniesiony. W rzeczy samej Stowarzyszenie Pisarzy Polskich dalej jest niechcianym dzieckiem władzy, skoro wciąż kołęduje u prezydenta Warszawy o choćby pokój z szafą i telefonem oraz rozsyła do swoich członków list świąteczny, w którym - wśród wniosków ze spotkania z min. Cywińską - pisze m.in., że "wspólny dorobek środowiska literackiego sprzed rozwiązania b. ZLP winien służyć wszystkim pisarzom bez względu na ich przynależność stowarzyszeniową", co oznacza, że ministerstwo nie umie wymóc na zarządzie ZLP /Żukrowskiego/ udostępnienia zrabowanych pisarzom niepokornym: Domu Literatury z biblioteką, stołówką, kawiarnią i salą konferencyjną, domów pracy twórczej i przychodni lekarskiej.

↓

To nie kosztuje nic albo niewiele, więc kiedy minister odpowiada - pytana i niepytana - że nie ma pieniędzy, nie rozumiem. Obejmując stanowisko Cywińska powiedziała, że nie przyjmuje do wiadomości cenzury. Efektownie, choć nie wynikało z tego, że oficjalna prasa i wydawnictwa może już nie nosić maszynopisów do urzędu na Mysią. Minęły cztery miesiące i okazało się, że cenzura nie przyjęła do wiadomości minister Cywińskiej. Są tacy, co twierdzą, że pozostawienie w podziemi pism i wydawnictw, skoro już mamy "nasz" rząd, oznacza dla niego wotum nieufności. Nie sędzę. Jednak w niczym nie chcemy przypominać cenzury. Owszem, tak samo jak minister nie przyjmujemy cenzury do wiadomości. To na pewno jest ten jeden niewątpliwy punkt, w którym nasze poglądy są zbieżne z poglądami pani Cywińskiej.

GANGSTERSTWO

Bywają powieści o gangsterach /niektóre - jak np. "Ojciec chrzestny" Maria Puzo - wybitne/, miewają chętnych i wdzięcznych czytelników. Wydawałoby się, że na tym powinny się wyczerpywać możliwe relacje między książką, czytelnictwem i gangsterstwem. Ale nie u nas.

U nas nawet książka, i co od dobrych paru lat, stała się przedmiotem spekulacji. Przeważnie trudnią się nią ciemne typki, jakich pełno na bazarach, a ostatnio i na ulicach, którym w gruncie rzeczy obojętne jest czym handlują, byleby towar był atrakcyjny i łatwy /dla nich/ do przechwycenia z rynku legalnego, a miał odpowiednio wysokie "przebicie" ponad oficjalną cenę.

Kilka lat temu była głośna afera w Warszawie. Księgarze, w tym nawet kierownicy sklepów, całe partie atrakcyjnych nowości przekazywali spekulantom; książki, które nawet nie widziały lady, pojawiały się na czarnym rynku, oczywiście za znacznie wyższą cenę. Pamiętam, że dyrekcja "Domu Książki" zawrzała wtedy oburzeniem, potępiła nieuczciwy proceder i bodajże nawet popierała akt oskarżenia przeciw nieuczciwym pracownikom.

3 stycznia większość warszawskich księgarń była zamknięta "z powodu inwentaryzacji". Jedna tylko - na dworcu centralnym - miała wywieszkę z napisem bliższym prawdy: "przecena książek". /To zresztą postęp w terminologii: "przecena" zwykle oznaczała obniżkę cen, podwyżka nazywała się "regulacja"/. Otóż dyrekcja Państwowego Przedsiębiorstwa "Dom Książki" pierwsza wpadła na ten znakomity pomysł, wyprzedzając zazwyczaj od niej sprawniejsze dyrekcje od cukru i masła, butów i mebli oraz samochodów. W przewidywaniu zwiększonych kosztów itp. postanowiła towar, wyprodukowany i zakupiony w hurcie wcześniej, po starych cenach, bez pytania o zgodę producenta /i bez jakiegokolwiek dla niego i pozostałych uczestników procesu wytwarzania książki korzyści/ podrożyć o 50%. Bez wyboru, jak leci, wszystko.

→

Ta operacja nie była chyba wynikiem nagłego olśnienia państwowej dyirekcji. Na ogół w okresie świątecznym popyt na książki gwałtownie wzrastał, a zapobiegliwi księgarze szykowali na ten czas zapasy. Teraz nie, w księgarniach było mniej dostaw niż zwykle; czy to "Dom Książki" mniej kupował, czy też wydawnictwa lub drukarnie zwlekały z wypuszczeniem nowych tytułów na rynek licząc na zwykłą cenę, nie ma znaczenia.

Czytelnicy jako pierwsi padli ofiarą gangsterstwa. Al Capone wykańczał konkurentów w handlu alkoholem w czasach prohibicji i niszczył składy whisky, jeśli właściciele nie chcieli mu się podporządkować. "Dom Książki" nie musiał się do tego uciekać, bo praktycznie nie ma u nas konkurencji. Czyż to jednak nie rozbój? Zmonopolizował hurt i detal, wykupił całą masę towarową, aby ją sprzedać po cenach spekulacyjnych.

Ponoć program Balcerowicza dopuszcza możliwość takich praktyk, choć ich nie pochwała, ponieważ nieuczciwi producenci i handlowcy zostaną ukarani przez sam rynek. Nie uwierzę jednak, że nie ma na dyrekcję warszawską "Domu Książki" innych sposobów. Po pierwsze - z przepisów antymonopolowych. Po drugie - z naruszenia umów handlowych: subskrypcji i tzw. kontynuacji. W innych branżach handlowych i produkcyjnych został wszczęty proces prywatyzacji i uruchomiony mechanizm konkurencji /a przynajmniej powinien zostać/. W dziedzinie produkcji i obrotu książką nie został ten proces uruchomiony i to nie bez winy /lub zaniechania/ rządu a zwłaszcza ministra kultury. "Dom Książki" jest przedsiębiorstwem państwowym i jego organ założycielski powinien interweniować - albo stanie się winnym współudziału w naruszeniu interesów: czytelników, którzy zostali oszukani; wydawców, którym bank udziela kredytów na taki sam procent jak księgarzom; autorów, którym zapłacono głodowe honorarium.

KSIĄŻKI O KATYNIU

Odkąd się okazało, że za pisanie i drukowanie na temat Katynia można zarobić nie wyrok sądowy lecz pieniądze, ilość publikacji na ten temat przyrasta lawinowo. Nie w każdym razie z pożytkiem dla sprawy; wiele rzeczy jest wtórnych, nierzetelnych - nie mówiąc już o zwykłej nieuczciwości, jak w przypadku zbioru reportaży na rozmaite tematy, zatytułowanego wszakże - wyłącznie w celach komercyjnych - "W pół drogi do Katynia"...

Niemal jednocześnie w dwu wydaniach ukazała się w kraju praca Janusza Kazimierza Zawodnego, napisana w 1962 roku po angielsku i wydana najpierw w Stanach Zjednoczonych, a później, w kilkunastu edycjach i w przekładach, w innych krajach. Książkę Zawodnego często określano jako najlepszą na ten temat. Nigdy nie lubiłem tego określenia, głównie zresztą dlatego, że nie mogłem go sam sprawdzić, ale również dlatego, że w tej sprawie sportowa klasyfikacja wydawała mi się

niewłaściwa. Bo w czym lepsza od wspomnień Swianiewicza, który będąc już na stacji w Gniezdowie, cudem uniknął egzekucji? Albo od wspomnień Czapskiego, który usiłował tajemnicę losu polskich oficerów wydrzeć NKWD? Albo od podstawowego dzieła źródłowego "Zbrodnia katyńska w dokumentach"? Przy tych zastrzeżeniach jednak uważałem że koniecznie trzeba opublikować pracę Zawodnego po polsku i nie mogłem pojąć opieszałości w tym względzie emigracyjnych wydawnictw.

Pierwszeństwo przypada wydawnictwu CDN, czyli krajowemu "drugiemu obiegowi"! Drugą edycję sfinalizowali wspólnie: paryskie "Spotkania" i lubelskie wydawnictwo Towarzystwa Naukowego KUL. Są to dwa różne tłumaczenia, w dodatku wydanie "Spotkań"; TN KUL zostało poszerzone o aneks, a przede wszystkim o sprawozdanie Skarżyńskiego z prac PCK przy ekshumacji grobów katyńskich/CDN wydał Skarżyńskiego w oddzielnej książeczce/. Gładsze jest tłumaczenie parysko-lubelskie, przy czym dokonane z angielskiego oryginału /Beta-Omega tłumaczył dla CDN z przekładu francuskiego/; kooperujące wydawnictwa nie podały jednak autora tłumaczenia, skazując czytelnika na domysły, czy pochodzi ono od Zawodnego, lub też przez niego zostało autoryzowane, czy też sporządził je ktoś inny. Gładsze...

Wydanie CDN odznacza się inną zaletą: jest krytyczne. Od czasu, gdy powstawała "Zbrodnia w lesie" minęło prawie trzydzieści lat i zmienił się stan badań, co krajowy edytor skrupulatnie odnotował w przypisach natury bibliograficznej /w wydaniu parysko-lubelskim podano oczywiście obfitą bibliografię, ale ta jest znana skądinąd, zresztą bardzo szybko ostatnio przyrasta, więc już w momencie druku nie była pełna; pomysł CDN ma tę przewagę, że pokazuje jak Katyń jako problem badawczy żyje/. Jest też w tym wydaniu inny rodzaj przypisów; te z kolei pokazują, że rekonstrukcja Zawodnego nie jest wolna od usterek a nawet błędów /na niektóre wskazał też Jacek Trznadel w rozprawie "Katyń - ostatnia droga", drukowanej w poprzednim numerze "KN"/.

Może ktoś uzna, że wobec tak nikłych możliwości, jakie wciąż jeszcze mają u nas niezależne wydawnictwa i niezależni autorzy, dwa wydania jednej książki, w dodatku w różnych wersjach, to marnotrawstwo albo rozrzutność. Nie podzielam takiej opinii. I to nie tylko z powodów praktycznych, że mianowicie nie ma instytucji, która koordynowałaby plany wydawnicze i strzegła przed podobnym dublowaniem prac. Czytelnik odniósł korzyść: ma oto wydanie, jakiego życzył sobie autor, i ma wydanie - pod pewnymi względami - lepsze, niż autorskie /co poucza, że lepiej wystrzegać się takich określeń, o jakich pisałem na wstępie, skoro - paradoksalnie - "Zawodny II" jest "lepszy" od "Zawodnego I"/. Co do mnie, to więcej sobie cenię wydanie CDN, choć jest o tyle skromniejsze technicznie...

LICZBA!

TN KUL mogło nie wiedzieć, kierując do druku "Katyń" Zawodnego, że właśnie pokazało się wydanie tego samego tytułu w CDN. Mogło to wiedzieć, gdyby niezależny kolportaż działał w tym środowisku sprawniej. Gwoli prawdy trzeba jednak sprostować: wydanie TN KUL nie jest pierwszym krajowym, lecz drugim.

Rozpowszechniła się niepojęta praktyka: zaprzestano zaprzeczać "oficjalnie" /zresztą, co teraz znaczy "oficjalnie"?/ istnieniu wydawnictw niezależnych, nawet państwowe oficyny rozbijają się o pierwszeństwo druku książek, które zaistniały najpierw w podziemiu, ale jednocześnie ignoruje się fakt wcześniejszego wydawania w tzw. kolofonie czyli metryczce książki.

Zdarza się to najszczerzej wydawnictwom. "Znak", wydawca w "oficjalnym" obiegu "Drogi nadziei" Wałęsy, w nocie redakcyjnej wspomina o edycji "Rytmu", a mimo to w metryczce pisze "wydanie I". Jakże pierwsze, kiedy trzecie /bo "Rytm" robił wznowienie?/

To samo robi "Alfa" z książkami Konwickiego z Orwella, to samo "Czytelnik" z "Innym światem" Herlinga-Grudzińskiego itd.

To nie jest drobiazg, ważny tylko dla zwiariowanych bibliografów czy podobnych skrupulatów. To nie jest błażostka, sprawiająca przykreść tym, którzy swą służbę /a edytorstwo traktuje jako służbę/ pełnili w najgorszych warunkach, z narażeniem wolności /o narażeniu zdrowia nie wspominając/. To jest przyzwolenie na nieprawdę, na złe obyczaje wydawnicze. Skutek takiej przyzwalającej postawy pokazuje przykład "Alfy". Mam nadzieję, że pokrzywdzeni autorzy wytoczą, jak zapowiedzieli publicznie, proces dyrektorowi tego wydawnictwa Jerzemu Wysokińskiemu, za skandal w postaci książki "My, deportowani...". Została ona złożona z fragmentów kilku wspomnień ofiar wywózek do Rosji, fragmentów dowolnie poprzykrawanych i skomponowanych w sposób nie dający żadnego pojęcia o pierwowzorach. Wysokiński dopuścił się tego wbrew wyraźnemu i kategorycznemu sprzeciwowi, wyrażonemu przez Józefa Czapskiego i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, bowiem przez lata terminowania w PRL-owskiej szkole nauczył się, że tacy autorzy i ich wydawcy są bezsilni zarówno wobec przemocy celników i obelg propagandzistów, jak i wobec grabieży, gdy już na ich dziełach zbija się kokosy.

Stefan Kisielewski w wywiadzie dla "Literatury" powiedział, że wybaczył Witoldowi Fillerowi jego niepojętą książeczkę "Literatura małej emigracji", a nawet napił się z nim wódki i zaprzyjaźnił. Kisel zawsze miewał dziwnych przyjaciół, pijał z Polewką i fraternizował z Koźniewskim. więc gest wobec Fillera to fragment większej całości w wykonaniu znanego ekscentryka, poza tym postępek chrześcijański i godny podziwu z powodu heroizmu. Ale kultura polska nie ma powodu wybaczać Fillerowi, "Kultura" paryska tym bardziej; kultura i "Kultura" nadal muszą się bronić przed łobuzami i gówniarzami.

Leon Bober

A.H.

WE WROCŁAWIU O LITERATURZE DZISIEJSZEJ

"Nowa literatura polska lat osiemdziesiątych" - tak brzmiał tytuł sesji naukowej zorganizowanej w dniach 28 i 29 listopada 1989 roku we Wrocławiu przez Komisję Krytyki Literackiej Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Komisja owa, która sama stanowiła nowy, ściśle związany z wydarzeniami politycznymi, element w życiu literackim bieżącej dekady, powołana została z inicjatywy członków Klubu Krytyki Oddziału Warszawskiego ZLP i pełniła po rozwiązaniu Związku i zawieszeniu PEN-Clubu, liczne funkcje zastępcze, próbując przyczynić się do integracji środowiska.

Zmieniona sytuacja polityczna doprowadziła do wrocławskiego spotkania, które oprócz rozważań nad literaturą zamykającego się etapu, podjąć miało decyzje o przyszłości komisji. Wbrew wielu głosom podnoszonym w Warszawie, zebranie delegatów dziękując ustępującemu zarządowi z Januszem Maciejewskim na czele, postanowiło kontynuować działalność i powierzyło funkcję przewodniczącego Jerzemu Poradeckiemu z Łodzi.

Sesja naukowa rozpadła się wyraźnie na dwie części. W pierwszym dniu nie podjęto żadnej poważnej próby postawienia diagnozy dotyczącej literatury mijającego dziesięciolecia. Nie dziwiło to oczywiście w przypadku komunikatu gościa z Anglii - Adama Czerniawskiego, przedstawiającego recepcję polskiej poezji współczesnej w Wielkiej Brytanii, ze szczególnym uwzględnieniem "rywalizacji" Herbert vs. Różewicz. Referent zajmujący się obecnie tłumaczeniem i promocją tego drugiego artysty, z wyraźnym żalem mówił o przewagach twórcy Pana Cogito, nie dość, że od dawna obecnego na rynku Księgarskim Zjednoczonego Królestwa, to jeszcze idealnie wpisującego swój opozycyjny image w horyzont oczekiwań brytyjskich odbiorców.

Rozczarowały natomiast - referat Marka Adamca "Obraz literatury polskiej lat osiemdziesiątych", sklasyfikowany w czasie wątpliwej dość dyskusji jako felieton, i towarzyszący mu koreferat Jacka Łukasiewicza. Oba teksty były raczej zestawem impresyj, nierzadko banalnych, a sytuowanych na tak wysokim poziomie uogólnienia, że wykluczających jakkolwiek z nimi dyskusję. Krytyk z Gdańska przedstawił złożony z bodaj piętnastu części zgrabny zbiór haseł wywoławczych, ukazujących aberracje upolitycznionej twórczości. Zestawienie prozy Marka Nowakowskiego z czytankami z "Rycerzyka Niepokalanej", wyśmianie liczby utworów dedykowanych Adamowi Michnikowi, czy szydercze cytowanie fragmentów "Rzeki podziemnej..." Tadeusza Konwickiego, budziło co prawda wesołość studenckiego audytorium, ale nie dodawało wiele nowego do refleksji nad literaturą bieżącej dekady. Może gdyby ów tekst był prezentowany cztery-pięć lat temu brzmiałby świeżo i prowokująco. W 1989 roku totalne odrzucenie literatury całego dziesięciolecia miast nakreślenia jej obrazu wywołać musiało spory niedosyt. A gest negacji, obśmiewania w paru zdaniach poszczególnych utworów, było rażąco prośbą o ucieczkę od namysłu.

Próżni nie wypełnił referat Jacira Łukasiewicza; który szkicował ogólny obraz kultury polskiej lat osiemdziesiątych. Wrocławski krytyk zwrócił uwagę na kwestię przedłużającego się prowizorium i nie zakwestionowanej do dziś nieautentyczności sztuki. W tym miejscu aż prosiło się o choćby pobieżny przegląd ról odgrywanych w literaturze i sprowadzenie problemu na grunt twórczości oryginalnej. Łukasiewicz jednak, stroniąc od tego rodzaju analiz, przeszedł do kolejnego zagadnienia: wskazał na trzy najistotniejsze jego zdaniem dla dekady książki: homilie Jana Pawła II, "Oni" Teresy Torńskiej i "Mój wiek" Wata, zwracając uwagę na fakt, iż przywołane pozycje to piśmiennictwo Nieliterackie. Wybór utworów dokonany przez referenta wynikał z na tyle niejasnych przesłanek, iż odbierał wszelką chęć do dyskusji. Doświadczeń czytelniczych mijającego dziesięciolecia nie da się chyba jednak sprowadzić do tych trzech pozycji; dziewiąta dekada to przecież dla inteligencji czas niezwykle intensywnej lektury twórczości emigracyjnej, czas odkrywania przemilczanych nazwisk i zjawisk nie tylko pozaliterackich.

Wypowiadając w referatach i dyskusji efektownie brzmiące zdania o końcu PRL, o momencie wielkiego przełomu, o świecie XXI wieku, otrzucając twórczość zastaną, wypatrując arcydzieła na miarę postkomunistycznej rzeczywistości, nie zniżono się pierwszego dnia obrad do ważnej lektury książek mijającej dekady.

Znacznie lepszy był dzień następny. Na otwarcie Janusz Sławiński przedstawił referat o poezji stanu wojennego. będący wszechstronnym podsumowaniem tego niezwykle bogatego ilościowo, a skromnego artystycznie nurtu. Omawiając ów półtoraroczny epizod literatury polskiej, wskazał na dwie taktyki poetyckie stosowane w twórczości profesjonalnej: "dokumentalizm", rodzący liczne "zanoty" opatrzone najczęściej datami i miejscami powstania i "obrazowanie z drugiej ręki", obficie czerpiące z rezerwuaru poetyckiego, zawierającego ograniczoną liczbę klisz odwołujących się do okresu zaborów, powstań narodowych i okupacji, ale - co uderzające - okupacji hitlerowskiej, nie zaś sowieckiej. Klasyfikując zarówno ludowy, jak i profesjonalny dorobek tamtych dni, prezentował go jako niezwykle wdzięczne pole do badań etnograficznych, pozwalających na wysnuć daleko idących wniosków na temat świadomości narodowej Polaków. Obozy internowania stanowiły swego rodzaju skanseny, a spontaniczna twórczość, a także zbiorowe śpiewy, zaświadczone we wspomnieniach i zbiorach pieśni, ekspresję kulturowego zaplecza zamkniętych ludzi.

Kolejny referat - Edwarda Balcerzana o poezji Nowych Roczników był próbą dokonania syntezy twórczości artystów startujących w połowie lat siedemdziesiątych. Wymieniwszy sześć punktów odniesienia poezji współczesnej: język, etykę, kulturę, wyobraźnię, religię i politykę, referent stwierdził.

że utworów omawianej generacji nie da się określić poprzez te stałe, gdyż poeci, podejmując doświadczenia poprzedników wzbogacając ich wizję o jakiś własny, nie mieszczący się w nakreślonych ramach element. Ten element obdarzyć można - zdaniem Balcerzana - mianem "samopoczucia", a twórczość Nowych Roczników traktować jako ekspresję samopoczucia. Dyskutując z Adamcem oskarżającym współczesną literaturę polską o uleganie czarno-białym schematom, autor referatu wskazał na stawiane w wielu młodszych pokolenia pytanie o własną odporność na ciśnienie zła i częste kwestionowanie ostrego podziału na oprawców i ofiary. W podsumowaniu wykładu stwierdził, iż poezja ta prezentująca swoisty funeralizm w widzeniu świata, stara się przekroczyć go przywołując obraz noworodka, tak jakby nie stanowiło to jedynie wejścia w błędne koło pokoleń skazanych na zagładę.

Z tym ostatnim postrzeżeniem, jak i z całym referatem polemizował Marian Stala, wskazując na nieustanne przełamywanie przez wybitnych poetów tej generacji schematów odtworzonych przez Balcerzana. Zakwestionował on także neutralność określenia "Nowe Roczniki", silnie związanego z osobą jego twórcy - Andrzeja Waśkiewicza i mającego dla poetów zdecydowanie negatywne konotacje. Stala, odrzucając chłodny dystans, przedstawił szkic, w którym ukazał spór, jaki z Janem Polkowskim toczą twórcy najmłodszy - Machej, Świetlicki, Tekieli, Sendecki. Śledzenie na gorąco dyskusji poetów, niejednokrotnie nie mających za sobą nawet wydanego tomiku, wzbudziło mieszaną uczucia. Z jednej - podziw dla zapału krytycznego Mariana Stali i zainteresowanie prezentacją młodych, z drugiej - wątpliwości co do braku dystansu wobec literackich pierwocin.

Czwartym z przedstawionych w tym dniu tekstów był esej Adama Poprawy "Palimpsest Jana Polkowskiego", w którym autor przedstawił najeżone cytatami z Ricoeura, Sartre'a, Platona i dziesięciu jeszcze innych mędrców świadectwo lektury wiersza otwierającego tom "Drzewa" krakowskiego poety.

Jak podsumowałbym wrocławską sesję? Była bardzo nierówna. Dyskusja wokół przedstawionych referatów rozwijała się tak anemicznie, że spotkanie nie ucierpiałoby bardzo, gdyby sprowadzić je do trzech zaledwie odczytów: Balcerzana, Sławińskiego i Stali.

Jest to konstatacja optymistyczna. Dla tych oczywiście, którzy pod koniec listopada do Wrocławia się nie wybrali. Wszystkie trzy teksty mają się bowiem ukazać drukiem w przyszłym roku. Referat Sławińskiego najpewniej w "Kulturze Niezależnej", Balcerzana i Stali w "Tekstach drugich". Przyjemnej lektury!

